LEVIATHAN.

Exemplarze nieopatrzone podpisem i pieczęcią Wydawcy będą uważane za fałszywe.

LEVIATHAN

XIĄŻKA SKŁADKOWA.

Niebo jest duch; doskonałość niebieska jest doskonałością ducha; tęskniąc do nieba, do doskonałości tęsknimy. W doskonałości duchowej jest Chrystyanizm, bo przez doskonałość tylko staniemy się synami Bożymi.

A. Nowosielski. (Mara)

WYDAWCA

ALBERT GRYF.

KIJÓW.

W DRUKARNI TEOFILA GLÜCKSBERGA.

1848.

Печатать позволяется

съ тѣмъ, чтобы по отпечатаніи представлено было въ Цензурный Комитетъ узаконенное число экземпляровъ. Кіевъ 1847 г. Окт. 5 дня.

Цензоръ, Статскій Совѣтникъ,
Орестъ Новицкій.

O DUSZACH UMARŁYCH.

Powieść gminna.

A matka płacze a krynica płynie,
A matka płacze po swojej dziecinie,
Po swojej Hanusi, po swojej Jagusi.

Snać Pan Bóg w niebie potrzebował kwiatek,
Że wziął do siebie dwoje takich dziatek;
I w raju ślicznie, z dziatkami takiemi,
Lecz sercu matki, ciężko tu na ziemi.

Matka się w płaczu utulić nie może;
Duszno w komnacie, stanęła na dworze,

Tę powieść ze zbioru Małorośianina Kuleszy przełożył prozą M. Grabowski i umieścił w swej rozprawie, o gminnych ukrainskich podaniach, drukowanej w 6-tej części Rubona pisma zbiorowego wydawanego przez Kazimierza Bujnickiego, nie mając pod ręką oryginału przełożyłem na wiersz.

Na dworze duszno, poszła do ogródka,
Tam kwitnie róża, kwitnie nezabudka
To — jéj Hanusia; a to — jéj Jagusia.
I żałośliwiéj jeszcze zaszlochała
Wbiegła w komnatę ręce załamała. —

Żywy za serce żal domowych bierze
Nad biedną Panią litują się szczérze;
Lecz cóż ta litość, cóż ten żal pomoże!!
Upadnie Pani na swe białe łoże,
W białą poduszkę głowę swoją schowa
I tylko jęczy, jak dusza czyscowa.

Była u Pani, jakby Pani druga,
Stara jéj niańka, wierna stara sługa.

„O Pani serce, stara Magda rzeknie,
Darmo z ocz waszych ta rzéczka łez cieknie,
Bo naszym dziatkom lepiéj w tamtym świecie,
Niżli nam tutaj; to może zechcecie
Posłuchać, co tam Dubinicha prawi,
Wszak ona zamiérała, to niech wam objawi
Co widziała, słyszała.” — Jako Magda chciała,
Dubinichę do siebie Pani przywołała.
Przychodzi Dubinicha, stara, strasznie stara,
Chuda zwyczajnie z świata tamtejszego mara.

I spyta Pani — „Byłaś w tamtym świecie?“
„Ach byłam dobrodziko“ — „Cóż widziałaś przecie?“
„Widziałam co się dzieje z duszami zmarłemi!!
„A czyś się niewidziała z dziewczętami memi?“

Z przekładu M. Grabowskiego.

„ Widziałam się... widziałam... z Hanusią, Jagusią. “
„ Co!! z Hanusią! Jagusią! co! tyś się widziała?“..
I skoczy Pani z łóżka jakby nie leżała,
„ Mów co one tam robią?!! „ A cóż Bogu chwała
Aniołki, Matka Boska wiąże pończoszeczki,
One przed nią trzymają złote kłembuszeczki;
O! tak tak!!! Matka Boska wiąże pończoszeczki,
One przed nią trzymają złote kłembuszeczki.“ —

Jak usłyszy to Pani, to tak sercem rada
Że odetchnąć nie może... na kolana pada
Przed Przenajświętszej obrazem Rodzicy,
Co tam u niej na ścianie przyświecał w świetlicy;
Jak żywa Święta Panna z dzieciątkiem u łona
Uśmiecha się swym Boskim Synkiem zachwycona.
Otoż Pani jak padnie, jak ręce nie złoży,
Jak nie zapłacze, to wszyscy domowi
Zapłaczą z nią, nie mogąc oprzeć się płaczowi.

„ O miłosierdzia Matko, szlochając powtórzy
Biedna Pani, jakżeś me serce pocieszyła
Żeś do siebie sierotki moje przytuliła.“
I znów płacze, dziękuje; powoli... powoli..
Uspokoi się nieco, snać serce mniej boli,
Aż nareszcie weselsza, tak się odezwała:
„ Serce babusiu, kiedyś ty widziała,
To powiédz, co się dzieje z zmarłemi duszami?“

„ Pani gołąbko, ludzkiémi ustami,
Czyż można wypowiedzieć co się dzieje
Na tamtym świecie; niech nie pije, nie je
A tylko opowiada, i tak niewygada
Człowiek wszystkiego. Otoż jak mi pora

Przyszła umierać, to zaraz śmierć skora
Z swą kosą w nogach przedemną stanęła."

„A jakaż to śmierć?"

„Ach strasznie straszna, szkilet samy,
Ani ciała, ni skóry, a gdzie oczy, jamy.
Otoż jak mi w nogach śmierć stanęła,
To zaraz nogi, ręce, piersi i całe ciało
Zastygło, zaziębniało;
Tylko oczy nie ziębną i widzę oczyma
Że śmierć stoi" —

„I z kosą w ręku?"

„O! i kosę trzyma,
Potem jak machnie kosą, jam się wzdrygnęła —
I dusza moja pierzchnęła,
Jak ptaszek z ciała wyleciała,
Po chacie polatała,
I aż pod samą ścielą w kącie sobie siadła.
Widzę jak siedzi, w progu stoją grzechy
I z chaty niepuszczają; do okna dopadła
A okno było wolne, dalej oknem w pole,..
Lekko mi się zrobiło wyrwawszy na wolę
Jakbym się odrodziła —

Patrzę ja nie sama,
Jakiś mię dziad prowadzi; idę choć się boję
Zapytać dokąd idę. — Aż oto psów dwoje
Tak się gryzie, tak gryzie, a dziad do mnie rzecze,
„Czy widzisz jak się gryzą, aż jucha z nich ciecze?
To nie psy, to rodzone dwa braty czumaki

Co się pobili w stepie. — Kiedy dziś świat taki,
Że rodzeni na siebie jako psy się rzucą,
Niechże oni Bóg rzecze we psy się obrócą
I gryzą się, aż taki przechodzić nie będzie
Co ich rozdzieli. " —

Step jednaki wszędzie —
Idziemy — aż oto przed nami
Bezdnia nad bezdniami.
„ Leź ! " dziad prawi : boję się " „ leź ! " i leźć musiałam,
Podniosłszy oczy, drugi świat ujrzałam.
Siedzą umarłe dusze, wszystko podziałami,
Młodzi z młodymi, starce ze starcami,
Kto jak tutaj zasłużył taką ma zapłatę.
Kto na ubóstwo dary wysypał bogate,
To te na złotych stołach wszystkie przed nim leżą;
A kto żył swoich bliźnich łzami i grabieżą
To pusto przed nim.

Idziem — brodzą woły
W trawie po rogi, a jak deski wychudzone;
Nieopodal pustkowia, sam tylko step goły,
A na nim, takie woły pięknie dokarmione
Że ledwie tuszę dźwigną — " otoż dziad powiada,
Bogacz co tylko w zbytkach szczęście swe zakłada
A biednym nie pomaga, staje w chudej trzodzie,
A poczciwi, ubodzy, dobroczynni ludzie,
Co od swych ust odjąwszy kęs chleba ostatni,
Ponieśli go żebrakom, jak zasiłek bratni,
Tu syci, napojeni. " —

Idziem dali... dali...
Między dwoma dębami w straszliwym się pali

Ogniu, jakowyś człowiek, a paląc się woła:
„Okryjcie mnie bo zmarznę.“ Otoż dziad wyrzecze
Straszna zima, dmie wicher, mróz jak ogniem piecze,
Podróżny co już nogi ledwie dźwignąć zdoła
Prosił się w jego chatę, zaklinał na B o g a,
Niepuścił i podróżny zmarzł u jego proga.
Za to sam dziś w płomieniach, a choć wiecznie gore,
Jednak umiera z zimna jak ów w tamtą porę.“ —

Idziemy — zdrój bieży,
Przy zdroju człowiek rozciągniony leży,
I bieży zdrój zaledwie jego ust nie tyka,
Chce się napić, daremnie, zdrój od ust umyka.
„W imię B o g a napójcie!!“ ale próżno wzywa.
„Ten, rzecze dziad, we skwary, co największe żniwa,
Kropelki wody niechciał dać dla spragnionego.
„Raz żebrak skaleczały przywlókł się do niego,
I rzekł: dobry człowieku, umieram z pragnienia
Ratuj wody kropelką! „— “Niech cię porwą kaci
Wyleję a nic nie dam takiej jak ty braci.
Nie cierpię darmojadow.„ — Dziś fala strumienia
Przy jego ustach szumi, on pragnie jak owy
Przy jego niwie żebrak pragnął w skwar sierpniowy.“
Idziemy... leży kładka nad przepaścią taką
Że dna nie dojrzeć, weszłam kładka się zachwiała
I omałom, omałom w przepaść nie wleciała;
I byłabym wleciała, gdyby nie dłoń dziada,
„Ej! jeszcze ci nie pora tędy dziad powiada,
Wróciwszy na świat, pomnij byś rozpowiedziała,
Coś tylko tu słyszała, coś tylko zajrzała.
Jakie to są piekielne męki niech ludzie poznają,
Na straszny ostateczny sąd niech pamiętają
Bo już Iwan w Peczerach wszedł w ziemię po szyję

A jak się nie poprawią to się cały skryje.
A wtedy koniec świata. Już tak przez swe złości,
Strasznie się odrodziła ludzka kość od kości.
Za dawnych wieków ludzie dłużej żyli,
Większej siły i wzrostem ogromniejsi byli;
Teraz coraz drobnieją, i przyjdzie do tego,
Że u piecyska jednego
Dwónastu młocków stanie do młócenia.
Niegdyś żyto z samego wierzchu do korzenia
Nie było tylko kłosem, ale jak po świecie
B ó g chodził, to chcąc ludzką uczynność sprobować,
Jak dziad pod jedną chatą jął chleba żebrować;
Diabeł doradził łukawej kobiécie
Takiemu żebrakowi kęsa pożałować.
B ó g się rozgniewał, wziął kłos i chciał ziarna
Tak okruszyć, ażeby tylko słoma marna
Została z żyta; ale podbiegł pies domowy
„A mnież o P a n i e! wyrzekł płaczliwémi słowy,
Mnież za co ginąć z głodu?“ Nad psem się zlitował
Pan B ó g, i troche ziarna na słomie zachował.
Otoż za nieużytość, coraz w cięższym trudzie
Żyją odtąd psią cząstką ukarani ludzie. —

Idziemy dalej — aż oto naszyniec
Stoi do pasa w żarze, ten Semen Babiniec,
On zamierał gdy jeszcze hulał z parobkami —
Poznałam go i rzekłam: Semenie! B ó g z wami!
A za co takie straszne katusze cierpiécie.
A on na to:“ „Babusiu, jak ja zamierałem,
Będąc jeszcze parobkiem, to po drugim świecie
Wszędzie chodziłem, wszystkie męki oglądałem,
A potem wszedłem do miejsca takiego,
Kędy siedząc dziad jakiś, z łyka lipowego

Odzierał po dwa łyka i w pary związował
I zawieszał osobno — i rzekłem do niego: "
Co dziadusiu robicie.? " — „Co! parym parował"
„A mojaż jest tu para? " — Jest mówi, to ona "
I związał i powiesił pomiędzy drugiémi.
A jakże ja ją poznam?" — „Gdy dniami świętemi
Pojdziesz na tańce, to ona
Skoro muzyka zagra pierwsza w taniec ruszy,
Bo ochocza do tańca — to ona, twa para. " —
Dobrze że wiém tak sobie pomyślałem w duszy
Jeżeli będzie brzydka albo stara
To wezmę kamień i łeb jej rozsadzę,
Będzie kraśna to zaraz swaty poprowadzę.
Tak się stało — w dzień święty zagrała muzyka,
Wychodzę wziąwszy kamień; właśnie się wymyka
Jakaś naprzód, lecz tak się szpetną być wydała
Że odemnie kamieniem zaraz w łeb dostała.
A sam w nogi. — Chodziłem może przez dwa lata,
Darmo z sieła do sieła posyłając swata,
Kiedy tak, niechaj chodzą od chaty do chaty,
A taki dla mnie żonę znajdą swaty.
Otoż i sieło; idę sam do pierwszej chaty,
Patrzę, dziewczyna ładna, czy tak mi się zdaje,
Posłałem swaty, przecież dla mnie się dostaje,
Żyć z nią zacząłem. Raz na dniu świątecznym
Ukrywszy się kobiety, przed skwarem słonecznym
W cieniu drzew, jedna drugiej warkocz rozczesuje
Jedna czesząc mą żonę, skąd masz zapytuje
Ten szram na głowie? — a ona jej prawi:
„Raz świętem, na muzykach, poszłam sobie w taniec
Aż się wyrywa jakiś opętaniec,
Ugodzi mnie kamieniem i głowę rozkrwawi,
Mało nie ubił, ledwie mnie odratowano . . .

Słyszę to i poznaję że ona ta para
Z którą, za wolą Boską było mnie związano.
Otoż dziś taka ciężka spotyka mię kara
Za to, żem się opierał świętej Bożej woli.“ —

I długo ile stara pamięć jéj pozwoli,
Dubnicha swéj Pani o tem świecie gada
I długo jeszcze gada — Pani słucha rada
A w końcu się zapyta — „Gołąbko babusio
Widziałaś się ty z moją Hanusią, Jagusią?“ —

„Pani serce, jak teraz z wami oko w oko —
W raju, wysoko, wysoko.
Najświętsza Panna wiąże pończoszeczki
One przed nią trzymają złote kłembuszeczki.“ —

Alexander Groza.

O KORZYSTANIU Z MŁODOŚCI.

> Souvent nous employons la première partie de la vie à rendre l'autre misérable.

Z ulotnych pism p. Kraszewskiego umieszczanych dawniej w Tygodniku Petersburskim na szczególną uwagę zasługuje patetyczny jego artykuł o lenistwie i próżniactwie. Tam on okazał różnowzględnie, w najdosadniejszych rysach, jak wielkie zło we wszystkich odnogach społecznego bytu z tej moralnej choroby wynika. Głos-to był niepochlebny, lecz jakże przekonywający! Cóż w rzeczy samej może bardziej upadlać człowieka nad ten nieszczęsny nałóg, który go w stanie dziecinnych tylko, pożyczonych wyobrażeń wiecznie utrzymuje? Jakież szaleństwo, jaki, by najdziwaczniejszy zapał, porównać się może z tém samobójstwem moralném, które najpiękniejsze dary przyrodzenia, rzadkie zdolności a częstokroć i geniusz w samym zarodku wytępia? Z czegoż, jeśli nie z gnuśności umysłowej, rodzą się tysiączne wady charakteru, błędy rozumu i grzechy sumienia? — Czyż ludzie niepojmują tego, co czytają? czyż pamięć ich zamknięta dla nauk, jedynie ziemskie życie uzacniających? czyż oddychając zawiścią w obec każdego pomysłu czyn-

nych indywiduów, doznając najdzielniejszych wzruszeń przy każdém zetknięciu się z wyrazem wieszczego entuzyazmu i wierząc najmocniej w zaszczytny udział myślącego jestestwa, mogą oni bezpiecznie wracać do letargu próżniactwa? I terazże jeszcze, gdy zewsząd w imie Boga i Prawdy zachęcające do trudów rozlegają się głosy, niechcą oni zrozumieć prawdziwego celu doczesnej exystencyi? Nie przyganiaż im każda cnotliwa dążność, nie prześladujeż ich własne sumienie, niewstydząż się oni samych siebie, że przy tylu do obudzenia i zajęcia umysłu nastręczających się pomocach, mając najczulszą zachętę w pięknych usiłowaniach, widocznych korzyściach i chwale własnychże myślących braci, śmieją trwać nikczemnie w zaniedbaniu ducha, w marnotrawstwie władz sobie udzielonych, bez reflexyi, wiedzy i postępu, jak nierozumne stworzenia? Trudno tu posądzać strefę, atmosferę lub słońce o szkodliwe wpływy, niesprzyjanie działalności, złowrogie nad nami ciążenie i t. d., gdy tyle podobnych nam, bo tąż samą miejscowością objętych i tymże samym podległych wpływom, indywiduów z najrzeźwiejszym w zawodzie oświecenia pracuje zapałem. Nie w powszechnej-to przyrodzie, lecz w nas samych, we własnym naszym rozumie szukać należy przyczyn owej fatalnej do lenistwa i gnuśności *diathezy*. Małoż-to jest dziś jeszcze między nami zgodnie z nieokrzesaną czernią utrzymujących i dowodzących, że powołanie człowieka zupełnie się ogranicza staraniem około potrzeb, wygód i roskoszy materyalnych? że twory umysłowe, literatura i wszystkie bez wyjątku xiążki są środkami, równie jak sceny komiczne, ponoramy albo sztuczne ognie, dla chwilowego tylko interesu i uciechy przyrządzanymi? że wreszcie zamiłowanie nauk, intencye filozofijne i nałóg myślenia nie co innego, jeno szał mozgowy, chorobę wewnętrzną albo szatańskie nawiedzenie znamionują? — Te-to raczej ślepe o życiu wyobrażenia, nie zaś temperaturę zewnętrznego świata, poczytać trzeba zgubny pierwiastek i żywioł grassującego u nas lenistwa: — każ-

dy bowiem z tych samych, hańbiących w sobie najprzedniejsze dzieło B o g a, sybarytów, gdyby raz tylko odważył się na trud samodzielnego badania, gdyby w natchnieniu czystém choć jedną z siebie wysnuł ideę, już poświęcony promieniem nieśmiertelnej treści musiałby się wyzwolić, wyzwoliłby się na zawsze z krzywdzącej istność jego materyalnej służby. I dziwimy się, że u ludów pół-barbarzyńskich każda najzbawienniejsza nowość powszechny wstręt, urągowisko i klątwy ściąga, gdy tu w samém ognisku cywilizacyi, na ziemi tylą geniuszami wsławionej, pod wpływem najszlachetniejszych wzorów indywidualnego kształcenia się, tysiączne głosy darmo o potrzebie użycia rozumu i woli, o obowiązkach własnodzielnego istnienia przekonać usiłują!... Łatwo i dogodnie, bez wątpienia, zrodziwszy się w dostatkach hołdować modzie, pustotom i wszelkiej próżności — kapitały ojców i stryjów, jakkolwiek pięknym są oszczędności zabytkiem, winny przecież do czegoś posługiwać: ale, zajmować się jedynie zdumiewaniem tłumu paradną wystawą, gonić bez przerwy za uciechami zmysłowemi, poświęcić całe życie płochym igrzyskom i swawoli — jestże to cel odpowiedny treści ludzkiej? Niewiadomoż tym paniczom, że właśnie, mając od natury wydzielone żywotne fundusze i będąc wolnym od wszelkich trosk w przedmiocie materyalnego bytu, tém snadniej zajaśnieć można w powszechności głową i duszą? Na kogoż oni przeleją wzięte od natury zdolności? Kimże się wyręczą w najważniejszej sprawie rozumnego jestestwa? Ktoż mówię pracować za nich, kto zacniejszą ich połową czuć, myślеć i żyć będzie?... Patrząc na te tak upowszechnione tryby *światowego życia* — tryby szerokie, wygodne, ze wszelkich cierni oczyszczone — tryby niestety, którymi co przedniejsza właśnie, bo urodzeniem i wychowaniem celująca, młodzież nasza z namiętnem zawsze upodobaniem postępuje — o jakże się uczuwa potrzeba nowych objawień, nowych cudów, a przynajmniej tych nadludzkich wpływów, które nieprzewidzianą siłą do upamię-

tania się prowadzą! Cożto za różnica między dzisiejszém naszém plemieniem a owémi, które dawną Grecyę i Rzym w pogańskie jeszcze czasy zaludniały! Gdyby odziedziczone przez nas pomniki nie były oczewistém świadectwem zadziwiających postępów w różnorodnych umiejętnościach i sztukach, za bajkę by dziś poczytać przyszło to wszystko, co nam o młodzieży tych krajów i czasów, o jej tłumném około mądrych i doświadczonych ludzi gromadzeniu się, o szlachetnym do nauk i kunsztów zapale i o niepospolitej w trudach wytrwałości spółcześni prawią historycy. Zkądże więc ta tak smutna w obyczajach i skłonnościach młodzieży zmiana? Niemaż dziś szlachetniejszych jeszcze do duchownego kształcenia się pobudek? nieprzemawiająż do rozumu i serca te wysokie prawdy, które *Geniusz wieku* z przejrzenia się w źrzódle objawienia Bożego wywiódł?.... Niewiem, co o tém trzymać. Niech na to odpowiedzą ci, których natura i powołanie do opiekowania się młodością przeznaczyły, niech na to rodzice i nauczyciele odpowiedzą. Ja tylko wezbranego w duszy cierpienia przytłumić niemogę. Mnie żal i politowanie zdejmuje nieznajdując w koło siebie nic, prócz lekkomyślności, swawoli i pustej wrzawy. Serce się gniewem zapala spotykając na każdym kroku wałęsających się bezmyślnie elegantów, trzpiotów i rozpustników. W najgłębszém przejęciu się godnością moralnego istnienia, w najżywszém uczuciu potrzeby własnodzielnego ćwiczenia się, w najgorętszych mówię do umysłowej pracy skłonnościach musisz mimowolnie gorzkiej doznawać tęsknoty — bo nikt z tego tłumu młodzieży niewesprze ciebie współczuciem, niezasili światłą uwagą, niepocieszy jakąkolwiek, by najmniejszą, własnych usiłowań próbką. I co za zgroza! znaczniejsza część tych bujnych wyrostków obeznawszy się zbyt wcześnie z fatalnymi płodami francuzkich pisarzy, wyrzeka się nawet nadziei, aby w ojczystym języku cokolwiek dla niej powab mieć mogło. Próżno ku obaleniu fałszywych zasad owej modnej literatury zabierałbyś się na treści-

we dowody z szacownych dzieł rodzinnych naszych pisarzy, próżnobyś naprzeciw Balzaków, Hugów, Żanenów wystawiał tyle znakomitych u nas imion; — każdy z tych zapaleńców, zamiast pokory i wstydu, tém bardziej uczuwa dogodność nowego stanu demoralizacyi i jeszcze się pychą unosić zdaje, że do jawnego obrzydzenia cnoty uprzywilejowane niejako wynalazł pobudki. Jakże to się człowiek poniżył tym sposobem nietylko w obliczu ludzkości, lecz w każdym nawet zewnętrznym stosunku! Na co tylko spojrzysz w ogromnym przestworze wszechświata — od gwiazdki do słońca, od strumyka do oceanu, od ziarnka piasku do olbrzymiej góry, od drobnej trawki do wyniosłej topoli, od robaczka do słonia — we wszystkiém najściślejszy porządek, najzupełniejsze poddanie się prawom przyrodzonym panuje i wszystko w niezmiernym tym widokręgu tém jedynie szczycić się zdaje, co jest prostoty lub wielkości, piękności lub pożytku znamieniem: człowiek zaś, powołany do wzniesienia się nad to wszystko przymiotami myślenia, pamięci, kombinacyi, rozwagi i uczucia, na czémże w obecnej chwili, zdeptawszy najświętsze religii i natury zasady, mądrość swą ugruntował? z czegożto dziś niestety, jako moralna istota, chlubić się począł? — Przyjdź tu ktokolwiek z gorliwych cnoty i Prawdy zwolenników, tu, gdzie po ciężkich znojach balowej akcyi rój celniejszych junaków do spoczynku się zabiera — przyjdź i posłuchaj na chwilę ich rozmów poufałych, tych rozmów, w których cały polor wychowania, cały uczuciowy assortyment, cała indywidualna godność najjawniej się wydaje: — o! jeśli kaskada najgorętszych apologów i najdowcipniejszych satyr, lejąca się tam ku uczczeniu lub wyszydzeniu najdrobniejszych własności kobiety, nieodurzy i niezapali twej wyobraźni — jeśli emfatyczna narracya najwyższych tryumfów, owych w spojrzeniu, uśmiechu, słowie, westchnieniu albo uściśnieniu dłoni pozyskanych względów, nieobudzi w twém sercu zazdrości — jeżeli mówię to wszystko, do czego próżność pozorem przyzwo-

iłości ubarwiona sposobi młodość, zamiast słodkiego ułudzenia litością tylko i wzgardą duszę twą napełni; to dziękuj przeznaczeniu, że ci się zdala od modnych towarzystw zrodzić i wychować dozwoliło — dziękuj całym swych uczuć zbiorem, że umysł twój, troskliwą uprawą od wszelkich nieczystych wpływów zabezpieczony, jedyny swój cel, posiłek, zaszczyt i roskosz nie w tych lekkomyślnych zabawach, lecz w zamiłowaniu prawdy, w rozszerzeniu koła pożytecznych wiadomości, w ciągłem moralnem doskonaleniu się znajduje! Lepiej pozostać na zawsze w dzikości zwierzęcej, niżli mieć duszę do tak nikczemnych celów usposobioną! — Najdosadniejszym typem i zwierciadłem niejako tego rodzaju wietrzników jest *Oniegin* Puszkina. *Oniegin*, jedyny możnego rodu dziedzic, podług przepisów mody przez francuzkich mistrzów w Petersburgu wychowany i skutkiem tego powierzchowny polor nad gruntowne wiadomości, sztukę podobania się kobietom nad wszystkie cnoty, a bale, biesiady i gry nad każde szlachetne zatrudnienie przenoszący, zbyt wcześnie, bo w drugim dziesiątku życia, przychodzi do tego, że świat cały, jakby pustynia z rodzajnych pierwiastków ogołocona, żadnego powabu zmysłom jego nastręczyć, żadnego w nim interesu i chęci wzbudzić, żadnej mu pociechy, troski i roztargnienia przynieść niemoże. Obraz-to wymowny, bo rzeczywisty! Jakże dziś konieczną widzi się być rzeczą, aby każdy z młodych ludzi, tak energicznie lgnących do światowego życia, przejął się najwięcej tym okropnym przykładem zmysłowego obłąkania! Ileż tu pożytecznych nasion dla serc zdrożnymi jeszcze nałogami niestępionych! Niechaj ten oto, co ledwie przeczytał elementarz a już okulary na nos włożył, albo ten drugi, co nad toaletą i grymasami codziennie po kilka godzin trawi, albo ów jeszcze, co na spacerach inaczej rozmawiać niechce jak francuzkimi frazesami — niechby mówię każdy z tak licznych u nas adeptów światowej karjery zajrzał w tę przepaść i przekonał się, że zaniedbanie władz moralnych dla

powierzchownego ukształcenia, bezrozumna uległość modzie i durne zalotnictwo do najsmutniejszego zawsze doprowadzają końca. Skutkiem takiego oddania się próżności i ciągłym zmysłowym uciechom, choćby w najpozorniejszych warunkach, nic innego być niemoże, jak tylko upokorzenie własne, żal przeszłości i najdotkliwsze zgryzoty sumienia.

I niestety, zewnętrzny na rzeczy pogląd najmocniej dowodzić zdaje się konieczności biernej exystencyi! Mnóstwo przedmiotów niezbędnie do towarzyskiego bytu na ziemi zastosowanych ciągnie za sobą nieprzerwane troski i trudy; rozliczne powaby cudnego przyrodzenia drażniąc bez ustanku zmysły dolęgliwych żądz i udręczeń stają się przyczyną; wszystko, co duch spekulacyi i kunsztu wiekami udoskonalony namnożył, porywa wciąż, zajmuje i nuży łakomą źrzenicę; z każdego w najpospolitszém dążeniu przeciwieństwa wylęgają się smutków i goryczy roje — słowem, człowiek dzisiejszego wieku, z powodu samegoż tak wysoko w imaginacyi, uczuciach i smaku podniesionego poloru, zdaje się być na mnogie, a wcale dawniej nieznane, narażonym cierpienia. Nieszukaj swobodnego ducha, spokojnych myśli i czystego o zależném jestestwie sądu tam, gdzie od ranku do najpoźniejszej pory zgiełkliwa ciżba napełnia ulice. W znaczniejszych miastach, gdzie się centralizują wszystkie cywilizacyi promienie, zbyt wiele jest żywiołów do materyalnych uciech, aby o wewnętrznèm zadowoleniu pomyśleć kiedy można było. Ludzie tam, po większej części w lepszym od miernego stanie, trawieni z nałogu pragnieniem coraz nowych korzyści, słodyczy i roskoszy, nieznają wcale korzyści myślenia, słodyczy samotności i roskoszy wewnętrznego pokoju. Cały ich świat zmysłowo-moralny zawiera się w natłoku owych *koniecznych interesów*, które z fałszywej dumy, zazdrości i próżnych względów powstawszy, wyłącznie rozum i serce obowiązują. Ale cóż z tego wszystkiego dla duszy, dla tej najprzedniejszej części, która jedynie człowieka uszlachetnia i nad ziemskie twory

wywyższa? Do czegoż takie życie, z treści prawdy ogołocone, doprowadza? — Zbyt słabi jesteśmy organicznie; nader krótko bawią nas dotykalnego świata powaby, a zaledwie pierwsza młodego wieku krewkość gasnąć poczyna, wówczas, dla zapełnienia czémkolwiek otaczającej nas czczości i odwrócenia cisnących się zewsząd cudów, imamy się trybów pospolitego miejskiego życia — fanfaronady, włóczęgi, gry, hulanki i t. p. Takiemi-to drogami istota nasza, którą B ó g uposażył pojęciami o złém i dobrém, coraz bardziej od duchowego swego przeznaczenia odstępuje. Lekceważeniem pierwotnych przestróg sumienia i wstrętem do reflexyi gotujemy sobie dobrowolnie tę przyszłość, w której każde prawie przypomnienie gorzkie uczucia i zgryzoty rodzi. Jest-to konieczne, nieochybne następstwo zmarnowanej na niecnych sprawach i uciechach młodości, bo B ó g opatrzył nas tém wszystkiém, przez cobyśmy się zbliżyć do Niego mogli; bo w duszy naszej są pierwiastki doskonałości; których najzgubniejszy materyalizm wygładzić nie jest w mocy. Pora już wszakże, abyśmy życiem naszém rozpoczęli najpiękniejsze dzieło panowania ducha nad materyą; — teraz właśnie, gdy są pomiędzy nami indywidua zniewalające powszechność pięknémi usiłowaniami w zawodzie czysto-duchowym, teraz nam się niegodzi wegetować w ślepocie i upodleniu materyalném. Wierzymy wszyscy w żywot wieczny, jako w prawdę przez samego B o g a objawioną, cały więc byt nasz doczesny dla przygotowania się do niego w duchu poświęcić winniśmy. Jako istoty rozumne otrzymaliśmy od B o g a dar bezzależnej woli; nam samym zostawiono odróżnienie wzniosłych idei ducha od prostych wrażeń zwierzęcych i wybór drogi do zbawienia lub upadku; rozproszmy przeto grube chmury zmysłowych omamień użyciem na dobro tego daru i pójdźmy niezwłocznie za głosem wiary i moralności, który jedynie do uskutecznienia zamiarów Boga, do uszczęśliwienia istoty naszej prowadzi.

Jakąż-bo roskoszą napełnia się serce na sam pomysł o tej błogiej przemianie, gdy już potężną wolą staniemy na drodze prawdy; gdy w materyalném życiu przyrodzonémi tylko ograniczymy się potrzebami i gdy od mnóstwa czczych, ślepych i bezowocnych celów przyjdziemy do jednego najdostojniejszego, którego promieniami cnoty anielskie, a ogniskiem szczęście nieskończone! Ileż słodyczy wypływa z samego przewidywania tych szlachetnych zapałów, tych myśli treściwych i tych najczystszych pomiędzy indywiduami związków, które być winny wynikłością wspólnego w duchu dążenia! Co za urok rozlewa się w przyrodzeniu stawiąc siebie na tej wysokości, do której żadna światowa próżność dolecieć niezdoła, zkąd wzrok duszy najjaśniej przeznaczenie ziemskiego bytu rozważać może i gdzie najlepiej czuć i pojmować się dają słowa mądrości Bożej!... Bo zważmy tylko: w świecie zmysłowym, który tak silnie rozum i serce nasze krępuje, jestże choć jeden powab mogący trwałe przynieść zadowolenie: — choć iskierka uczucia zdolnego wznieść nas do dostojności nieśmiertelnego bytu? — tymczasem, ileżto w nim złudzeń poczynających długi łańcuch żalu, utrapień, boleści, zgryzot, rozpaczy i nędzy! każdy tam przedmiot fałszywą świeci pozłotą; nic niemasz szlachetnego, wielkiego, świętego; wszystko niepokoi, odurza i w haniebny stan gnuśności umysłowej pogrąża.

W młodości-to, w tej najrzeźwiejszej epoce życia, kiedy przed potęgą wyobraźni wszelkie niepodobieństwa pierzchają a największe brzemie lekkiém wydaje się bawidłem, w młodości potrzeba się wyłącznie starać o usposobienie myśli i serca do szlachetnych zatrudnień: czas bowiem upłyniony, pomimo wszystkiego, coby się podejmowało, aby wykrzywić pojęcie, odurzyć rozum, wytępić pamięć i zagłuszyć wrodzone uczucie, zawsze jest najwierniejszym składem indywidualnych czynów, zawsze być musi czytelną xięgą dobrego i złego, żywym wizerunkiem cnót i niecnót, najwymowniejszém pracy i

niedbalstwa świadectwem; a sumienie, ten najczystszy zakładnik nieśmiertelnego bytu, cobykolwiek w najburzliwszej młodości czyniono dla jego uśpienia, nigdy swej jasnowidzącej mocy odzyskać nieomieszka, tak jest, nigdy niezostawi bez najsroższego prześladowania każdego, kto wbrew anielskim jego upomnieniom najpiękniejszą do pracy porę na niecnych pustotach zmarnować się odważa. Upamiętajcie się więc młodzi roztrzepańce, póki jeszcze wiosna nie uciekła i sumienie wasze nieusnęło. Um, czucie i wola nie na to wam dane, abyście na wzór zwierząt o zaspokojeniu tylko ciała pokarmem i spoczynkiem dbali. W życiu człowieka tymi przymiotami udarowanego niema i niepowinno być dwojakiej drogi. Tak jest. Trzeba w moralnych tylko zasmakować korzyściach, trzeba wyłącznie umysłem pracować, trzeba żyć po ludzku, duszą. Dość już odmawiać szczérego zapału przykładom i naukom. W obecnym czasie niemożna bez wstydu wegetować. Niema dziś prawdziwej szlachetności bez wewnętrznych kwalifikacyj. Odziedziczone korzyści nic same z siebie nienadają. Duma śmiech wzbudza. Praca osobista konieczną, niezbędną się stała.

B. Dołęga.

S Ą S I A D K A.

(*z Lermontowa*)

Nie wrócić pono mnie więcej do świata,
Och! a dnie więźnia długie jakby lata!
I okno moje wysoko od ziemi
A szyldwach stoi tuż za drzwiami mémi.

O! już oddawna umarłbym w téj klatce,
Lecz życie miłéj winienem sąsiadce;
Dzisiaj oboje wstaliśmy z jutrzenką,
Ja jej dzieńdobry posłałem w okienko.

Dziś nas rozłącza i łączy niewola,
I zaprzyjaźnia wspólna nasza dola
I żądze nasze jednakie do świata....
Ale niepuszcza dubeltowa krata!

Każdego rana gdy przy oknie siadam
I chociaż oczom moim wolność nadam,
Zaraz naprzeciw okienko zadzwoni
I firaneczka prędko się odsłoni.

Spójrzała na mnie, dziewczyna przebiegła,
I na dłoń białą ładna główka legła
I jakby lekkim wietrzykiem zdumiona,
Chusteczka w szlaki, zsunęła się z łona.

Lecz pierś jéj blada.... znać troską usycha!
Siedzi i duma i przeciągle wzdycha —
O, pewno pierś ta bujne dumy ma,
I do wolności tęschni jak i ja!

O, przecz się smucisz, droga ma sąsiadko?
Zechciej — a wnetże rozstaniem się z klatką —
I w parze z sobą, jak wolne ptaszyny,
Gdzieś w bezgraniczne ulecim krainy.

Tylkoż posłuchaj — i zrób jak nauczę:
Od swego ojca wykradnij mi klucze;
Straż na wesołą pozwabiaj biesiadę
A szyldwachowi już ja sam dam radę.

I noc, pamiętaj, wybierz najciemniejszą
I ojcu wódkę podnoś najmocniejszą
I nie zapomnij, by mi było znakiem,
Wywiesić w oknie chusteczkę ze szlakiem.

Przełożył z ross. Zenon Fisch.

ENTUZYASTA.

(Wyjątek ze wspomnień Lekarza)

I.

Był czas w mojej złotej młodości, kiedy więcéj wiedziony sercem niż głową szukałem wszędzie uczuć i odkopywałem nieraz ich skarbnice tam gdzieby się nawet ich domyslić niemożna było; był czas, powtarzam, w mojej złotéj młodości, kiedy świat cały był dla mnie odziany barwami poezyi, na każdym też kroku spotykałem żyjące dramata o których dziś mi się nawet nie śni, ale też i sam wtedy byłem Larą, Manfredem i Werterem. Pamiętam — pomimo pracy i ubóstwa grałem czynniejszą rolę na świecie, tym teatrze bożym jak teraz w starości: bom czuł więcéj. Pamiętam — daleko od rodzinnego domu, w pośród obcych i obojętnych, ten duch poezyi ozdabiał mi boleśną rzeczywistość. Nieraz zamknięty w swoim ubogim mieszkaniu na trzecim piętrze, otwierałem okno co tylko zdawało się być wymierzone do nieba i księżyca i rozmawiałem z niebem i z księżycem. — Byłem wysoko nad ziemią; byłem tém dalej od niéj, że w moim życiu duchowym nie było nic wspólnego z materyalizmem świata. Wieleż razy wśród ciszy, kiedy północ uspiła nawet niespokojność stolicy, duch

mój wyrywał się dalej i tonął w niebie, albo zanurzał się w przeszłości i szukał w trumnie lat ubiegłych, swych wspomnień umarłych i już niepowrótnych. Wieleż razy otoczony dumami, marzyłem głos wiejskiego dzwonka méj rodzinnéj ustroni, szmer wód cichych toczącéj się rzeki, pieśń wieśniaka wracającego od pracy i rozmowę cichéj, domowéj drużyny. To znów stawały przed duszą oblicza przyjaciół; — to znów czoło jasne, pogodne, srebrzyste jak samego księżyca w który wzrok miałem utkwiony — i po promieniach jego płynął uśmiech drogi, wzrok co mię obwiewał tęsknotą, szczęściem. — Wieleż razy przyciskałem rękę do czoła pragnąc wszystkie drobne odrywki przeszłości zatrzymać ulatujące, skupić w jedną całość i odziać w ciało rzeczywistości. — Wieleż razy .... o mój cichy pokoiku na trzecim piętrze, kąciku prac dziecinnych, dum wieczornych, nocnych marzeń, jakże cię kocham gdy dziś wspominam, dzisiaj zimny i bez czucia a może zimny z wypalonego czucia, jak krater dawnego wulkanu.

Pamiętam i ten wieczór jasny i pogodny, kiedy księżyc przechadzał się po niebie tęskniąc czy wspominając razem z duszą moją, a wkoło było cicho, głucho, — aż nagle melodya ozwała się: tony boleśne, jęczące jak duch poety na tym świecie gdy mu każą ogrzewać myśl egoisty; melodya rosła, duma duszy improwizowana, pojedyńcza jak hymn jak modlitwa a jednak związana z tysiąca tonów tak fantastycznych jak myśl szaleńca; — wytężałem wtedy ucho i pojąłem w końcu duszą że to modlitwa szaleńca; serce moje drżało jakbym powrócił w swoje rodzinne strony; przeszłość i przyszłość wyrosły mi olbrzymie i fantastycznie jak dolatująca do mnie melodya. — I znów ucichło. — Ocknąłem się, wróciłem z jakiegoś świata oczarowanego do rzeczywistości i pierwszy raz zapytałem sam siebie: skąd ta melodya — czyto człowiek mógł mię wznieść tak wysoko?

I zacząłem myślić po ziemsku. — Nie byłem nigdy ciekakawy wiedzieć kto mieszkał w moim sąsiedztwie, — byłem prze-

konany, że nikt inny tylko równie jak ja ubogi; może jeden z tych olbrzymich duchów co się wyrabiają w ciszy, daleko od zgiełku świata dla którego jednak gotują chwałę; — albo może jeden z tych biednych męczenników na których czole B ó g wymalował cierniową koronę i stali się poniewierką świata;— albo też jeden z tych młodych umysłów co w ciszy i oddaleniu kują dla siebie broń ambicyi, rozumu, sławy, — przyszłych nieszczęść własnych i cudzych; a może wreszcie jeden z tych marzycieli którym się zdaje, że są bliżej nieba, jeżeli się męczą pod strychem.. Jeszczem snuł domysły kiedy mię doleciał głos dźwięczny, donośny i pełen zapału: „Tutaj mię niedosięgną! tu moja droga ja z tobą; z uścisku mego wydrzeć cię nie zdołają!“

I po chwili znów usłyszałem melodyę tęskną, przewlekłą, nieraz konającą na drżących stronach skrzypców i znów nagle jakby zbudzoną z letargu, dziką i fantastyczną, — odgadbyś z niej że to dusza muzyka-poety wydała walkę światu-płazowi i depce go, poniewiera swojemi tonami, gniecie siłą swej potęgi i znow mu przebacza, śpiewa pieśń zmartwychwstania i chwały, płynącą pieśń pełną, niezbadaną. Porwany wirem harmonij znów byłem w rajskiej krainie mej przeszłości i uśmiechała mi się z brzasku księżyca blada twarz anioła — a w tem nagle dziki, fałszywy akord zabrzmiał i ucichł i znów tenże głos usłyszałem ale żałośny prawie nie męzki.

— Ty mię zwodzisz, ty mię nie kochasz — ja swoją duszę oddałem tobie a ty mię odpychasz; dziki twój głos, bo nie głos miłości. Gniewasz się na mnie, ale ty nie pojmujesz że jeślim cię opuścił dusza moja tego nie chciała; płakałem, błagałem ich litości, wzgardzili moją prośbą. — Cóż, żem mówił iż bez ciebie żyć nie mogę? Szydzili ze mnie, kazali cię opuścić i przekląć, albo mieli mię skazać na głód. — O, to mało! tego bym się nieprzeląkł; bo i cóż mi głód z tobą, ale moja matka stara, chora, ale to biedne dziecko, cóżby się z niemi stało? Prze-

bacz mi, musiałem cię opuścić ale niezapomnieć, bo ja cię kocham, o! kocham.

I głos jego stawał się coraz namiętniejszy, drżący i pełen jakiejś metalicznej wibracyi; — nastąpiły pocałunki i ostatni długi, zawieszony, znowu się zmienił w bolesne wyrzuty samemu sobie. — Jam zły, przeklęty, jam bez ciebie był płazem tyś mię zmieniła w orła; byłem biedny, bojaźliwy, lichy, — tak lichy jak człowiek co stracił duszę nieśmiertelną, tyś mię zrobiła aniołem, — jam dziś potężny, szczęśliwy .... i zatom cię opuścił. Alem wreszcie wygrał, — tu nad niemi — tu ich wzrok nas niedosięgnie, tu dzwięk twej boskiéj pieśni niebędzie razić ich ucha; ani ten starzec twój wróg wiedzieć będzie. — On cię niepojmuje, wzgardziłbym nim, uciekłbym z tobą na koniec świata, ale to dziecię co stoi przy nim, to boskie dziecie ze swym anielskim wzrokiem, ze swoim tęsknym czołem, ze swą melodyą w całéj postaci .... nie, nie! będę cierpiał a uciec nie mogę — bo to twoja siostra, wy dwie melodje, dwa dzwięki wyrwane z głębi duszy, wy dwie moje roskosze i boleści — ja umrę ale z wami się nie rozstanę. Będę oszukiwał starca, będę szukał schronienia gdyby potrzeba było w piekle nawet, ale ciebie nie opuszczę; ale o niej nie zapomnę. — Wy dwie moje melodye, jam was wydarł ziemi i nie oddam samemu niebu nawet! ..

I znowu słyszałem namiętny pocałunek i głuche, bolesne westchnienie; — potém nastąpiła cisza. Śród niej tysiące domysłów oblegało mię ale żaden niemiał rozsądnéj podstawy, i jeszcze raz cisza zaczęła się zmieniać w melodję z wszystkiemi odcieniami marzącéj duszy; — melodja skrzydlata, cześć jéj! na jéj to skrzydłach byłem szczęśliwy tę noc całą i pamiętam ją — pamiętam ona mię wtedy nosiła po raju straconym, po raju który może odzyskam kiedyś, a wreszcie ukołysanego szczęściem w kolébce marzeń złożyła lekko do snu. Marzyłem jeszcze we śnie, a gdym się ocknął był już dzień wielki i na miejscu mu-

zyki gwar mię dochodził miejski, a na miejscu marzeń méj duszy, naga rzeczywistość stanęła. Doskonała zamiana!

II.

Chociaż człowiek będący dla mnie tak dziwną zagadką tak blisko mnie mieszkał, niemogłem się jednak dowiedzieć kto on był. Prawda że zajęty czém innym dowiadywałem się za mało. W kilka też dni potem okoliczności zrządziły iż musiałem wyjechać z miasta na parę tygodni — lecz muzyki od téj nocy czarownéj już nie słyszałem więcéj — i dziwna rzecz w miejscu uniesień pełnych ognia i poezyi które mi kazały podejrzywać czy mój sąsiad niewykradł tylko dla siebie kochankę, któréj tyle pięknych oddeklamował i odegrał fantazyi — w miejscu powiadam tych uniesień szczęścia, zdało mi się kilkakroć słyszeć późniéj jęki boleści, jęki najprozaiczniejsze jakie zwykle tylko cierpiące ciało wyciska. Byłem lekarzem, właśnie na ukończeniu mych nauk, i kto wie czy nawet w chwilach mojéj rzemieślniczej dumy nie więcéj obudzały we mnie ciekawości jęki jego ciała, jak niegdyś w owéj czarownej nocy fantastyczne boleści jego ducha, rozmarzonego narkotykiem poezyi i miłości. Byłem ciekawy i może w części ambitny, chciwy laurów dla méj sztuki; ale jak mówię musiałem wyjechać i we trzy dopiero tygodnie wróciłem do mego cichego pokoiku, do moich prac dziennych, marzeń wieczornych i wspomnień téj nocy i téj satanicznej muzyki. Jednakże zatrudnienia, czas i znajomości, które wtedy już w części zacząłem zabierać, wygnały mi z pamięci mego sąsiada — tém bardziéj, że moja wyobraźnia zaczęła mię bawić czém innem.

Czem? a cóż dla naszéj wyobraźni jest wyższego nad ideał kobiety? Jeżeli entuzyasta może oddać duszę jednéj z tych sztuk boskich co sciągają niebo na ziemię i zostanie wreszcie poetą, muzykiem, malarzem, i pokocha swój ideał wymarzony,

wyśpiewany, wymalowany, to wierzcie mi że tylko część jakąś pojmuje téj roskoszy jaką czuje entuzyasta opętany widmem ideału - kobiety: w niéj bowiem najpotężniejsza siła poezyi, a kto ma choć trochę zmysłu dla niéj, ten odtrąciwszy wszystko choćby najrozumniejsze na świecie, musi się w końcu rzucić w objęcie swego ideału. Oto jest właśnie rozwiązanie zagadki dla czego to tylu mądrych ludzi popełniło szaleństwo przynajmniej na chwilę — marzyć o kobiecie — pieścić ducha swego zahartowanego w pracach tym ideałem — niestety fałszywszym stokroć i króciéj trwającym jak ideał muzyka, malarza lub poety; dla czego mówię i ja w części uległem temu prawu — ja com miał wyobraźni dwa razy więcéj niż rozumu. Czemże więc bawiłem swą wyobraźnię? O! łatwo wytłumaczyć — zabrałem znajomość z jednym urzędnikiem, człowiekiem nietyle bogatym ile znaczącym, — znaczącym w obec ludzi przez swoją pozycyą socyalną, przez czynność niezmordowaną i wytrwałą wolę posuniętą do uporu, przez którą rządził wszystkiemi od niego zależącémi — a w obec mnie niemniej znaczącego gdyż miał córkę piękną jak anioł. Szukałem téj znajomości i umacniałem ją z całą napozór oziębłością lekarza, a w istocie z całym zagorzalstwem entuzyasty.

Pan T*** był człowiekiem zimnym i nie mógł przylgnąć do nikogo jak tylko do równie zimnego. — Był pracowitym i dla tego szacował z pośród młodzieży wyłącznie nas młodych lekarzy, gdyż wiedział o naszych gorzkich, zabójczych pracach, bo sam w swéj młodości chciał być medykiem, i tylko zbytek i przykra natura naszych zajęć od tego zamiaru go odstręczyły. Przyjmował mię też z uprzejmością a nawet z pewnym rodzajem serdecznéj szczerości. Czas mój przepędzałem mile. — Piękna Stasia jego córka była zachwycającą; dusza rwała się do niéj, i niedziw bo też długo była na łańcuchu zimnych lekarskich nauk. — Choć prawdę mówiąc, jak dziś to rozważam, jéj postępowanie względem mnie było zupełnie obojętne, a tylko ja nowicyusz na serca kobiece, rad byłem brać proste grzeczności poetycznej dziew-

czyny za coś więcej czém w istocie były. Wyobraźcie sobie oblicze zmienne co chwila do tego stopnia, iżby je malarz niezdołał przenieść na płótno, chybaby umiał malować duszę co tak miotała wyrazem jej oczów, ust i czoła, była w niej wszakże jakaś monotonija; dawniej umiałem się nią tylko zachwycać, dziś myśląc i myśląc kiedy porównywam jej twarz do arfy na której grają aniołowie, kiedy hymn jej duszy leci w niebo, kiedy myśli, kiedy marzy, struny drżą, wibrują i jej cała postać jak te struny drży, zmienia się a jednak jest tąż samą; — dziwny fenomen monotonii w ruchu bez końca. Ale odsunąwszy na stronę skapel anatoma — było w niej całej coś z muzyki. Bo przecież musicie wiedzieć że piękność jest troista: malarska, poetyczna i muzyczna — pierwsza zadziwia swym rysunkiem, ale zimna jest jak Wenus z marmuru; — druga, to wcielone marzenie (1), anioł co cię chwyta i unosi w krainę nadziemską; — ale trzeciej tylko dano jest wydobyć z swej duszy wszystkie uczucia, bo ona tylko jest melodją i duszę twoją pierwej nastroj

(1) *Piękno zausze jest jedno — jest ono duchową ideą, myślą, którą w sobie przeziéra poeta, albo lepiej, każda poetycka dusza; ale kunstmistrz, jakiejby natury i rodzaju niebyła jego sztuka usiłuje to co widzi sam oczami ducha, oddać zmysłowie; stara się mowię, przeprowadzić ideał swój ze świata marzeń do świata rzeczywistości. Muzyka, tak jak plastyka, jak poezya, jak malarstwo, jak nawet Architektura, jest także tylko takowym środkiem wyrażenia tonami,* w czasie *tego czém pełną jest dusza natchniona. Muzyka wyraża najlepiej to, co się niewyraża, czułość, rzewność, to wszystko, co pierś rozdyma, ale nie tém jedynie ogranicza się piękno; może nawet właściwie powyższe uczucia niepowinny się zwać ideałem — idea bowiem to coś określonégo a motyw muzykalny powiewny, nieobjęty: jestto niczém nieobjaśniona tęsknota.*
(Przyp. Wyd.)

do akkordu dopóki wreszcie hymn święty, hymn miłości niezabrzmi.

Taką ona była to dziecko co igrało nietylko duszą moją ale mnóstwem takich jak ja zimnych i przesiękłych bibulastym wyziewem książek. Do domu pana T*** zbierało się wiele osob, a między innemi młody kancelista odznaczający się czemś fatalnym w twarzy. Chcecie wiedzieć co jest ową fatalnością? Jestto coś uderzającego. Twarz taka każe się wam zastanowić, jeśli się zjawi nagle w pośród waszych lekkich zabaw — przerwiecie zabawy, bo w tej twarzy jest coś męczenniczego, niechcielibyście więc męczyć ją jeszcze więcej; jeśli mówi, marzy, unosi się, duch, głoś co tam mieszka pod tym obliczem wciąga was, czujecie sympatję do całej jego duszy — jednakże czujecie w sobie że niechcielibyście zarazić się od jego duszy — bo przeczuwacie, że w niej szczęście nawet jest męczarnią — a wam potrzeba szczęścia *wesołego*. Kobiety gonią za nim jak za uzmysłowioną poezyą i czuciem ale wnet go od siebie odpychają, bo jego poezya dręczy, jego czucie smutno marzy, a im potrzeba i poezyi i czucia dla zmysłów, ogrzanych przy cieple ziemskim, bo wiedzą, że są dla ziemi a kłamią gdy ci gadają o niebie. Chyba gdzieś znajdzie się jakaś istota dziwna, równie jak on napiętnowana fatalizmem, wierząca w to że szczęście jest boleścią ducha, bo jest kruche i szalona stworzy ideał szalony — a choć wie że w ślad za niemi pójdzie męka tego świata, jednak nieopuści go jako dzwięk nieopuści struny którą ożywił; — otoż moi słuchacze co jest fatalizm w duszy człowieka odbity aż na jego obliczu.

Młody Kazimierz nosił na sobie nadto wyraźne ślady cierpień fizycznych, chudy, nędzny, blady — z tą cerą smutną którą nadaje praca mechaniczna po biórach, tych katakumbach o stęschłym powietrzu, gdzie człowiek zamienia się w robaka toczęcego zbutwiały szkielet sprawiedliwości; bo coż jest forma sprawiedliwości jeśli nie jej szkielet? Oczy jego piękne, ciemne, i cierpiące świeciły całym blaskiem życia i stały przed jego duszą

jak paląca się lampa przed katafalkiem. Cały jego strój oznaczał człowieka biednego — a niezwyczajna cichość i bojaźliwe uszanowanie jakie okazywał Panu T*** mogło stać za dowód iż potrzebował jego łaski i kupował ją bardzo drogo. Nieraz w towarzystwie zanurzał się w ponure dumy, a częściej siedział bez życia jak gdyby potrzebny był tylko do zajęcia krzesła albo do jakiejś lekkiej usługi dla Pana T**** a nawet nieraz i dla gości. Pokora ta obrażała mię i odstręczała, zdawała mi się upadlającym płaszczeniem, — w obec zaś innych obudzała śmiech lekceważenia i pogardę, — bo większa część ludzi wie dobrze jakiemi są nędzarzami i gardzi temi którzy nieumieją ich pojąć i niemi niegardzą, a co gorsza w obec nich się pokorzą. O ile zaś mogłem pojąć stosunki zachodzące między rodziną T*** i młodym kancelistą, te były najprostsze. Pan T*** był opiekunem jego po śmierci ojca który go już od lat kilku odumarł i zostawił w niedostatku razem z matką i siostrą. Młody Kazimierz musiał wcześnie myśleć o pracy dającej chleb, a korzystając z opieki Pana T*** był w jego biórze, i razem z innémi w jego stanie młodemi ludzmi szedł drogą biernej uległości, mechanicznej pracy nad papierami, i tej żelaznej wytrwałości na grymasy, fantazye i zły humor naczelników wyższych i niższych, szedł powiadam po tej piasczystej jałowej ścieżce pod górę po chléb powszedni, w nadziei, że kiedyś zostanie przynajmniej czymeś lepszém jak jest teraz, a czemeś gorszém jak był jego opiekun. Pan T*** był tedy rodzajem opatrzności dla młodego chłopca, ale jak zwykle, opatrzności ludzkiej pełnej goryczy i niesprawiedliwości. Czemże dla niego była piękna Stasia na którą codziennie patrzył? Zdało mi się, że tenże sam służalczy szacunek jaki miał dla ojca rozszerzył nawet aż do córki — był też przy niej bojaźliwy, ostróżny; czuł iż biedny kancelista powinien z bojaźnią i czcią patrzeć nawet na podpis swego naczelnika a nie dopieroż na jego córkę — niepatrzał też nawet na nią z bojaźni aby niezgrzeszyć wobec swojego naczelnika. Wśród tego

jednak ogólnego poniżenia pozycya jego w domu Pana T*** nie była bez pewnych korzyści — już to jedno ważne że nieobudzał w nikim zazdrości będąc od wszystkich lekceważony. Ktoby go jednak dotknął poniżającemi słowy, tracił na zawsze słodkie spojrzenie dziewicy i wlókł odtąd kajdany swych uczuć bez nagrody a nawet z pewnym z jej strony tyraństwem. Piękna Stasia była bóstwem swego ojca — nieraz też starzec chcąc zły humor spędzić na biednym kanceliście, gorącym rumieńcem co w tej chwili oblewał twarz jej, powstrzymywał się od zbytniej gorliwości i zamilczał — ona wzrokiem trzymała go na wodzy. Pytałem też sam siebie nieraz, czy to litość czy duma nią powoduje — a nie mając złego serca a w części pragnąc łaski pięknej czarodziejki, odtąd okazywałem dla niego a może nawet i w istocie czułem tyle sympatii, iż zwróciłem nią jego na siebie uwagę. Było też w nim coś zdziwiającego jak mówiłem wyżej, *fatalnego*, i człowiek myślący nie mógł niepatrzeć na niego bez zadumania się, bez jakiegoś marzenia o cierpieniu, tyle tego było w jego twarzy, zresztą obojętnej i milczącej facyacie. Niekiedy jednak zdawało mi się dojrzeć w nim odcienia entuzyazmu — kiedy wszyscy byli zajęci sobą, kiedy czuł iż nikt go niewidzi i nikt o nim niemyśli, gdy Pan T*** był nieprzytomny, wówczas zdarzało mi się widzieć oczy jego ciemne i pełne melancholii wryte w twarz pięknej dziewicy, ożywione i razem zamglone jakimś ponurym natchnieniem; zdawało się jakby patrzał w obraz czarowny a sobie dawno znajomy z którego znowu dobywał dawne marzenia, nadzieje i męki. Twarz dziewicy wtedy mięszała się; ona — zawsze panująca stawała się cichą, pokorną i bojaźliwą w obec otoczających ją niewolników; myślałem wówczas, gniewa ją i upokarza jego wzrok śmiały — ale to nie był wcale gniew — bo nieraz potem w twarzy jej przebiegał uśmiech skierowany dla niego — otaczający ją chwytali go dla siebie, ale zaledwo myśl ta w nich się zrodziła już uśmiech był zimny i pogardliwy, albo grzeczny i przyszyty jak etykieta do jej ust

pełnych uczucia. Kilkakroć także widziałem jak siedząc u fortepianu gdy zaczęła pieśń melodyiną, twarz młodzieńca robiła się ożywioną, prawie natchnioną, w oczach mu stawały łzy, cała jego postać stawała się kurczową, sciągniętą; — zaledwo wówczas spójrzała na niego, zaraz była zmięszana, rzucała w pół urwaną nutę i niechciała więcej mimo wszelkich prośb naszych zaczepiać tej piekielnej muzyki. Większa część otaczających mówiła cicho: fantazya dziewczyny! albo: — lubi muzykę dla grymasu, lecz serca dla niej niema. Jednakże nie tak było; sam nieraz słyszałem jak długie godziny przesiedziała u fortepianu i umiała w muzyce rozwinąć wszystkie władze swej poetycznej duszy, ale wtedy nie było tam młodego kancelisty. Były to wszystko urywki dziwnie wpadające do mojej głowy. Pojąłem iż w tym kryła się jakaś tajemnica — chciałem ją rozwiązać ale wszystko było daremném.

Kiedym go pierwszy raz poznał w domu Pana T***, pamiętam iż jedynémi jej słowami do niego było — „Czy Pan Kazimierz był bardzo chory, że tak strasznie zmizerniał?“ — Ale słowa te były tak zimnie powiedziane, że chybabym szukał całej ich mocy w wyrazie jej twarzy, alem tego nieśmiał będąc ledwo znanym; pan kancelista nic wtedy nieodpowiedział, po twarzy tylko jego przebiegł uśmiéch boleśny lecz pełen dobroci, któren zapewne był podziękowaniem.

Raz widzałem go dziwnie zmięszanym. Byliśmy w towarzystwie dość licznym; Pan T*** śmiał się i żartował z jednego zalecającego się do jego córki dość majętnego dzieciaka, a jak to często w takim razie bywa zarozumiałego i lubiącego więcej mówić jak czuł i pojmował; śmiał się z jego uniesień nad muzyką, z jego poezyi w napuszonych wyrażeniach; Pan T*** bowiem jakto wyżej wspomniałem był człowiekiem zimnym, pojmującym świat o ile fabrykę do wyrabiania szczęścia materjalnego, w które niewchodziła bynajmniej ani dusza ani serce. To co mówił ów młody panicz byłoby już sądem potępienia dla każdego

coby od niego zależał — mimo to jednak wciągnięty w wir poezyi samą przytomnością pięknej dziewczyny, wyrzekłem:

— Przysięgam Panu że oprócz pracy i nauk poważnych są jeszcze inne dźwignie życia społecznego któremi niewarto gardzić — świat bowiem ma stronę piękną równie jak pożyteczną— jedną i drugą duch ludzki musi rozwijać żeby się uczuł w całej pełni swojego bytu — jedno i drugie osobno wzięte i rozwinione dają tylko połowę istnienia.

— Pan jesteś jeszcze młodym i nadto czującym, nic więc dziwnego że nie możesz inaczej mówić, odrzekł zimno i z ironiją Pan T***.

— Obojga się niewyrzekam, mówiłem dalej, a kochając pracę rozumowaną nie gardzę poezyą; bo jeśli pierwsza robi mnie nie zależnym i nieszczęśliwym w obec społeczeństwa, druga daje mi wolność ducha i szczęście w samym sobie.

Odpowiedź moja nie była tak lekką i dziecinną żeby ją można było w nic obrócić próżną dumą starości i doświadczonego rozumu. Pan T*** więc zwrócił się w inną stronę.

— Ręczę że Pan już jesteś oczarowanym — rzekł wesoło.

— O Panie, ja się ciągle oczarowuję i rozczarowuję — rzekłem enigmatycznie.

Słowa moje obudziły powszechne podejrzenie w przytomnych — co go oczarowało i co rozczarowało? zapytanie to było w oczach przytomnych. Chcąc jaknajprędzej zatrzeć złe wrażenie tych słów dodałem:

— Dowodem tego najlepszym to co powiem a co mi się niedawno wydarzyło. Wiesz Pan że lubię mieszkać wysoko na 3-m piętrze, jest to jedyna moja ambicya, której łatwo dogodzić każdemu kto jak ja niema dość możności aby mieszkać niżej. Powszechny uśmiech zadowolenia przebiegł po twarzy słuchaczów — tylko młody kancelista zasępił się. Wyobrażą sobie Panowie, iż raz śród ciszy nocnej dochodzi mię harmonija

muzyki z sąsiedniego pokoju — ale harmonija tak boska, iż ta noc cała była dla mnie rajską nocą.

— I cóż w tym dziwnego, mówiło kilku, zapewneś zamieszkał obok muzyka.

— O, dziwniejsza jak się Panom zdaje — muzyka to była boska, nie ta co chléb daje — ale więcej, muzykę przerywał najpiękniejszymi ustępami godnemi poety, lecz nie poety dla chleba i poklasków ale dla własnej roskoszy i męczarni; — ustępy te żalu i uniesienia były wymierzone do pięknej, boskiej kobiéty . . . . kto ona — niewiem, kochanka czy żona — jednakże przysięgam Panom, iż wtedy po raz pierwszy uczułem co jest poezya i muzyka, i odtąd nie będę się śmiać z jej potęgi chociażem lekarz, a następnie mógłbym znaleść więcej sposobów do wyśmiania jej jak kto bądź inny. Słuchajcie Panowie poeta oddaje cześć bóstwu swemu melodyą muzyki i boleśną mową poezyi — i cóż nadto wyższego?

W około wszyscy milczeli, wszyscy w przedmiocie mego uniesienia widzieli trochę pięknego a więcej zgorszenia. Po twarzy tylko dziewicy przelatywała dziwna gra uczuć, podejrzeń i domysłów; twarz zaś młodego kancelisty zbladła i znów się pokryła ogniem i powtórnie zbladła; zmięszany poszedł do fortepianu, znać zapomniał gdzie jest i kim jest, bo postępowanie jego było w téj chwili całkiem obce i nowe. Z wprawą mistrza przebiegał klawisze instrumentu i wydobywał z nich uderzeniem, jak Mojżesz z martwej opoki strumienie zdrowej wody, tak on strumienie melodyi, i znów je zléwał razem i zaléwał niemi jak oceanem tonów dusze słuchaczów. Była to prawdziwa extazja muzyka, która mimowolnie musiała wciągnąć za sobą przytomnych. Lecz twarz tylko dziewicy była obrazem wielkiej, męczeniczej poezyi ducha, twarz ta czuła że w nią utkwiony był wzrok młodzieńca — wzrok ten ją palił, owładł nią i uwięził — siedziała jak posąg z marmuru co ożywia duszę mistrza rzeźbiarza a sam się męczy pod jego wszechwładną rę-

ką nim przyjmie postać którą mu mistrz przyjąć każe. Był to najdziwniejszy dla mnie widok, w tym zimnym, machinalnym bióraliście odkryć nagle i niespodziewanie duszę genialną, było to zawstydzić się i milczeć i podziwiać.

Inne jednak zupełnie wrażenie jak na nas wszystkich, wywarła ta poetyczna scena na Panu T***; zbladł od gniewu i drżały mu ręce; jego zimna duma oburzała się na widok tego dziecka wyzwolonego od przemocy dostojeństwa swego naczelnika — jednakże ta moc duszy, tyle jej promieni nagle bijących w około i na niego, trzymały na wędzidle słowa i postępki. Po kilku minutach dopiero wstał i przystępując chwiejącym się krokiem do młodzieńca ujął go silnie za ramię. I w tejże chwili młody entuzyasta ocknął się, wstał z krzesła, pociągnął wzrokiem w około, jakby rozpoznawał przedmioty go otaczające, jakby wrócił z innego kraju, z innego świata, na którym tyle żył, tyle czuł, a wrócił tak nagle, tak mimo swej woli, że wątpi — niewie co istną było prawdą, czy tamten świat jego duszy, świat idealny, boski — czy ten ziemski, rzeczywisty gdzie mu niewolno nawet czuć i myśléć? — I w tejże samej chwili w oczach jego stanęły dwie łzy, twarz była bolesna, chwycił za rękę starca i z uszanowaniem do ust ją przycisnął. Burza co groziła w oczach Pana T*** rozwiała się tą cichą, męczenniczą pokorą; — zmierzył go tylko wzrokiem i wyrzekł doń głosem cichym, prawie niedosłyszanym — „Pamiętaj żeby to było po raz ostatni.“

Wszystko com wtedy widział było dla mnie niedocieczonem, zdumiało mnie i oburzało. Przy tej pięknej duszy młodzieńca na co ta pokora, *ta niska pokora*! nigdyż myślałem genialny duch nieczuje się że on to jest władcą tego świata! — Maż on być niewolnikiem, on! co nawet w niebie panuje. Gorzkie myśli cisnęły mi się w głowie. Niema, niema tutaj lauru dla duszy nieśmiertelnej, tu ją tylko szarpią tyraństwem woli, przemocą materyalną; gniotą jak rozpalonemi

kleszczami, a gdy się męczy polewają egoizmem jak strumieniem zlodowaciałej wody. Po cóż on rękę jego całuje — czy przeprasza, że przełamał prawa etykiety? że w oczach jego córki znalazł natchnienie do myśli genialnej i z nicości wywiódł im świat harmonij? W tej chwili niecierpiałem Pana T***, a pokochałem jak dawnego przyjaciela młodego Kazimierza; dusza moja wołała mi: szukasz przyjaciół pośród głupców co ci tumany rozumu i cnoty rzucają w oczy — a mając przed sobą cichą bo myślącą i czującą duszę niechcesz ją pojąć i wątpisz i stronisz od niej!

Gdym wyszedł z mego zdumienia już jego nie było; szybka myśl przyszła mi do głowy — pożegnałem ich i widziałem jak wszystkie twarze były ponure i zimne — Cóżto, czy może to wszystko co mi się zdało żem tylko myślał ja w istocie mówiłem? niewiem, ale zawsze i w tym razie rad byłem żem nie był Piłatem dla tego młodego męczennika.

Wyszedłem jak powiadam w myśli aby go dogonić, alem ledwo miał czas dojrzeć kiedy wchodził do domu w którym i ja mieszkałem — poszedłem za nim . . . . i zagadka była w części rozwiązaną — to on był moim sąsiadem, to jemu winienem ową noc boską.

III.

W kilka dni po tym — było to znowu śród nocy wiosennej, ale ciemnej i tém czarniejszej, że chmury rozdzierały się kiedy niekiedy pokazując ognistą paszczę pioruna. Błyskało, grzmiało, niekiedy szum głuchy budził się po sąsiednich drzewach jak gdyby budził zdrzemane straże ziemskie do czuwania w chwili niebespieczeństw, burzy. Otworzyłem okno, poiłem wzrok widokiem czarnej przepaści, — prawdaż to, że dusza nasza jak ta przestrzeń bez końca ciemną jest i niezbadaną przepaścią! o ileż razy ogień zniszczenia porze jej wnętrzności. Stwórco!

lecz czyliż tylko pożar piorunu ma być jedynym światłem co oświeci otchłanie tej bezdni, nie będzież dla niej innej pochodni prócz tylko piorunu! Ponuro dumałem i w tejże chwili strumień światła z pobliskiego okna które otworzono zlał się w cienie nocne i ozłocił szczyty bujnych drzew nad któremi panowało nasze mieszkanie; widok to był błogi dla mej duszy — z przepaści cienia wystąpiły świeże gałązki ozłocone blaskiem tym żywszym, że w około była noc czarna. Pojąłem cię wówczas światło niebieskie co oświecisz kiedyś otchłanie ciemności w których dzisiaj duch mój tonie! Bujne dumy mej duszy rosły, lecz złowrogi blask błyskawicy już nie trwożył silnego światłem własnej nieśmiertelności. I bujały, bujały dumy moje i tonąłem w ich objęciach błogo — bo to duch mój rozmawiał z wielkim duchem całej natury. To duch mój w około mądrość Bożą poznawał!

Obudził mię z błogiego letargu jakiś przykry szelest po którym nastąpiła cisza i znów głos obcy, wyraźny.

— Kaziu! niemęcz mnie, niemęcz siebie, któż cię może więcej kochać nademnie — kto pragnie więcej żebyś był szczęśliwy.

— Męczyć was niechcę — Bóg świadkiem, że męczę siebie tylko.

Ozwał się głos drugi — i odtąd te dwa głosy raz naturalne to znów łamane najsprzeczniejszemi uczuciami dochodziły do mego ucha.

— Męczysz siebie mówisz, toż ma być dla mnie pociechą! ty siebie niewidzisz — ty zajęty swojemi urojeniami niewiesz jaka cię otacza rzeczywistość.

— Urojeniami! urojeniami! ozwał się głos drugi z całą wściekłością i boleścią człowieka wyciągniętego na torturach.

— Biedny Kaziu! na co ty tak cierpisz — zlituj się nad nami — niedrażń ich, nie zabijaj nas; — ty wiesz że on jest twoim opiekunem, dobroczyńcą, biedny chłopcze, on ciebie wzniesie; posadę którą masz jemu winieneś — to co tu widzisz, tę

resztę sprzętów, ten szczątek dawnej zamożności, to wszystko synu jego dar, jego łaska — wydarłby gdyby chciał, bośmy jemu winni w oczach prawa i w obec nas samych, winniśmy mu.

— Winniśmy mu! czuję to — ja też mu wypłacam krwią moją, duszą moją.

— Kaziu zlituj się, niemów tak! ty możesz być szalonym, zagorzałym, ale nie będziesz niewdzięcznym! Jakiej że on od ciebie żąda ofiary tak wielkiej żebyś jej nie miał spełnić? Chce w zamian za swoje dobrodziejstwa żebyś się wyrzekł tych skrzypców, które ci niedadzą chleba — a nam synu chleba potrzeba — my biedni!

— Chleba! tak, prawda — nam niczego więcej nietrzeba oprócz chleba!

— Po co ta rozpacz mój synu — ty mnie chcesz dobić — tak siwą głowę dobić, jakby jej daleko było i bez tego do trumny...

Przerwała się rozmowa, nastąpiły głośne łkania — biedni męczennicy — nie pojęli się wzajemnie, nie dla siebie stworzeni, a jednak los, krew a więc natura, sam B ó g związał ich, kazał żyć z sobą Jej starej zmęczonej życiem chleba tylko potrzeba — niepojmuje, że czegoś więcej do życia człowiekowi trzeba; — a on, szalony! duszę sprzedał namiętności, zdaje się mu, że można się obejść bez chleba — niechce pojąć, że na tym świecie duszę sprzedają na chleb — a jemu żal skrzypce oddać.

— Dobrze, dobrze, co chcesz matko zrobię — niech wam tylko będzie dobrze, wygodnie — bądźcie tylko szczęśliwi — bo dla mnie o tém niemyśleć,

— Jakże twa mowa boleśna — niechcę, nieprzyjmę tej ofiary — zniosę głód a ofiary nie przyjmę.

— Głód! jakto wy głód macie znosić, dla tego żem ja szaleniec! Powiedz mi matko czego chce ten starzec bez serca żeby tylko powrócić jego łaskę — czego chce!

— Nie synu, nic niepowiem bo ty w nim widzisz tyrana tylko a ja szanuję go jak szlachetnego przyjaciela.

— Więc czegoż chce ten szlachetny przyjaciel?

— Chce żebyś się wyrzekł muzyki. Wiesz jego do niej nienawiść, wiesz iż niegdyś za pierwszy warunek swej opieki położył dla ciebie wyrzeczenie się jej — bo on chce z ciebie zrobić człowieka rozumu i znaczenia, a nie nędznego artystę.

— Matko, matko! męczcie mnie, ale po co te bluznierstwa; ojciec mój był artystą — nie hańb siebie hańbiąc popioły mego ojca! mam być człowiekiem rozumu gdy nie będę artystą! — Ależ dusza moja, w co się ona zamieni? — dla czegoż jej wydrzeć chcecie szczęście jak gdybyście w zamian byli wstanie dać co lepszego.

— Słuchaj Kaziu, niepotępiaj go przed czasem — on cię kocha, onby w tobie chciał widzieć syna — ale go lęka twoja namiętność, bo pamięta do czego podobna namiętność zawiodła twego ojca.

— Do czegoż?

— Do tego co jest zemną dzisiaj — do ubóstwa, do nędzy! idź mój synu i szukaj w około — my niemamy kawałka chleba!

— Dobrze, dobrze — zrobię wszystko co żądacie — ale miejcie litość nademną.

Tą razą głos jego był głuchy, żałobny, podziemny — głos ciała które dusza już opuszcza lub chce opuścić — po chwili słyszałem zapytania cichsze lecz stanowcze.

— Cóż więc mam uczynić?

— Wyrzec się muzyki.

— Dobrze, przysięgam wam, iż odtąd moje biedne skrzypce będą leżeć zamknięte — pogrzebię je — niechaj przepadają razem zemną.

I słyszałem głośny płacz i cisza i znów długa ale niedosłyszana rozmowa i znów głos boleśny matki ozwał się:

— Oddasz je?

— Nigdy, nie oddam. —

— A więc oddasz nas nędzy i przedwczesnej śmierci.

— Przysięgam ci matko, że struny będą milczeć dopóki tylko każesz, ale mi zostaw te martwe popioły, tę połowę poszarpaną i głuchą mojej duszy.

I znowu cichsza rozmowa — cichość zupełna wreszcie owładła — i znowu wzrok mój tonął w przepaści niebios głuchej, nielitościwej — może tylko obojętnej na męki cierpiącego ducha. Wzrok mój tonął w cieniach, a za nim i duch mój wybiegł i stał w czarnej szacie nocy i szukał biednej duszy entuzyasty co się tak blisko męczył samotny i niepojęty. Nie mogłem długo wycierpieć tej myśli, iż tam duch mego przyjaciela kona bez ratunku kiedy ja tu marzę bez celu. Lecz po cóż pójdę? czyż potrzebny mu jestem — ja z tejże krwi co jego prześladowcy — człowiek, istota nienawistna dla tych istot podobnych do reszty ludzi tylko ciałem i kośćmi. I to milczenie głuche — czy wyszedł, czy zasnął? Szukałem sposobu ujrzeć go, przekonać się, odsunąłem sprzęty co zakrywały drzwi nas łączące, oderwałem obicie, szpara we drzwiach — tryumf dla ciekawego szpiega boleści ludzkich.

On siedział oparty o stół, cały w nieładzie, przed nim leżały skrzypce, wzrok miał w nie wlepiony, nieruchomy, zakamieniały; po tym rękę przycisnął do oczów, myślałem iż płacze — musiał wypędzać widma co mu stały przed niemi — wreszcie się zerwał, zamknął drzwi mocno i zaczął chodzić. — Tłum najsprzeczniejszych uczuć obiegł go, znać że walczył z niemi — ale kto wygrał niewiem. Wreszcie światło zagasło, głucha cisza panowała, jednak okno jego było otwarte, słyszałem westchnienie wyrwane z piersi jego — musiał stać przy oknie i tak jak ja poić oczy, duszę, a raczej truć je czarnemi widmami cieniów i chmur oblewanych co chwila pożarem błyskawic.

I znów głos się ozwał.

— Duchu tego świata gdzie ty jesteś! — jeśli w tych piorunach, czemuż we mnie niewstąpisz całą siłą twej potęgi! patrz jakim ja biedny, jakie ja męki znoszę. Harmonijo niebieska grzmotu co się przelewasz po falach obłoków — cześć ci nauczycielko moja! po cóż mię znowu uczysz muzyki swojej, kiedym ja stworzony abym szukał chleba, abym był machiną w ich rękach— Nauczycielko moja, śpiewaj mi pieśń męczarni mojej, tyraństwa ich.

A niebo jakby posłuszne wezwaniu szumiało głucho i łamało się w setne echa pod ognistemi stopami mistrzyni entuzyasty — harmonij piorunu. I znów milczenie głuche — lecz z ciszy ponurych cieniów ozwał się niedostrzeżony z razu głos harmonij, stopniami rosnący i wreszcie pełny, olbrzymi, gotowy iść w zapasy z melodiją grzmotu. Znowu natężałem słuch mój jak w owej czarownej nocy, znowu wspomnienia lat ubiegłych obległy mą duszę, i myśl uleciała na skrzydłach harmonij w kraj czarowny marzeń, wspomnień i fantazyi. Wielki jesteś, potężny duchu tam w górze, tam wszędzie mieszkający! Ty co przebywasz w ciszy nocnej, Ty co władasz pośród burzy, Ty z którym rozmawia teraz duch mój razem z duchem entuzyasty na skrzydłach melodij jego samotnej pieśni.... potężny jesteś Duchu powszechny, przedwieczny, niezbadany! Tak wołała myśl moja, tak się rwała z kajdan ciała aby w objęciach melodij utonąć na łonie harmonij duchów. Była to znowu noc boska; boleść szarpała piersią muzyka, boleśna też była nuta jego pieśni, wieleż dźwięków grzmiących głosem piorunu wybiegło z niej na postrach tyranów, wieleż balsamicznych promieni na cześć męczenników świętych.... Lecz pieśń nagle ustała i ozwał się głos nie znany:

— To ty Karolciu, dziecie kochane, jeszcze niespisz?

— Nie mogłam zasnąć, ozwał się głos harmonijny lecący zwolna do serca, co oczarowanemu melodiją zdawał się resztą jej odbitą w zgłoski ludzkiej mowy. Słyszałam twoją rozmo-

wę z matką — nie mogłam po niej zasnąć, płakałam — biedny ty Kaziu! i głos ucichł i pocałunek długi i serdeczny usiadł na zmęczone czoło entuzyasty.

— Twój uścisk kochana Karolciu przykry dziś dla mnie, nie całuj mnie — i po chwili ciszy mówił dalej ale już tkliwiej, łagodniej — nie, biedne dziecie, nie, ja ciebie nieodpycham, ale mi żal tych pieszczot twoich, coby powinny uszczęśliwić a przeprzecież nie są w stanie. Słuchaj Karolciu, powiedz mi, czy tobie śni się czasami, że z nieba dolata ciebie jakaś dziwna harmonija co ci duszę rozszerza i to do tyla, że płaczesz i nie czujesz iż płaczesz, i płacząc chciałabyś dalej ją słuchać, i słuchać ciągle, a gdy ona zniknie wreszcie powtarzasz ją sobie w duszy i powtarzasz z tęsknotą i ze łzą żalu w oku.

— Nie, mój Kaziu, to mi się niezdarzało.

— A więc dziękuj niebu! dla tego będziesz szczęśliwa moja Karolciu — i ucałował jej czoło.

— Ale powiedz mi Kaziu dla czego o to pytasz?

— Bo chcę wiedzieć czy będziesz szczęśliwą; czy ty możesz nią być. Bo mnie moja Karolciu jakieś widmo prześladuje ciągle, kiedym tak jak ty miał dopiero lat piętnaście, pamiętam lubiłem marzyć na samotności, ale jeszcze więcej lubiłem słuchać jak ojciec nasz grać zacznie na skrzypcach. Czy przypominasz sobie naszego ojca?

— Pamiętam jak mię kilka razy przestraszył; on mię bardzo nie lubił, pamiętasz jak mię raz wyrzucił z pokoju gdym chciała zostać razem z tobą.

— Prawda moja Karolciu — ale trzeba mu to przebaczyć, bo miał smutny nałóg pijaństwa. Otoż wyobraź sobie raz w nocy wstał, ale nie był trzeźwy, chwycił mię z łóżka, pociągnął za sobą do ostaniego pokoju i kazał patrzeć w otwarto okno— a przez nie tak jak dzisiaj dolatał głos piorunu i wciskały się ognie błyskawic. Drżałem i patrzałem bo mię jakiś strach

niepojęty opanował — ojciec mój porwał skrzypce i zaczął na nich grać wzniosłą jakąś symfonię. Nieopowiem ci jaka w mej duszy tejże samej chwili zaszła odmiana, zdało mi się, że z nieba ozwała się druga muzyka kiedy niekiedy przerywana łoskotem grzmotów. Zatapiałem wzrok mój w przepaście cieniów i utonąłem w jakieś wielkie, nie pojęte dla mnie marzenie. Ojciec mój trącił mię po ramieniu, spójrzałem na niego, w oczach miał łzy, a twarz jego była strasznie bladą: — co tam widzisz rzekł do mnie surowo: — coś widzę ale niewiém co, odpowiedziałem, i słyszę z tamtąd za tém czerwonym powietrzem w błyskawicy, muzyka gra jakąś pieśń której jeszcze nigdy niesłyszałem. — Ojciec mój wzniosł wzrok ognisty w niebo i zawołał: dzięki ci Boże, wetchnąłeś przecie w niego iskrę swą świętą! przycisnął mię do swych piersi i uczułem łzy jego płynące po mej twarzy. Odtąd czy uwierzysz moja Karolciu, nieraz kiedy tylko oddam się samotnemu marzeniu, muzyka niebieska dolata moich uszów, tonie w duszy, każe mi się męczyć, prześladuje mię — dopóki niewezmę skrzypców i niezacznę grać to samo co słyszę tam grane — wytężam powiadam ci ucho moje, każden dzwięk mego instrumentu szuka dzwięku podobnego w tej nadziemskiej muzyce — niepojmujesz tej roskoszy — ton w tonie, akord w akordzie, myśl zatapia się w myśli, istota moja przenika te niebieskie istoty — i w końcu tracę czucie siebie — niema mię tutaj, jestem tam — należę do tego nadpowietrznego chóru, razem z nim śpiewam pieśń jakąś wielką, przenikającą wszystkie krańce przestrzeni bez końca i czuję jak każden punkt tej nieskończoności wbruje echem mojej melodij i wreszcie tonę w tym oceanie bez końca, w tej roskoszy.... ale moja Karolciu ja zapomniałem, że ty mię nierozumiesz — bo ja marzę — tak przynajmniej codzień ludzie mówią.

Dziewczynka westchnęla i znów swoim srebrnym dzwięczała głosem.

— Jaki ty dobry mój Kaziu — jakże ty pięknie mówisz! ach gdyby na tym świecie był człowiek coby tak jak ty czuć umiał, jakżebym go kochała.

I cisza nocna usypiała ich dusze i błyskawica zazierała im w twarze ożywione myślami nadziemskiemi — a mówiąc językiem ziemian — *roidłami*.

— I ja mój Kaziu nieraz marzę — niewiem co to jest, jak to nazwać — czasem biorę kwiat, gałązkę jaką do rąk i każdy listek, słucham, mówi do mnie, odpowiadam mu, pytam go znowu, potem jakiś obłok jasny zakrywa me oczy, przenika mię na wskroś i jak szalona cisnę do bijących pełnym sercem piersi tę gałąź, ten kwiat lichy — i znów go szarpię na kawałki . . . . i na końcu mój Kaziu siadam i płaczę.

— Nie trzeba tak marzyć moje dziecie.

— Ja też to rzadko robię odkąd widzę jak ty cierpisz, jak ciebie prześladują. — Ale jednak powiedz mi co to znaczy, bo ja wiem, że ty z twą piękną, oświeconą od Boga duszą pewno to pojmiesz.

— Dla czegoż moja dusza ma być od Boga oświeconą? kto ci to mówił.

— Nikt nie mówił, ale ja wiem, bo co piękne to od Boga, a co piękne to jasne — powiedz mi zatem co to znaczy?

— To znaczy moje dziecie — nic! — to znaczy że twoja główka marzy, a twoja główka piękna i niebezpieczna moja swawolnico.

I pierwszy raz uśmiech szczerej wesołości zawitał na twarzy biednego entuzyasty, a dobra dziewczynka wdzięczna za ten dowód rzadkiej łaski, obsypywała go tysiącem pieszczot. I płynęły długie chwile — nazwijcie je jak chcecie ale ich mieć niezdołacie; trzeba posiadać duszę zapaleńca wolną od waszych głupstw materjalnych, trzeba mieć duszę dziewicy czystą i kochającą tylko, żeby wysnuć tę śliczną, niebieską przędzę, której

aniołowie chyba znają prawdziwe nazwisko, a które wy w waszej ślepocie ducha nazywacie urojeniem.

— Powiedz mi, czemu ty jesteś taki nieszczęśliwy mój Kaziu— czego oni chcą od ciebie?

— Chcą moje dziecię żebym się rozstał ze wszystkim co kocham — żebym zapomniał żem kochał a pamiętał, że kochać mi niewolno.

— To ty kochasz — przerwała szybko i ciekawie — a kogoż ty kochasz proszę cię, powiedz mi. Niechcesz, milczysz, domyślam się — piękną Stasię — jakże ona szczęśliwa.

— Ja moje dziecię kocham coś wyższego, szlachetniejszego— kocham, geniusz muzyki — kocham to widmo co mię nauczyło pojmować nieśmiertelność — a twoja Stasia jest tylko dzieckiem jak ty moja Karolciu, miłém, roskosznèm — ale tylko dzieckiem. I cóż za porównanie — kobieta i duch nadpowietrzny, nieśmiertelny!

— Więc ty ją nie kochasz — biedna Stasia — a ona cię pewno kochać musi. Mój drogi, czemużeś taki niesprawiedliwy?

W tem łoskot grzmotu rozległ się szeroko, od końca do końca wstrząsł sklepieniem niebios, i niebo zdawało się iż pękło i wyrzuciło z łona swego brylantową i ognistą razem gadzinę co przepełzła w jednej chwili pół świata i uderzyła o ziemię. Trzask piorunu obudził z letargu duszę młodzieńca, wyrwał się z objęć dziewczynki porwał za skrzypce i monotonną melodję swej pieśni zmięszał z szumem ulewnego deszczu i przerywanym łoskotem łamiących się grzmotów. Pamiętam początek tej pieśni — końca nie pamiętam, bom szedł za nią w towarzystwie widm mej wyobraźni — byłem akordem jego nuty, nędznym ale szczęśliwym satelitą. Czym spał? czylim marzył?... wiém tylko żem po jednym z dwójga ocknął się późno wpływem gorących promieni słońca.

IV.

W kilka dni potem widziałem znowu mojego sąsiada w domu Pana T***, był jak dawniej zimny i bojaźliwy, jak dawniej okazywał rodzaj uniżonej pokory względem samego Pana T*** i zdawał się być prawie nieznajomą osobą dla jego córki. Dziwiła mnie i w części gniewała ta ogólna maskarada obrażająca szczérość, a dowodząca nieufności na którą niezasługiwałem, szanowałem jednak jakieby tego nie były powody i udawałem, że nic niewiem.

Pan T*** wkrótce mi sam wspomniał o ostatniém dziwném zdarzeniu, tłumacząc iż młody Kazimierz jest skłonny do chorobliwej extazy, że w tych chwilach jakkolwiek rzadkich rozwija się w nim dziwny talent muzyczny. Korzystając ze sposobnej chwili gdy tylko byliśmy sami, opowiedział mi wiele ciekawych szczegółów tyczących się jego życia. Ojciec jego był najbliższym przyjacielem Pana T***, przyjacielem jeszcze od dzieciństwa, a chociaż różne sobie obrali zawody, jednak przywiązani byli do siebie aż do śmierci. Ojciec Kazimierza będąc muzykiem z duszą poetyczną, znalazł na świecie to co znaleść musiał: obojętność jednych, poniżającą dumę drugich, a sympatyij prawie niczyjej. Fantasta, dziwak z duszą poetyczną, niechciał nigdy pojąć świata na którym żyć trzeba było— niepojął celu swego, zrobił się stopniami mistykiem, a powoli odgłos powszechny po całym mieście ogłosił go za człowieka pomięszanego umysłu — odkąd zaś zaczął dla siebie tylko litość obudzać, odstąpił go dobry byt materjalny — zubożał. W pożyciu domowym był również nieszczęśliwy, żonę bowiem miał kobietę całkiem materjalną, której myśl nigdy nad dym kuchni nieuleciała — powoli też polubił sztuczny zapał czerpany w trunku — zaczął się upijać i co gorsza wpajać w syna szalone myśli; nieraz widzieć można było jak śród nocy rozkazywał biednemu chłopcu patrzeć w niebo stojąc nieporuszonym jak po-

sąg a sam grał mu długie i fantąstyczne sonaty Bethowena pokaleczone monstrualnie dodatkami dzikiemi i bez celu, i wówczas w mawiał mu, iż obaczy duchy nadpowietrzne — nieraz biedne dziecko długo męczone podobnie chorowitemi ideami nie mogło zasnąć w nocy — i wyrosł z niego chłopiec blady, schorzały, wiecznie skłonny do marzeń, wiecznie ścigający widziadła jakieś. Ledwie miał rok osiemnasty a już w nim zjawiały się przerażające znaki chorowitego mistycyzmu — utrzymywał jawnie, że rozmawia z geniuszem muzyki, i idąc w ślad za ojcem przybrał jego fantastyczne dziwactwa, zapał muzyczny, a nawet co boleśniej — skłonność do trunku. Następstwa tych okropnych początków przeraziły mię w synie, mówił dalej Pan T***: tém bardziej żem widział całą okropność na samymże ojcu. Stary bowiem muzyk stopniami tracił rozum i w oczach świata musiał być nazwany zupełnym waryatem, a co gorsza ostatnim opiusem. Bo jakże nazwać człowieka, który wyłamawszy się z pod ogólnych praw jakie służą społeczeństwu chce jeszcze wyłamać się i z tych które służą człowiekowi o ile człowiekowi. Po całych dniach wałęsał się z kąta w kąt, obdarty, z długą zapuszczoną brodą, z włosami rozrzuconymi na ramiona; twarz jego wychudła nosiła wyraźne znaki zatopienia się w jednej myśli, w niewolniczej dla niej uległości — ołówek w ręku i kawał papieru zamazany nutami bezładnie rzuconémi które on sam tylko rozumiał — odzienie całe bez porządku, ręka jedna wiecznie wplątana w gęste, siwe, bezładnie rozrzucone włosy — takim on był kiedy myślał, kiedy tworzył, a myślał i tworzył wszędzie i zawsze. Innym widziałbyś go kiedy szalone utwory swoje chciał zrealizować — chwytał smyczek, skrzypce, porywał swojego chłopca, sadził go, przed sobą — kładł mu na piersiach swoje zamazane nuty i szalał fantastyczną swą melodiją, w której nikt nigdy nie mógł znaleść toku ni porządku — nuty jednak stały przed nim daremnie, gdyż ponury i dziki wzrok swój zatapiał tylko w ponure oblicze bie-

dnego dziecka — palił je, świdrował swoim wzrokiem, był to istny magnetyzm szaleńca po którym biedny młodzieniec wstawał zmęczony, zdziczały i ponury jak ojciec i tak jak on skłonny do zamyślania się i chorowitej extazy. Gniewało mię wkońcu to szaleństwo i byłbym wydarł chłopca temu bezrozumnemu wychowaniu, gdyby śmierć co zaskoczyła starca sama mi nieoszczędziła mozołów walki z tym dziwakiem — walki, która kto wie, czyby nie była daremną. Po śmierci dopiero starca wykryło się jak okropną trucizną żywiono syna — stał się nieprzystępnym, prawie szaleńcem i raz w nocy nie można go było odciągnąć od katafalku ojca nad którym stał ze skrzypcami położywszy w przódy nuty na jego piersiach i powtarzał mu jego własne szalone fantazye — kiedy go chciano odprowadzić skaleczył nieostróżnego sługę i grał noc całą, aż póki dzienne światło nierozpędziło jego szalonego zapału. Przy pogrzebie znaleziono całą pakę nut pomiętych, szczerniałych od lat i poniewierki, pisanych na ogromnych arkuszach i szpargałach które schował na piersiach ojca — jak gdyby pamiętał i wierzył, że dla duszy starca trzeba będzie fantastyczno-szalonych kompozycyi i po śmierci. Tam dusza jego była, mawiał — niechże ona będzie tam gdzie ciało — niech je ożywi — niechaj w piersi umarłego rozbudzi boskie tony!

Kochałem i kocham tego chłopca szczérze, gdyż kochałem i jego ojca, był bowiem zresztą człowiek z głową i sercem. Kiedym był biednym kancelistą, pamiętam, tak jak jego syn dzisiaj, kiedy mię dwa miesiące choroba gniotła; poczciwy jego ojciec przepisywał dzień i noc nuty, byle mię wykarmić, wyleczyć, byleby mię niestracił — pamiętam i wiecznie pamiętać będę jego słowa, kiedym przychodził do zdrowia: gdybyś umarł mój Jasiu pobiłbym na kawałki te przeklęte skrzypce co mi kłamią o szczęściu. Tak — kochałem go i dla tego kocham jego syna.

Na tych słowach umilkł i ja milczałem długo — czułem

szlachetne myśli starca ale nie mogłem razem pojąć jego zimnej krwi, prawie okrucieństwa w postępowaniu z tym biednym młodzieńcem którego mówił, że kocha.

— Dziwi Pana zapewne moja srogość w postępowaniu z nim? jednakże ona wynika z sumiennego rozumowania. — Ten biedny młodzieniec jest na granicy szału, jeśli go zostawię jego własnym myślom i popędom stanie się z nim to co z ojcem, daleko prędzej nawet i daleko pewniej — postanowiłem go więc wyleczyć. Wszak wy panowie chirurgowie odejmujecie nożem część zgangrenowaną i obcą zdrowemu ciału, wszakże używacie nieraz lekarstw gwałtownych obudzających przesilenie w całym organizmie; ja właśnie wiedziony podobnie rozsądną zasadą postanowiłem wyrwać mu z duszy szał jego.

— Daruje Pan, że przerwę. — Tak! to zasada logiczna, tylko należy pierwej roztrzygnąć czy dusza jest na prawach ciała? czy wyrywając namiętność która o ile przez swe wybujanie staje się niebespieczną o tyle sama przez się jest wrodzoną i szlachetną, czy mówię wyrywając ją tak jak dzisiaj jest zakorzeniona i spojona w nierozerwaną jedność z samąż duszą — niewyrwiesz Pan z nią razem duszę? Chirurgija dla ciała tylko — dla duszy niemasz noża, bo w niej niema pojedyńczych członków — ona jest całością i pojedyńczością co chwila i na każde zawołanie wszechwładnej woli co mieści się w przybytku istoty ludzkiej. A więc mówiąc krótko, prorokuję że Pan go niewyleczysz tą drogą.

— Jeśli nie tą, a zatém jaką? mamże w nim obudzić namiętność nową którąby pochłonęła dawną?

— Jeśli się uda! bo proszę Pana znaleść mi namiętność wyższą, silniejszą, pewniej uszczęśliwiającą jak szał poety, szał muzyka - poety? cóż mu Pan postawisz w zamian za jego czarodziejskie fantazye — za jego melodje które kopijuje z chorów anielskich? — wskażesz że mu Pan złoto, bogactwa? — błoto! krzyknie i oczów nawet niezwróci — wskażesz mu Pan sła-

wę, zaszczyty, honory? jemu dla którego w chwilach natchnienia duchy nadziemskie splatają laury — który gdy dobywa melodyę z strun martwych czuje iż należy do ogólnego chóru co śpiewa hymn Przedwiecznemu. A wiem, wiem co najsilniejsze, coby go mogło zwyciężyć — ale to tylko tak się zdaje — kobieta! nieprawdaż? postawisz mu Pan tedy istotę młodą, świeżą, z palącym wzrokiem, z płonącym oddechem, a która jednak zdolna była by ogniem wzroku i płomieniem oddechu ugasić pożar jego duszy, pożar geniuszu — co za sprzeczność! ogień gasić ogniem — niechcesz Pan tego pojąć, że jeśli kobieta owładnie jego duszę, to tylko dla tego żeby dla niej tworzył swoje muzyczne melodye, żeby przed tronem tego sędzi anioła z ziemi wprawdzie zlepionego i przeznaczonego do niej, ale w jego oczach anioła nieśmiertelnego dobijać się o laur, czuć w jej uścisku nagrodę zawsze tylko za jego melodye; szukać w jej oczach poezyi, miłości, zawsze tylko fantastycznej bo odbitej od jego ulubionych tonów symfonij — a jeśli na nieszczęście w tej kobiecie co miała go wieńczyć laurem chwały znajdzie tylko garnek gliniany z piękną polewą, jeśli w niej na miejscu poezyi znajdzie tylko dym kuchenny, wykrzywione usta jędzy, albo chytrą kotkę jezuitkę mruczącą tylko plotki i godzinki.... to cóż z nim się wtedy stanie! o! to może co się stało z jego ojcem?

— Obaczę do czego mię zawiedzie moja próba.

— Na czemże ona przecie zależy?

— Otoczyłem go ubóstwem i cierpieniem, odsunąłem od niego na pozór moją rękę opiekuńczą — ma dobre serce — wzruszyłem to serce obrazem jego biednej rodziny bez chleba, dla której jest jedyną pomocą — i wygrałem w połowie.

— Cóż pan przecie wygrałeś?

— Wyrzekł się swoich skrzypców, oddał je matce wołającej chleba, aby je zastawiła za kilkanaście dukatów.

— Jakto! aż do tego przyszło? — to okropnie, to bez lito-

ści! wydrzeć połowę duszy człowiekowi — i na cóż, do czego mu drugą zostawiać; czy żeby nią przypominał jak wiele i jak marnie stracił?

— A jednak widzisz Pan dotąd niéma złych następstw — znajduję go od niejakiego czasu spokojniejszym a nawet weselszym, nabiera odwagi, rozmawia częściej z moją Stasią.

— To wszystko do niczego niewiedzie — i może oznaczać tylko głuchą rozpacz.

— Tego się nie lękam wcale — owszem wierzę iż się przemieni. Potrzebaż żeby kiedyś Mości Dobrodzieju rozum przemówił; dotąd pisk skrzypki zagłuszał jego wołanie — jak kufel zalewał ojcu jego wszelką myśl zdrową.

— Daj Boże, daj Boże! były ostatnie moje słowa do tego upartego i zarozumiałego starca. Dziwna pycha rozumu! łamać dusze i ze złamanych kawałków budować potem jakieś nędzne, klecone duszeczki — jasny i żyjący twór Boży pociągać swoim lakierem żeby był jaśniejszy, niepomnąc iż to słońce życia dawało mu ten blask świetny, że ono umrze pod ich pokostami. Despotyzm nikczemny! wołający: szalony! na każdego kto ma w głowie coś więcej jak garstkę racyonalnych wzorów, struganin nędznych z ich nauk i doświadczenia — przekląć geniusz, bo niechce pełzać mając skrzydła, ani się podlić sięgając czołem nieba. Wtedy przeniknąłem na wskróś ducha co kieruje machiną społeczną; — materyalizm i biada duchowi! oto godło sztandaru zatkniętego śród tego mrówiska co zowią ludzkością; nie pamiętając na to że życie nasze za grób sięga a tam dalej zapewne panuje inna chorągiew z godłem całkiem sprzecznėm; cześć duchowi! Ale dziś — dziś.... i potrząsłem głową wychodząc od tego mędrca, co radby wyciągnąć ducha ludzkiego jak rzemieślnik obówie do formy którą sobie stworzył niepomny na to że albo palce darmo pomorduje albo mu materyał się porwie.

V.

Dopiero w kilka tygodni później odwiedziłem znowu Pana T***; zawsze moją myślą było ratować tego młodzieńca, ale czułem iż nie było sposobu, despotyczny bowiem i wytrwały charakter Pana T*** stawiał temu nieprzepartą tamę. Jakąż wielką zastałem różnicę; na twarzy starca znalazłem zmarszczki nowe i głębsze, wyraźny ślad zgryzot i zawiedzionych nadziei— był więcej ponury jak zwykle i dumniejszy jak kiedy — nie na nim też pierwszym przekonałem się, że zimna, nieprzystępna duma, odpychająca od siebie przyjacioł najszczerszych, w człowieku z resztą wolnym od próżności i mającym rozum, jest zwykle wypadkiem cierpień duszy, w których nie sam los obwiniać musi ale i siebie samego. Twarz też córki była zmienioną, i na jej czole siadła troska, i w jej oczach widne były noce bezsenne i niedopalone jeszcze dymiące żarzewia myśli czarnych, boleśnych, co śród nich paliły się; przy ich to łunie widziała jak zapadł się w nicość cały gmach jej szczęścia, marzeń i nadziei — i w niej jak w ojcu została natomiast duma z przecierpianych katusz duszy i rezygnacya, ta ostatnia ale może najwyższa cnota każdego męczennika.

Rozmowa nam szła opornie, każde z nas było zamknięte w swej własnej duszy; wreszcie młoda dziewica siadła u fortepianu i zaczęła wygrywać dzikie fantastyczne akorda. Było to echo innego ale pokrewnego jej ducha!

— Już cię tyle razy prosiłem, moja Stasiu, rzekł zniechęcią ojciec, żebyś mi nigdy niegrała tych bez celu fantazyi;— wiesz jak nie lubię muzyki co rozstraja rozum a za nim i szczęście człowieka,

W momencie przestała; zamyśloną głowę oparła na dłoni i myślała czy marzyła. W krótce dla jakiegoś interesu wyszedł ojciec i zostaliśmy tylko sami i siedzieli milcząc niewiem jak długo.

— Ach przepraszam Pana przerwała z głośnym przymuszonym śmiechem, prawdziwie, dziwnie bawię gościa.

— Nic to nieznaczy, odrzekłem, gość ma przed sobą tak przedmiot piękny że się pewno nieznudzi nietylko przez jedną chwilę ale przez wiek cały.

Wzniesła na mnie wzrok podejrzliwy i niespokojny i znów się pogrążyła w dumy.

— Dziwi mię to Pani, że jej ojciec tak nielubi muzyki — a szczególniej tego co w niej wyłącznie jest prawdziwą wielkością — to jest tej fantastycznej harmonij którą ręka czującego mistrza dobyć tylko jest zdolną. Bo zresztą cóż jest muzyka, jeżeli nie kopija z kopii, jeżeli nie lichy portret wzięty z duszy genialnego twórcy, są w niej: rysunek, koloryt, światłocień, wszystko — oprócz duszy!

— Dobrze Pan mówisz — ależ bo dusza do tego niepotrzebna co jest stworzone żeby nas miało bawić albo nam chleb dawać.

— Niezgadzam się z Panią i mam to tylko za ironję — gdyż żelazny fatalizm który każe nawet temu co jest poezyą aby było przeznaczone na zabawę lub korzyść społeczenstwa materjalną, niezmusi nigdy duszy mistrza do zamienienia siebie w rzemieślnika. Duch nieśmiertelny wygra zawsze i wszędzie — dla tego właśnie że duch jest życiem!

— Jakto? nawet i w sztuce Pana, która przecie jest całkiem materjalną przerwała mi ironicznie.

— O sztuce lekarskiej Pani mówisz? a czyż jest co bardziej poetycznego? tylko, jak to zwykle się dzieje im co trudniejsze do pojęcia tém bardziej zaprzeczone. Przedmiot lekarza jest najpoetyczniejszy z której-kolwiek strony chce go Pani uważać. Jeśli ze strony teoryi — patrz Pani: oto Anatom zatapia nóż w zimne zwłoki, porusza włókna nerwów i drżą struny życia; oko się jego otwiera i powstaje z grobu upior. Rozdziera mu piersi i dobywa serce i trąca je strumieniem galwanicznym a

serce drży jakby je poruszały chwilowe uczucia dawnego ziemskiego życia — drży, jak gdyby drżało pod wpływem waszej ziemskiej miłości. To czarodziej!

— Dosyć, dosyć Panie — to poezya okropna, niechcę wchodzić w jej tajemnice.

— Idzie o muzykę! mówiłem dalej — o! gdyby Mozart, ów bozki Mozart chciał zajrzeć w serca nasze; gdyby chciał był być przytomnym śmierci niejednego męczennika — człowieka, kiedy go oblegną zarazem męki ciała i duszy; kiedy niedola, wszystkie zawiedzione nadzieje, stracone skarby dzieciństwa, młodości, zdradzona przyjaźń, obalona wiara — zabrzmią razem szatańskim chórem na rozstrojonym instrumencie duszy nieszczęśliwego jakąś melodyę niezgodną, dziką, fantastyczną ale dotkliwie rzewną zarazem melodyą — w której jeśli się znajdzie choć jedno adaggio, to będzie to tylko cicha, pełna rospaczy modlitwa może o śmierć prędszą, to powiedz mi Pani, czyż wtedy nie będzie to muzyka wzniosła! czyż w duszy lekarza który bez końca dotyka tych zbolałych klawiszów instrumentu, nieutworzy się codzień stokroć wyższa, stokroć fantastyczniejsza *poezya-muzyka* jak ***siedem słów Hayd'na*** jak ***Requiem Mozarta***? Bo to co widzim każdej chwili jest wiecznym głosem boleści siedmiu słów Chrystusowych; jest wieczną pieśnią requialną; i niechże tu mówią jeszcze, że ta olbrzymia sztuka co wystawiła swą twierdzę na granicy dwóch światów, co zatopiła swój wzrok w dwie nieskończoności: bytu i nicestwa — niechże tu mówią iż w niej niema poezyi! — Jest ona, jest, ale skryta bo święta — jak owe święte dziewice ludów germańskich, kryją się w puszcz głębie niedościgłe — tak ona — ukryta, niedojrzana oku, śpiewa hymn tylko Bogu, tylko sobie: bo też ją zresztą nikt niezrozumie krom Boga i serca, a więc każdy sprofonuje.

Głos mój był w istocie czymeś więcej jak próżnym dzwiękiem; był głosem uczucia które w tedy zapełniało me serce;

głosem uczucia młodego lekarza, który ma jeszcze serce i wierzy w nie — nim uwierzy kiedyś więcej w ziemski, nikczemny materjalizm. Zamilkliśmy oboje, a ona siadła u fortepianu i zaczęła jak wprzódy rzucać bez celu fantastyczne akorda; miała ona muzyczną duszę, bo też podobno *kochała* muzyka; pojąłem to z jej dzwięcznej melodyi z tych dzwięków raz boleśnych i wlekących się monotonnie jak skonanie, jak modlitwa rezygnacyi, jak jakieś dalekie, tęskne wspomnienie, to znowu dzikich i urwanych, a rzucanych bez porządku jak rozpacz. Zgadłbyś że dusza co niemi podobnie miota rozstrojoną jest także. Było to wierne echo pieśni młodego entuzyasty, było to sympatyczne naśladowanie tych akordów co szarpały niegdyś mą własną duszę, akordy rzucone tworczą ręką mego młodego sąsiada.

Byliśmy oboje zatopieni czy w ideale muzyki czy może we własnej duszy, musieliśmy być nawet w zapomnieniu gdyśmy niesłyszeli jak wszedł młody nasz entuzyastą i stanął obok nas. Ręce mej pięknej artystki odrętwiały na klawiszach; — utkwiła wzrok swój w twarz jego i musiała przeniknąć najskrytsze jego myśli, bo zbladła straszliwie. Chciałem go powitać jak dawno znajomego, ale mię niewidział, patrzał tylko na piękną dziewczynę. Wzrok jego był dziwny; była w nim walka myśli, uczuć, i razem, rzecz dziwna! jakaś próżnia smutna; w całej jego twarzy jakby na pobojowisku — było już po bitwie!— I ludno — ale zdaje się ludność ta — same trupy!. I młoda dziewica znać zapomniała że jestem z niemi, bo wstawszy nagle od fortepianu chwyciła go za rękę bezwładną i niespokojnym drżącym głosem zapytała.

— Kaziu! o mój B o ż e — co ci jest!

I cisnęła jego rękę w swoich dłoniach i całą duszą swoją znać iż go owiała, otoczyła jak matka umierające swe dziecię pilnie się wpatrując w oczy.

— Kaziu! ty taki blady, tyś chory, bardzo chory!

I z niespokojnością swą drżącą rękę przycisnęła do jego

czoła, i wzrok pełen prośby, wzrok łezką zamglony, wzrok walczący między nadzieją i rozpaczą zatapiała coraz mocniej w jego zimne, nieruchome oblicze. Ale on milczał. Co było w jego duszy? tego nikt niezgadnie. Oko jednak bacznego widza dostrzegłoby w tych okropnych cieniach jego spojrzenia jakąś otchłań zapełnioną samemi męczarniami. Jak po trzęsieniu ziemi, jak po świeżym zapadnięciu całego ludnego miasta w tej ogromnej *przepaści — trumnie* tylko co pogrzebionych — jeślibyś odważył się rzucić wzrok swój, ujrzałbyś wtedby tajemnice życia pasującego się ze śmiercią nagłą... Taka była straszna, czarna przepaść w jego duszy — takie też musiało być wielkie wstrząśnienie co je wyłamało: bo wstrząśnienie to — było elektrycznem wstrząśnieniem miłości ale wstrząśnieniem mimowolnem — bez wiedzy....

— Powiedz mi choć słówko, Kaziu! choć słówko — wszak to ja, to ja, Kaziu!

Zdawało się iż się ocknął i w samej rzeczy z uwagą obejrzał się w koło i zapytał obojętnie, z cicha, powoli...

— To Pani mówi że niema jej ojca? kiedyż go będę mógł zastać?

— Ojca? — naco mój ojciec potrzebny? ja tego pojąć nie mogę — usiądź, proszę cię — po cóż ten wzrok dziki i to na mnie Kaziu!

— Przepraszam cię za niespokoj — za ten napad, za to moje najście tatarskie, ale spieszno mi — przyszedłem tu, chciałem go prosić.

— Nie pojmuję cię Kaziu.

— Boś biedna kobieta, to nie pojmujesz — pojęłabyś gdybyś wygrała taką walkę jaką ja wygrałem — i tak była silną jak ja w tej chwili.

— Co to jest mój B o ż e — co to jest! — i łzy toczyły się po jej zbladłej twarzy.

— Powiedz ojcu że się roztajemy z sobą na długo — że się zobaczemy tam gdzie się oddaje każdemu co jest jego. — I po chwili jakby przyszedł do myśli rozważniejszych boleśnie i poważnie dodał. Stasiu! przepraszam ciebie — sni mi się coś, czy sniło — to ty Stasiu, dobra moja przyjaciółko — moja droga Stasiu jakże ja dawno ciebie niewidziałem; — i cisnął jej zimną, drżącą rękę do ust swych równie zimnych, równie drżących. Przebacz mi, chciałem widzieć twego ojca — mam do niego jedną prośbę i byłbym ją zaraz powiedział ale twoja muzyka myśli moje pomięszała — chodźmy stąd, tu jeszcze latają głosy harmonii — chodźmy stąd.

I mimowolnie poszliśmy wszyscy — ale wszyscy sobą tylko zajęci, slepi na to co nas otaczało.

— Powiedzże mi czego chcesz od ojca — on cię tak kocha Kaziu, on wszystko dla ciebie zrobi.

Uśmiéchnął się boleśnie i rzekł głosem powolnym: — poproś go niech mi odeszle moją broń, bo mi potrzebna.

— Jakąż to broń? nigdy o niej niesłyszałam? Kaziu! co to wszystko znaczy, niepojmuję i drżę na myśl samą.

Ach, jak wy kobiety ciekawe jesteście! broń palna, piorunowa, jak chcecie ją nazwijcie — trucizna i lekarstwo, jak chcecie powiedzcie — wreszcie śmierć i zmartwychwstanie. Czegoż ty drżysz Stasiu? — biedna, biedna, czyż jabym ciebie zmartwił. Wierz mi że to cię trwożyć niepowinno — to rzecz najprostsza — nie mogę sypiać po całych nocach, jakieś harce piekielne odbywają się nad mém łóżkiem — ale rozpędzę to łajdactwo — napłoszę ich piorunem i zdruzgotani polecą w otchłań piekielną!

— Co ty mówisz — kto cię to napada?

— Ba, gdybym widział kto? to dopiero się dowiem, dosyć że spać mi niedają, chodzą, łażą — boję się czy nie są to sztuki moich kolegów, bo wszyscy mają pióra za uszami, a uszy przyczepione do słupka bo głów nie mają....

Na te smutne słowa wykrywające okropny stan jego duszy, biedna dziewczyna upadła na krzesło, oparła głowę na dłoni i drżała jak listek. Światło też wstąpiło i wemnie, zbliżyłem się do młodzieńca wziąłem go za rękę, za puls — bił szybko, nierówno — głęboki nieporządek w organizmie wykrywał się jawnie w najszlachetniejszej jego części — w mozgu i zapowiadał rozwinięcie się jakiejś okropnej choroby. Myślałem w sobie: byłożby to obłąkanie umysłu? ten szał, ta walka niepojęta myśli, nie, nie, za nadto silnie oddziałowuje na ciało— nie, to gorączka jakaś z charakterem mózgowym! — może zapalenie mózgu? i to nie, nadto harmonii w iego obłąkaniu i zbyt ono duchowe i żadne krwi oddziaływanie. Gorączka! gorączka! i już w perspektywie stał przedemną okropny stan maligny i najmniej kilkanaście dni choroby i kto wie czy też na końcu nie śmierć jako zamknięcie tej tragedii.

— Panie Kazimierzu — rzekłem ja tą razą, dotąd jawny choć niepostrzeżony świadek jego dziwactwa i iej uczuć. Przestań Pan swoim dzikim postępowaniem i dziwacznemi słowami z któremi ręczę iż serce Pana niema związku, męczyć swoją dobrą przyjaciółkę — patrz Pan do czego to prowadzi. W samej rzeczy biedna dziewica siedziała pogrążona w najwyższej rozpaczy, prawie nieprzytomna na to co mówiłem, zatopiona tylko w jednej okropnej myśli. — Słowa moje wstrząsły go jak odgłos gromu.

— Jakto, jakto! zawołał, ja bym był przyczyną jej męczarni.

I upadł na kolana i chwyciwszy jej ręce w swe dłonie do ust je cisnął z szalonym zapałem. W tej dopiero chwili ona ocnęła się, przypomniała że jestem razem z niemi, żem świadek ich uczuć, słów i postępków — powstała z całą swą dawną powagą i rzekła boleśnie ale oziębłej.

— Panie Kazimierzu! co Panu jest? ja Pana niepoznaję, — poco ten szal? jakież domysły stworzą o Panu ludzie i ten Pan który jest świadkiem wszystkiego.

— Niemym wprawdzie jak grobowiec, ale zawsze świadkiem, rzekłem dodając do jej słów nakazujących ostróżność.

On się schwycił, porwał za kapelusz i szybko mówił trzymając jej rękę.

— Bądź zdrowa, bywaj Pani zdrowa — twórz marzenia o niebie siedząc na pulchnej sofie — graj walce na twym fortepianie i kochaj jeśli możesz wysokiego urzędnika — a ja będę walczył, będę grał temi dziesięcią promieniami — ot patrzaj!... i wyciągnął ręce z rozpiętemi sztywnie palcami — na niebie — jeśli usłyszysz..., ale niech mi twój ojciec moją broń przyszle, bo inaczej biada mnie i jemu......

I wybiegł z pokoju szybko, z tymże samym wzrokiem dzikim, z tąż samą co pierwej nieprzytomnością. Uczułem w tej chwili całą potrzebę czynnego działania bez wahania się, bez stracenia chwili. Potrzebny mu był ratunek szybki dopóki choroba niezagnieździ się i niezostanie niepodobną do uleczenia.

— Pani! proszę się uspokoić, rzekłem głosem nadziei biorąc ją za rękę wpół odrętwiałą — to com widział i słyszał robi mnie przyjacielem Pani na zawsze, przyjacielem bezwarunkowym. Pojmuję serce Pani, szlachetne ono jest kiedy umie kochać drugą szlachetną duszę, niepowodując się przesądami świata, niepatrząc na ubóstwo; tem szlachetniejsze bo biedne zaczęło zawód swych uczuć od boleści i strat niezasłużonych, bo musiało w obec świata wypierać się tego co było jego życiem i skarbem. Byłbym nikczemnikiem gdybym był nawet obojętnym widzem cierpień Pani i jego, którego kocham jak brata bo ma piękną, wielką duszę, organizm tylko słaby dla niej — moc jej kruszy go.... Słowa moje zwróciły jej uwagę — jej wzrok z całym niebem ufności i wiary wemnie położonej przeniknął moją duszę, był wdzięcznością i hymnem dla mnie — jak gdybym już tryumfował, jakbym już w hołdzie stawił go przed nią zdrowego i szczęśliwszego jakim był niegdyś — i w tych oczach, oczach anielskich dwie łzy stanęły — czy boleści ducha czy prośby.

— Pojdę zaraz, odwiedzę go, on niema umysłu pomięszanego jakby się zdawało — ten jego stan dziwny co innego oznacza.

— I cóżby mógł oznaczać? pytała z bojaźnią aby prawda niebyła jeszcze straszniejszą jak domysły.

— Oznacza początek gorączki mózgowej — gorączki która niemoże być inną w człowieku takiej silnej wyobraźni, takiej potęgi ducha, — czy ona będzie gwałtowną czy nie? Bóg to wie — a jaką by niebyła, ja będę jego stróżem — ja go Pani powrócę.

I nieczekałem odpowiedzi jej, bo odpowiedź byłaby tylko podziękowaniem, a podziękowanie tylko łzami których się zawsze lękałem choćby to być miały łzy wdzięczności i uczucia.

VI.

Byłem odtąd widzem, stróżem i lekarzem biednego entuzyasty — poznałem otaczającą go rodzinę — ludzie dobrzy ale go niepojmujący. Młoda tylko jego siostra, dziewczynka dorastająca; była istotą dobrze przystającą do duszy brata — cicha raz, znowu swawolna, przywiązana do niego namiętnie, miała też samą czułość co zgubiła jej brata, ale na szczęście jeszcze nie skierowaną do przedmiotu któryby poczytywano, lub któryby był w istocie celem szalonym.

A ten brat — smutny widok! Choroba bowiem szła szybko, a za każdym swym krokiem robiła swieży wyłom w jego młodym organizmie i byłaby go szybko obaliła, gdyby z tychże samych przyczyn urosłe olbrzymie oddziaływanie natury nie broniło go i strat nie nagradzało. Czy może być widok smutniejszy myślałem nieraz przy nim siedząc, jak obraz ducha schorzałego, z połamanemi pojęciami, z wyobraźnią monstrualną, tegoż samego ducha który przed chwilą tworzył cuda geniuszu. Boleśny ten widok miałem wtedy przed sobą — w cóż się zamieniały moje piękne marzenia o duchu, o sile woli, o potędze rozumu, kiedy

musiałem patrzeć na ten dziwny stan w którym dusza chora, wola upadła, rozum zdegenerowany, tak wyraźnie przeczyły moim pięknym teoryom.

Choroba jego z każdym dniem stawała się silniejszą, niebezpieczniejszą — rozwinęła się gorączka nerwowa, natury mózgowej, jedna z tych, sięgających najgłębszych warstw organizmu, w których zniszczenia z każdą chwilą postępują niepostrzeżone i tem niebespieczniejsze; — tem mniej zaś dobrego wróżyłem na przyszłość żem zgadywał przyczynę — a nią była walka ciężka duszy, moralna strata ideału pożywczego dla niej, a więc rospacz duchowa, powolnie ale bez zawodu podkopująca obojętne ciało, odkąd zamieniło się w niepotrzebny ciężar dla duszy. Teorya tego zarozumiałego starca gniewała mię, jej to skutki, myślałem i zanurzony w tej myśli, siedząc u jego wezgłowia właśnie ujrzałem wchodzącego Pana T***. Ponury i zimny stanął nad jego łóżkiem i pilnie w niego patrzał.

— Jakże Pan uważasz, jak się ma, rzekł ze zwykłą spokojnością.

— Nienajlepiej, albo raczej najgorzej, odpowiedziałem.

— Ale teraz spi przecie?

— Jest to sen ptaka na gałęzi — co moment się budzi i zawsze bredzi.

Kiedyż wypadnie przesilenie choroby — wszak Panowie zawsze się go spodziewacie w gorączkach?

— Tak, ale to tylko w gorączkach mających zasadę czysto materyalną, przesilenie staje się wówczas funkcyą normalną choroby, tak jak inne zwykłe funkcye są normą zdrowia. A tu rzecz się ma z czem innem — to indywiduum nie materyalne i choroba jego następnie wychodzi z obrębów materyalizmu a więc niespodziewać się tutaj dobroczynnych usiłowań materyalnych — bo to choroba ducha.

— Alboż duch może chorować? przecież on jest pierwiast-

kiem Bozkim, nieśmiertelnym a więc nieuległym zepsuciu i chorobie.

— Czemuż niemoże? jak tylko może być potężnym, genialnym lub niedołężnym i głupim — to może następnie będąc potężnym przy okoliczności zostać niedołężnym i chorym. Ale my tu tworzymy teorye a on już oczy otworzył i pewnie chce wody.

— Wody! a mnie na co woda — rzekł drżącym głosem chory — dajcie mi wina — patrzaj — ojciec pije i ja pić będę, a potém będziemy.... cicho, cicho! mnie niewolno o tem mówić, ja jestem tylko machiną co idzie jak ją nakręcą.

— Jak się masz Kazimierzu, czy mnie niepoznajesz, rzekł Pan T***.

— Jak to niepoznaję.... Pan jesteś Jasny i Wielmożny — łamiesz podkowy, to mało, łamiesz dusze..... i jasny.... ach jakież światło! głupie moje oczy, jakże one źle zbudowane — niema u nich plewki co jest u orła na takie światło.

— Panie Kazimierzu, przerwałem mu bredzenie, Pan T*** przynosi Panu piękny ukłon od Panny Stanisławy.

— Stanie sławy — o niestanie sławy — bredził dalej chory — tak i ja dawniej marzyłem — i gdzież ona, ta sława! W niebie, czy w sercu — albo może dodawał ciszej w tabakiercе p. sędziego — kto to wie?

— Ależ to od Stasi mój Kaziu rzekł rozrzewniony Pan T***.

— Od Stasi! biedna ona, o! biedna! na co jej było marzyć tak pięknie, po co jej było kochać szaleńca — potępionego szaleńca. Biedna, biedna! niech ją Bóg pocieszy i jej jasny anioł stróż. A kiedy kwiatki zakwitną a słowik zacznie śpiewać... Nagle się porwał z łóżka, usiadł i utkwił oczy dziko i badawczo.

— Idę, idę, wołał, gdzie moja broń, moja broń! moja jasna broń.

— Jaka broń mój Kazimierzu, mówiłem mu łagodnie.

— Jaka? którą walczyłem i którą byłbym zdobył laur co mi wydarto — broni mej, broni! — ty starcze przeklęty wróć mi

ją albo sobie głowę o mur rozbiję. Jaka broń? nie ta co zabijała a ta co zabiła — a wreszcie któż przeszkadza — niech idzie jeżeli będzie bogaty — a odmówi pięć pacierzy i jedną litanią... wszak dosyć za dusze umarłe? Na mogile kwiatki rosną, i rosa na kwiatkach błyszczy, bo one płaczą o! ciężko im na duszy!.. biedniaczki!

— Może tu są gdzie pistolety, mówił na stronie Pan T***, warto mu dać, wszak nic sobie niezrobi niemi gdy będą nienabite.

— Pójdę i przyniosę swoje.

— Wyszedłem i w sąsiednim pokoju zastałem piękną Stasię; siedziała przed stolikiem i uchem łowiła każde słowo które biedny chory wymówił mocniej—a chociaż twarz jej była zacieniona kapeluszem, można jednak było widzieć z pod niego bladość i łzy spadające — przy niej stała młoda Karolcia i chusteczkę zmoczoną łzami cisnęła w załamanych dłoniach.

— Czy to prawda że Pan Kazimierz ma się bardzo źle? wyjąknęła młoda dziewica głosem prawie niedosłyszsnym.

— Źle — tak — źle! ale przecież Pani, i źle niejest to jeszcze bez nadziei.

I poszedłem dalej, a wziąwszy z sobą pistolet wracałem do chorego — ona zabiega mi drogę.

— Co to ma znaczyć! na co ta broń! zawołała głośno.

— Chory żąda — niebój się Pani, ta broń pusta.

I niosłem ją dalej a biedna dziewczyna stanęła pod drzwiami i szarpała swą duszę każdym jego słowem.

— Doktorze, z kim gadałeś — tam! zawołał chory siedząc na łóżku z całą mocą pozornie zdrowego.

— Kiedy? teraz?— z nikim.

— Nie z nikim — chyba z jej duchem. Gdzie jest moja broń, gdzie ona! tam, w górze chóry anielskie już się uszykowały— czy słyszycie tę muzykę . . . . . i natężał ucho i rękę po broń wyciągał. Dano mu pistolet, spojrzał nań z szyderstwem, rzu-

cił daleko od siebie.— Czy to, czy to broń duchów nieśmiertelnych!— Cóż to niewiecie że to narzędzie głupców — pieśń co z tąd leci, krótka jest i martwa, ledwo się ozwie jak sława tych co ją tworzą — i wnet znika — moim mieczem zbrojne są chóry niebieskie — dźwięk jego to pieśń chwały!

— Czy wiesz Pan co? rzekłem do Pana T*** na stronie, mnie się zdaje że to on gada o muzyce i swoich skrzypcach— dajmy mu je.

— W cóż się zamieni cała moja praca, odrzekł Pan T***, on już odwykł od tej myśli, wskrzesimy ją w jego głowie niepotrzebnie.

— Więc Pan sądzisz, rzekłem szyderczo, że on zapomniał iż żył niegdyś, zapomniał że był szczęśliwy! a któż to zapomina chwil szczęśliwych dla siebie. Zapytaj Pan pasibrzucha kiedy najlepszy zjadł kawał mięsa, to ci z roskoszą o tém przypomni, a miałby poeta-muzyk zapomnieć o tych skarbach swoich ideałów, co w każdej kryjówce jego mózgu czuwają, czekając aż je wywoła. Muzyk ma zapomnieć że był muzykiem! o Panie T*** źle znasz serce ludzkie w którym każde uczucie wypala się literami niezatartemi.

— Pan mi przeszkadzasz, uszczęśliwić go kiedyś.

— Ja? rób Pan co chcesz! ja tylko sądzę że większą jest łaską i dowodem przywiązania dać komuś broń którą mózg rozsadzi kiedy jej wola, aniżeli mu odjąć to co kochał całą duszą i bez czego dusza jego jest mu tylko ciężarem niepotrzebnym na ziemi. Ale patrzaj Pan, patrzaj jak straszliwa zachodzi zmiana w całej jego postaci — ten wzrok otwarty, wielki i pusty, te głęboko pomarszczone czoło — okropny kurcz, konwulsye grożą — bodajby tylko niedaremne były nasze usiłowania żeby go zrobić szczęśliwym.

Twarz chorego w istocie nabierała wyrazu okropnego, walka życia i śmierci poprzedzona okropnym wstrząśnieniem mózgu była widoczną dla każdego kto choćby trochę pojmował sztukę lekarską. Konwulsyjne wstrząsnienia co chwila poruszały wyprężonym ciałem — jednakże siła woli jeszcze nieupadła pod

wpływem choroby, ciągle wołał: gdzie moja broń — dajcie mi broń moją!.

— Panie Kazimierzu — powiedz mi wyraźnie czego żądasz.

— Tyś lekarz — żądam lekarstwa — słuchaj mię i zlituj się — lekarstwa co mię uratuje, co mię zbawi. — Patrzaj jak mię męczą! patrz jak ja nikczemny! tam nademną duch harmonii mistrz mój śpiewa hymn chwały, a ja tutaj bezsilny, spodlony zapomniałem być echem chwały. Patrzaj, patrzaj, ojciec mój każe mi grać sonatę, fantazyę którą stworzył przed zgonem. Jego szaleńcem zrobili, jego potępili — ale ja go pomszczę, dajcie mi broń, ja go pomszczę!

I zatapiał coraz mocniej wzrok w przepaść cienia co się krajała z żywym światłem w pokoju i trzymał nieporuszony w tym szalonym, okropnym zachwyceniu. W tém drzwi się otwarły i weszły dwie dziewice — jedna z nich miała w ręku skrzypce — przybiegła lekkim choć chwiejącym się krokiem i zawołała.

— Oni cię niepojmują Kaziu — masz co ci odebrano — twoje skrzypce!

— Skrzypce! krzyknął głosem wielkim zwycięzcy w chwili tryumfu — moje skrzypce z rąk twoich! — Ktoś ty! — to ty Stasiu — i chwycił w wychudłe dłonie jej ręce i skrzypce i cisnął do ust spalonych gorączką.

— Kaziu! zlituj się nad sobą — weź je i bądz czym byłeś — ale żyj — żyj przez litość dla mnie — bo ty chcesz umrzeć, o! ja wiem że ty chcesz umrzeć.

— Ja mam umierać? rzekł głosem pełnym, wielkim, natchnionym — ja! dla którego harmonija będzie skrzydłem Cheruba, tronem chwały — ja nieumrę. I puścił jej ręce i znów zatopił oczy w przepaść cienia, i znów zawołał po chwili: — Słucham cię, słucham mistrzu mój!

I zapomniał o ludziach, o chorobie — dłonią biegłego artysty skrzypce i smyczek ułożył do wzniosłej harmonii; ktoby go widział w tej chwili pojąłby gdzie graniczy ziemia z niebem,

gdzie jest świat wcielonej poezyi! Poezyo wielka, poezyo duszy! gdyby ci co bluźniąc tobie brną w błocie ziemskim i przewalając się po jego stęchłych bagniskach stworzyli sobie tylko raj zmysłowy, zgniły i chwilowy — gdyby ci mówię co niewierzą w nic tylko w szkiełko swego rozumu, ciasnego i wątłego jak podwaliny na których go zbudowali — gdyby mogli widzieć com ja wtedy widział i uczuć moim czuciem — natenczas..... w cóżby się obrócili natenczas.....

Muzyka rosła! i coż to była za pieśń?— pieśń konającego łabędzia na rodzinnych jego wodach — ostatnia, pożegnalna, w którejbyś słyszał wszystkie nuty wspomnień dawnych i marzeń nieziszczonych, pieśń, w której dusza bluźniłaby rozstrojonymi akordy Stwórcy swojemu za to że jej kazał męczyć się tak długo na ziemi, którą ukochał, męczyć się tak marnie — ale się zmieniła w tęskną melodyę za nią niewdzięczną, bo ją kochał choć go od siebie odpychała — w hymn pożegnania i chwały własnej — i cóż wreszcie powiem? Któż pojmie jęk duszy nieśmiertelnej w chwili gdy ma osięgnąć swą nieśmiertelność!— Staliśmy porwani wirem jego pieśni — a on, z twarzą natchnioną, jakby już nic ziemskiego w niej niebyło, z całą mocą niepokonanej woli bujał dalej, dalej fantazyą wielką, szaloną, niemającą początku ni końca..... lecz stopniami melodya słabła, jakaś monotonija niepojęta — do czego ona dąży? dla czegoż na jednej strunie wlecze się ten jeden ton boleści niezmieniony jakby dusza muzyka zadrzemała na nim albo uleciała....... Głowę pochylił ku skrzypcom, postać jego przed chwilą tak silnie wyprężona, zachwiała się, zwisła ku poduszkom..... Cóż to jest! słuchacze niepewni stoją w zdumieniu, w trwodze — niepewność nimi szarpie, ale boją się rozbudzić duszę muzyka co może zadrzemała razem z ostatnim tonem swej tęsknej melodii — lecz nagle zadrżeli wszyscy — ręka jego wyrwała z uśpionego instrumentu jakiś ton okropny bez dzwięku i harmonii ale przerażający swą prawdą — i urwała go, skrzypce potoczyły się na

ziemię i rozprysły w kawałki kończąc echem swej śmierci resztę gasnącej nuty rospaczy — wtorując i drugiej śmierci . . . co już uderzyła . —

— Pękły struny! zawołał, upadł . . . . patrzałem przerażony.... w istocie już wtedy pękły struny jego życia.

— Kaziu! Kaziu! wołały obie dziewice chwytając go za ręce skostniałe .

Piękny , boski ton melodii , pomyślałem , już powrócił do swej przedwiecznej pieśni w niebiosach!

O reszcie nic wam niepowiem — bo się domyślicie .

Edward Marjan.

Poeta u kresu życia.

(z Lamartine'a.)

Dotknął mię ciężkiém skrzydłem geniusz zniszczenia;
Każdy oddech unosi część mego istnienia;
Troski, żale, pieszczoty próżną są pomocą!
Już jęk spiżowy śmierci uderza me ucho,
W około siebie widzę łzy i tkliwość głuchą:
Mamże płakać czy śpiewać przed tą życia nocą?

Śpiewajmy, bo ma ręka jeszcze lutni sięga,
Śpiewajmy, bo w tej chwili Bozka mię potęga
Jak łabędzia nad grobem melodyą darzy.
Idźmy więc wieszczych uczuć niewidzialnym torem:
Jeśli dusza jest samej harmonii zbiorem,
Niechaj śpiew Bozki nicość z wiecznością kojarzy.

Lutnia krusząc się jęczy wynioślejszym tonem;
Świecznik nagle budzi się i wzmaga przed skonem
Potężniej rozpędzając natarczywe cienie;
Łabędź w ostatniej chwili wzrok po niebie toczy;—
Człowiek tylko na przeszłość obracając oczy
Liczy dnie, by wśród westchnień ronić łez strumienie.

Coż jest życie, że jego schyłek nas dotyka?
Po roku rok upływa, po dniu dzień umyka;
Chwila zeszła podobna do tej co uchodzi:
Co nam jedna przynosi, to druga porywa.
Praca, spoczynek, boleść, czasem myśl kłamliwa —
Oto dzień życia, potem noc śmierci nadchodzi.

Niechaj ten ubolewa, kto wśród trosk odmętu
Całą duszą przylgnąwszy do dni swoich szczętu,
Z niknącym czasem widzi niknące nadzieje.
Co do mnie, ja w przyszłości niemając obrazu,
Oczekuję bez trwogi przeznaczenia razu,
Jak liść wątły, gdy burza jesienna powieje.

Podobny do tych ptaków przelotnego stada,
Które na brzegach wody gniazd swych niezakłada,
Ani gałęzi drzewa sztuczną więzią pęta;
Które przed wdzięcznej pory posępnym noclegem
Śpiewając rozstaje się z gościnnym swym brzegiem
I których świat szeroki głos tylko pamięta.

Nigdy żadna przemysłu despotyczna siła
W źródle mej duszy wieszczych tonów niemąciła.
Śpiewałem taką siłą, jaką człowiek wzdycha,
Jaką strumień krętymi nurtami ucieka,
Jaką orzeł powietrzny ocean rozsieka,
Jaką pszczólka wyciska miód z róży kielicha.

Z wysokiej wieży młotem świętym uderzony
Ogromny dzwon roznosi głos w odległe strony
Zwiastując naprzemiany smutek i wesele.
Byłem, jak ów spiż twardy ogniem oczyszczony
A każda namiejętność, jak młot poświęcony,
Dobywała z mej duszy harmonijne trele.

Tak lutnia opuszczona od uczonej ręki,
W ciszy nocy rozlewa czarodziejskie jęki
Poruszona pieszczonym zefiru oddechem.
Podróżny na ten odgłos, zdjęty podziwieniem,
Zatrzymuje się, słucha i z świętém westchnieniem
Sądzi go być powietrznem geniuszów echem.

Nieraz ma lutnia była uperlona łzami:—
Te meteory duszy są niebios kroplami.
Pod niebem zawsze czystém serce niedojrzewa.
Z toastu stłuczonego sok winny wynika;
A kwiat zgnieciony trafem nogą wędrownika
Aromatyczne wonie w powietrzu rozsiewa.

Bóg utworzył mą duszę swém ognistém tchnieniem,
Wszystko obejmowała niszczącym płomieniem;—
I dziś ten zbytek czucia z ogniska wypłynie.
Wszystko, czego dotknąłem, popiołem się stało:—
Tak spadłszy między krzewy grom ognistą strzałą
Gdy wszystko w proch obróci, sam gaśnie i ginie.

Życie niknie, a sława... i cóż znaczy sława,—
To morze życzeń, w którém próżność się napawa?
To echo wieków, świetne potomków igrzysko?
Wy, których do prac wielkich sława zachęcała,
Słuchajcie, oto lutnia głośny jęk wydała!—
Wiatry już go uniosły w nicości siedlisko!

Ach! dajcie geniuszom świętniejszą otuchę.
Czyliż grobowe ściany milczące i głuche
Powtarzać będą zawsze ten odgłos subtelny?
A ty, co z dumą śmieszną zyski swe rachujesz,
Co swojej sławie przyszłe wieki obiecujesz,
Rodzie bezsilny! czyliż jesteś nieśmiertelny?

Ja świadczę się bogami, że od urodzenia
To wielkie imie, przedmiot czci i podziwienia,
Nigdy bez wzgardy z moich ust niewychodziło :—
Bardziej je gniotąc, bardziej czczém mi się zdawało,
Odrzuciłem je przeto, jak korę spróchniałą,
Której i w usta nawet kłaść niewarto było.

Człowiek, nawykły nosić przesądu kajdany,
Wielbi sławę, ściga ją i czasem porwany
Zostawia z swém imieniem wszystkie swe życzenia;
Lecz ten chlubny ostatek, to zalet wezbranie,
Płynie, płynie i płynie na czasu bałwanie,
I nakoniec topi się w wirze zapomnienia.

Na tych bezbrzeżnych wałach niech przesądu burza
Jeszcze i moje imie topi lub wynurza; —
Czyż będę przezto większym? i cóż mi po sławie?
Łabędź kiedy się wznosi pod nieba sklepienie,
Chceż widzieć, przyjaciele, skrzydeł jego cienie
Czy kołyszą się jeszcze na podłej murawie?

Ale czemuż śpiewałeś? Pytajcie słowika,
Dla czego w chwilach nocy ze szmerem strumyka
W roskosznych cieniach gaju wdzięczny swój głos łączy?
Śpiewałem przyjaciele, jak śmiertelnik wzdycha,
Jak gołąb' miłość grucha, jak zefir oddycha,
Jak potok bieżąc huczy, jak strumyk się sączy.

Na pieniach i miłości życie me strawiłem.
Śmiertelnicy! z dóbr ziemskich, które dziedziczyłem,
W tej chwili pożegnania żadnego niepłaczę :—
Żadnego mówię, oprócz miłości westchnienia,
Prócz zapału mej lutni i prócz zachwycenia,
Gdy serce z sercem były wymowne tłumacze.

U nóg Bozkiéj dziewicy widzieć drżącą lutnię,
Jak poruszonych uczuć harmonijną kłótnię
Łącząc z swymi akkordy rozkoszą oddycha;
Widzieć te spływające łzy nieocenione,
Jako perły poranku wietrzykiem trącone
Spływają z wonnych kwiatów pełnego kielicha;

Widzieć skromnej dziewicy pełne wdzięku oczy
Z tkliwością pogrążone w niebieskiej przezroczy,
Jak gdyby dla zniknienia z niknącymi tony;
Potém w schylonych zlekka ze łzą uroczystą
Przez długie rzęsy widzieć duszę promienistą
Jaśniejącą jak ogień wśród nocnej opony;

Widzieć jej śnieżne czoło obłoczkiem przyćmione,
Jej usta wstydliwości krasą upiększone,
I nakoniec usłyszeć po długiém milczeniu
To słowo, głos którego samych niebios sięga,
Słowo, w którém się kryje miłości potęga!—
Otoż, co się zawiera w tém jedném westchnieniu.

Prócz tego skarbu niczém wszystkie skarby świata!
Teraz, gdy znikły moje godziny, dnie, lata,
Pójdę tam, gdzie przeczucie niosło me życzenia,
Pójdę, gdzie wzrok nadzieję widzi bez zasłony,
Gdzie utonęły wszystkie mojej lutni tony
I gdzie wszystkie z mych piersi wzniosły się westchnienia.

Jak ów ptak, co swym wzrokiem ciemności przeszywa
Wiara, ta przyjaciółka śmiertelnych prawdziwa,
To oko duszy, moją zniszczyła obawę.
O ileż razy duch mój na skrzydłach z płomieni
Unosząc się do źródła wieczystych promieni
Uprzedził śmierć, tę straszną dla pieszych przeprawę.

Niechaj grobowca mego próżność niedotyka.
Niegniećcie mych ostatków ciężarem pomnika,
Ta ozdoba mną zawsze była pogardzana.
Oznaczcie tylko grób mój miejscem tak szerokiém,
Aby na nim przechodząc, w swym żalu głębokim
Nieszczęśliwy mógł westchnąć ugjąwszy kolana.

Często wśród tajemniczych cieni i milczenia
Modlitwa unosząc się na skrzydłach westchnienia
Znajduje blask nadziei obok śmierci mroku.
Noga na grobie mniej już należy do świata,
Tam wzrok czystszy, a dusza swobodniej ulata
I czyta łatwiej w świętych tajemnic obłoku.

Zdruzgoczcie moją lutnię i rzućcie w płomienie,
Gdy z swym dźwiękiem połączy ostatnie me tchnienie!
Wkrótce lutnia Serafów zabrzmi w mojém ręku: —
Wkrótce jak oni żyjąc niezgasłém natchnieniem
Będę może czarował niebo mojém pieniem
I potęgą Bozkiego mojej lutni dźwięku.

Wkrótce... Lecz już ponurej śmierci dech niszczący
Uderzył moją strunę, już głos konający
Coraz głuchnie w przestrzeniach okiem nieobjętych.
Lutnia moja umilkła... Przyjaciele mili,
Weźcie waszą, niech dusza w tej ostatniej chwili
Rozstaje się z tym światem wśród koncertów świętych.

Benedykt Dołęga.

M A R A,

a l b o

dziwactwo dziwaka i mądrość mądrego świata.

Nie przeto wyrzekam na ciebie poezyo matko piękności i zbawienia! Ten tylko nieszczęśliwy, kto na światach poczętych, na światach mających zginąć, musi wspominać lub przeczuwać ciebie, bo jedno tych tylko gubisz, którzy się poświęcili tobie, którzy się stali żywymi głosami twej chwały.

Krasiński.

I.

Nie raz rozmyślałem i dotąd jeszcze lubię się czasami zastanawiać nad tém jak to często w życiu najdziwaczniejszy pomysł, najciemniejszy zabobon, najbardziej fantaziją ubarwiony przesąd, zawiera w sobie jakieś głębokie znaczenie, jakieś enigma, co prawie daje się codziennem sprawdzić doświadczeniem. Wskażę tu dla przykładu choćby na jeden tylko szczegół. Tur-

cy np. zabraniają malować obrazy a zabraniają z przyczyny — że kunszt ten usiłuje za pośrednictwem kolorów, światła i cieni przedstawić w znikomém złudzeniu rzecz najwyższej, najciemniejszą tajemnicą okrytej potęgi, bo *kształty życia*... W ich przekonaniu mary te nieprzestaną ścigać kiedyś swoich autorów, po ich śmierci, domagając się od nich, by im oddali, co w piekielnej ironii, w szatańskiém przedrzeźnianiu dzieł Boga dać im przyobiecali: będą mówię, wiecznie domagać się od nich realnego bytu, exystencyi, *życia*... Jakąż to głęboką prawdę ukrywa w sobie ta allegorya, przenośnia rzucona od niechcenia, *instynktowie*, jak pełna mądrości bożej harmonia świata, nic o sobie, o swoich prawach niewiedząca, przychodząc dopiero do swego przeświadczenia w człowieku — *mikrokosmie*, uosobnionej harmonii wszechświata? Bo czyż to mało, pytam, zapaleńców marzy, wzdycha, płacze aż wymarzy sobie w końcu widmo jakieś, jakąś tęskną łzawą czystą a powiewną postać, która potem stanie się udręczeniem całego ich żywota? Wieleżbo to, pytam, nadobnych kobiecych kreacyj, wymarzonych w bozkim zapale, nieprzestają potem prześladować nas w życiu, wiecznie stawiając nam przed oczy kontrast ideału i rzeczywistości? Prawda, dziś to już rzadko; bardzo rzadko; to też widok ten, jeśli się kiedy nadarzy, tém boleśniejszy! Nieoszukujmy siebie! Wiele mamy dziś poezyi w książkach, ale w sercu i w życiu mamy samą tylko prozę, taką właśnie prozę, jaką się inwentarze i handlowe faktury piszą. Nieoszukujmy siebie powtarzam; łza, która spada na welinową kartę, nie zaliczy się nam nigdy; bo według myśli Bożej, doskonałość nie w imaginacyi a *w sercu*, w *myśli* i *woli* a potem *w czynie* być powinna. Nie mary exaltować nas powinny, bo nie dla nich Bóg nam dał współczucie; nie czcze widma mają być przedmiotem naszej miłości, nie Ofelia, nie Rebeka (1), ale nasza ziemska Ewa we-

---

(1) *Utwor Walter Skotta w romansie Iwanhoe.*

dług ciała, niebieska siostra według ducha! Na cóż bowiem Bóg włożył w serce nasze świecznik poezyi, która jak słońce oświeca oczóm ducha świat ideałów? I kto wie, czy wpatrzywszy się lepiej w ten świat, nieujrzelibyśmy tam w końcu, w pośrodku tych dziwów, kolosalnej postaci Chrystusa, w tych śnieżnych szatach, i z owém to promiennem obliczem z jakim ukazał się wybranym uczniom na górze?? Dla czego, pytam, Bóg w widoku ziemi gwiaździste Niebo, ową empirejską arkę, zawiesił? Dla czego Chrystus, depcząc ziemię nogami, wskazywał ustawicznie palcem na Niebo? Dla czego Bóg w ciało, ów marny zlepek gliny, wszczepił nieśmiertelnego ducha? Są dwa światy: *z ziemi ziemski* i *z ducha duchowy*. Zbawiciel, jak sąm to o sobie mawiał, niebył z tego świata: a ojczyzną jego było niebo, kraj ducha, kraj doskonałości, kraj ideałów; nauka jego była wiernem odbiciem tego świata; przynosząc ją na ziemię on usiłował zaszczepić w duchu ludzkim, skalanym i zmateryalizowanym pogaństwem, prototyp niebieskiej doskonałości. Jeżeli tęsknimy za ideałami to my za chrześciaństwem tęsknimy; poezya utwarzająca moralne ideały, jest prawdziwie poezyą Chrześcianizmu, *poezyą tęsknoty za Niebem*. Ale Niebo jest to duch; doskonałość niebieska jest doskonałością ducha; tęskniąc do Nieba, do doskonałości tęsknimy. W doskonałości duchowej jest Chrystyanizm, *bo przez doskonałość tylko staniemy się synami Bożymi*. Ale obróćmy się do tych, co nas otaczają; zapytajmy ich o to wszystko, a pewnie odpowiedzą nam że to są tylko czcze urojenia— puste *mary*! Wszakże mary i ludzie, jeżeli się rzadko łączą w jedno, to często jednakże mieszają się z sobą; jakże bo to często mary i ludzie, są razem, nieprzestając wszakże przytem składać dwoje. Ukochałeś np. istotę żywą, a pokaże się potém, żeś tylko czczą marę ukochał; żeś ukochał *widmo* jakieś, pod którém, często, kryje się obojętny albo nawet czasem całkiem nienawistny ci człowiek. Któż jest to widmo, to wiecznie,

jak martwica o kształtach anioła, ścigająca nas mara? Oto, jest to nic więcej jak część, część najszlachetniejsza naszej własnej duszy; nic więcej, jak nasze najukochańsze sny, nasze własne gusta, najukochańsza cząstka własnego naszego jestestwa, dusza naszej duszy, co się oddzieliła od nas i złożyła odrębną osobę; pycha czepiająca się powszednich ludzkich postaci i okraszająca je swoim promieniem, jak powój, co barwnymi splotami swych kwiatów obwija bezecne osty... I my kochamy te łudzące nas widziadła i w nadziei, że kochamy kogoś innego, rzeczywiście samych tylko siebie kochamy! To sen! Ale jakże musi być smutne ocknienie się! Jak okropny moment, kiedy poznajemy w końcu, że w mniemanej najwyższej naszej abnegacyi, byliśmy może największymi egoistami! I rzeczywiście, nikt temu zaprzeczyć niemoże, bywają wypadki, że znajdujemy jakieś istoty, jakieś *dusze-siostrzyce*, które są jakby powtórzeniem nas samych; że ukochawszy je kochamy siebie i kochamy razem drugą jeszcze osobę? Wtedy to miłość jest jakby rozdwojeniem jednej osoby i zlaniem się dwójga w jedną; pełność takowego przeświadczenia, to głębokie przejmujące uczucie, wiecież jak się ono zowie? Zowie się *szczęście*!

II.

Kto to przeczytał powie może niechętnie odrzucając książkę: czcza gadanina! Chwilkę cierpliwości!— chcę, wam opowiedzieć jedno zdarzenie, zdarzenie maluczkie, może nic nieznaczące nawet, ale zdarzenie prawdziwe; za historyczność jego mogę wam śmiele zaręczyć. Kto jednak spodziewa się powieści, ten niech rzuci tę książkę: tu niemasz powieści; to sama prawda i dla tego nudna jak prawda; powieść, jako utwor fantazyi, zawsze prawie rozmaita, bogata jak życie, a to, rzecz dziwna! treść wzięta z życia, ale uboga, bo brałem zeń to tylko co się odnosiło do jednej osoby, jeszcze mniej, bo do jed-

nego bardzo szczupłego okresu czasu, albo jeszcze ciaśnej *do jednego zdarzenia*. Coż to za ciekawe takie zdarzenie? powiecie. Zdarzenie proste, ale pokazujące dokładnie *dziwactwo dziwaka* w przeciwieństwo *mądrości mądrego świata*. Jeżeli was niezajmie *dziwactwo* może mądrość zająć was zdoła, jeszcze jaka *mądrość*? *mądrość świata*!! Śmieszna to wszakże będzie rzecz, jeżeli znalazłszy dziwactwo nie znajdziecie bynajmniej mądrości. To nie powieść! powtarzam; kto szuka powieści ten niech odejdzie. Jest to przypomnienie kilku rysów, albo raczej kilku zdarzeń co się złożyły na obrysowanie dziwnego charakteru jednego szczególnego człowieka—*oryginała* co się zowie. Proszę o mały wzgląd, o chwilę cierpliwości. Powiedziałem, że jest to wspomnienie z mego życia. Wspomnienie! drogi to skarb! szczęśliwy ten co ma cokolwiek do pamiętania i rad z tego że pamięta; w pamięci bowiem naszej, tyle się czasami wala rupieci, że wiele byś oddał zato, aby się pozbyć tego niepotrzebnego ballastu. Mówią że wspomnie jest zwierciadłem żywota; biada więc człowiekowi jeżeli w tém źwierciadle same się tylko niepotrzebne zielska odbiją.

Było to w mieście N** *jednego roku;* to bowiem jest pewnikiem, że co się tylko dzieje musi się zawsze dziać w jakiemś roku— i to co się tu opisywać będzie działo się także w jednėm z liczby lat ciągle zapadających w przeszłość. W tym jednym roku znałem Rafaela, którego inni prosto *Rafałem* zwali; jam go zwał zawsze Rafaelem i kontent byłem z tego że dla mnie był on prawie inną osobą, gdy drudzy zwali go odrębném imieniem. Poznałem go w Uniwersytecie młodziutkiego, z czystą, niewinną duszą, z zapałem do wszystkiego, co tylko było piękne, wysokie, święte; stosunki nasze stawały się coraz bliższe, siadywaliśmy na jednej ławie, kwaterowaliśmy na jednym dziedzińcu, słuchali jednych nauk, jedne czytywaliśmy książki i mało po mału sympatya, jedność myśli — *przyjaźń* — wszystko to nastąpiło samodzielnie,, tak żeśmy się niespostrzegli jak naj-

większa zażyłość ożywiła nasze stosunki. Tam gdzie gusta są ciche, serca spokojne, tam usypiają namiętności, tam więc jeżeli sympatya połączy dwie osoby i połączy je ściśle, to niezawodna że o ile je zbliża do siebie z jednej strony, o tyle oddala je z drugiej od ogółu. Życie wtedy zdaje się skupiać do stanu podwójnego bytu, pełnego współczucia; bytu który już w sobie samem znajduje wszelkie moralne potrzeby. W wieku, kiedy miłość jeszcze nieprzemawia, takiej natury, prawie zawsze, bywa związek pomiędzy młodymi ludźmi, — pomiędzy ludźmi pełnymi zapału do nauki, ludźmi ze świeżą myślą, ze sercem pełném bogatych planów na przyszłość. Życie wtedy, jest pełne; bo pełne myślą, pełne dumaniem i nauką; czczość duszy tylko i próżniactwo pociągają młódź do hulanek i do zgrai *dobrych kolężków*.... Oddani pracy, nie zabieraliśmy z nikim ścisłych znajomości; to samotnicze, że powiem kontemplacyjne życie było, wedle Rafaela, przygotowaniem się do przyszłego *obywatelskiego* żywota. Tém przygotowaniem nazywał on nasze gawędy, pogadanki pełne jakichciś projektów na przyszłość, jakichś myśli na których poznałbyś zawsze gorącą pieczęć młodości i nie zepsutego serca t. j. serca takiego, jakie zawsze wychodzi z ręki B o g a.... Mówię tu o życiu dwojga ludzi niedoświadczonych, prawie dzieci; kogo to niezajmuje ten niech odejdzie; stan duszy młodzieńczej nie jest do pogardzenia; i moralista i filozof i poeta mogą wiele z niego poczerpnąć, kto wie nawet, azali poeci i moraliści nie dla tego właśnie są tém czém są, że wiele wynieśli z tego to stanu duchowej swojej młodości?!. Szyller był zawsze prawie młodzieńcem; tejże natury było usposobienie ducha Bernardin'a de Saint-Pierre'a tegoto czarodziejskiego autora Pawła i Virginii!

Są ludzie, których dusze jakoś niełatwo przystają do życia; nie łatwo z niém się oswajają i nigdy nie mogą przyjść do tego by z niego wyciągnąć jakiś sens moralny: zdaje się że patrzą na jego zjawiska a myślą o czém innném, albo że żyjąc

wspólnie ze wszystkiemi — żyją wszakże przytém swoim osobném życiem. Nasze obyczaje są tak wydatne, tak jasne, że zdaje się nic niemasz w nich do odgadywania; są jednak tacy, co jak Napoleon na skale S-tej Heleny, wiek swój by cały przestali przed nimi, z zadumaném czołem, z utkwionym wzrokiem. Do tej liczby należał Rafael: pomiędzy nim a życiem nic niebyło wspólnego, pomimo to że ludzie i moralność były dla niego najulubieńszym przedmiotem rozmowy; może pomimo własnej wiedzy przeczuwszy tę różnicę, dusza jego znieść ją usiłowała, starała się nastroić do jednego tonu... To ciągłe zajęcie się tak ważnym przedmiotem, przydawało jego fizyonomii poważny wyraz myśli.

Dusza mego przyjaciela najwięcej się wylewała w czasie letnich przechadzek; na wzór perypatetyków chodziliśmy rozmawiając. Ogród miejski albo prosto ulice były naszym portykiem, tamto oddawaliśmy się naszym rozmowom, których pamięć dotąd mi jest i miłą i drogą. Jakże często w te to momenta dysput wpatrywałem się w piękną, opromienioną zapałem twarz Rafaela. Czasami na wiosnę — przechadzając się w ogrodzie wzdłuż Dniepra, widok obszernej, wezbranej powodzią rzeki, daleko zalewającej płaski brzeg Małorossyi, albo ciemna smuga dymiących się lasów Polesia, ogromem swoich rozmiarów silnie działały na umysł mego towarzysza. Za wodzą tego wpływu natury twarz jego przybierała wyraz natchnienia: cudnie! wołał on w zachwycie upojonego artysty «możeż być więcej zachwycający widok? widziałześ kiedy co piękniejszego?» i oczy jego ciskały błyskawice zapału. Wtedy nie na rzekę wezbraną powodzią, nie na naturę patrzałem; czém jest bowiem natura przy piękności ducha który ożywia fizyonomię? Jakby odpowiadając na pytanie które mi zadał, myślałem sobie w duchu: o! może być coś piękniejszego od najpiękniejszej natury: on sam wtedy był wcieloną pięknością! Ma się rozumieć, piękność jego była inną wcale od tej piękności, jaką czasami podziwia jaka pro-

stoduszna Jejmość wykrzykując w pełnej zapału extazyi: « ach! jakiegoż to lokaja ma moja przyjaciółka hrabina Krownicka! » albo: » ach! jakiż to piękny kommissant w magazynie pana *Schwarzeschwejna*! « Nie! piękność jego niebyła takiego rodzaju, którą ma do podziwu cały ród *Schwarzenschwejnów*! Jego krasa była to glorya własnego jego ducha; w niej mogłeś upatrzyć przymioty serca i głębokość jeniuszu. Kształtny, wzniosłej postaci, zbudowany silnie, z podniesioną głową stał jak posąg Parthenon'u; owal twarzy jak najdoskonalej zarysowany, czoło wysokie na którém dwoje ciemnych brwi, parę pięknych czarnych oczu, raz pełnych uczucia i rzewności to znowu (i to najczęściej) połyskujących ogniem zapału; nos zarysowany krzywą linią, pięknego wykroju i pełne wdzięku malinowe usta — takie były rysy twarzy Rafaela — rysy postawione tu jedne przy drugich— martwo, zimno — a w nich tyle było życia! Jeżeli komu się zdażyło w naszém powszedniém istnieniu, zejść się z istotą, którą natura sama przeznaczyła dla panowania świata, bądź duchem, myślą lub siłą woli, bądź też potęgą fizycznej siły, ten wie dobrze jakiego to wpływu jest samo zbliżenie się takiego olbrzyma ducha lub ciała. Jak to wtedy wszystko maleje, i jak ta potęga pociąga do siebie; jak mniej obdarzeni duchem cisną się w około tego ogniska jeniuszu, albo ludzie słabi siłą, jakto oni starają się stanąć za tym puklerzem mocy, który jak mur chiński ma zabezpieczyć ich od wszelkich niebezpieczeństw. Niezawsze wszakże taki Goliath ducha wychodzi zwycięzko z boju życia; częstokroć sama moc, sama wzniosłość charakteru — siebie samą bojuje a w końcu przywala ogromem swoich rozmiarów. Cóż dopiero powiedzieć o tém jeżeli Tytan, do innego stworzony życia, sięgający czołem obłoków, musi w końcu spostrzedz że jemu ciasno na ziemi, że ta bryła materyi nie wystarczy dla jego abrysów? że życie jego jest wygnaniem, może karą Prometeusza za wykradzenie bozkiego ognia? Biada temu kto w zaraniu jeszcze ziemskiego ży-

wota, spostrzega, co go czeka na przyszłość; kto od tego, mówię, co go później czeka, odwraca twarz pełną wyrazu cierpienia. Poznawszy Rafaela, jam od razu odgadł jego przyszłość; ta dusza bowiem skąpana i wybielona w najczystszej moralności Chrystusa i przychodząca na świat jak gdyby do prawdziwej dziedziny Zbawiciela, ta wzniosła platońska dusza, mówię, koniecznie musiała cierpieć... Taki charakter nigdy się oswoić niezdoła ze zwyczajném pożyciem; najmniejsza plamka już razi jego oczy; troche mocniejszy ton — już słuch mu rozdziera a przywary, egoizm, chciwość, obłuda — *cielesność* wszelka, dłonią szatana pociągająca duszę do dołu — krwawi, kaleczy mu serce! Wszakże rany poniesione nie zrażają go bynajmniej; on krwią tą, którą świat utoczył z jego serca, jak pelikan swoje zgłodniałe dziatki, radby nakarmił braci swoich — **ludzi**...

Wszystko co go tylko zajmowało, co tylko miał na sercu, co tkwiło mu w myśli, wszystko to było przedmiotem naszych poufnych rozmów z Rafaelem. Kiedy rozwijał swoje myśli, żywą czułem ku nim sympatyą; żal wszakże było mi tych pięknych jego marzeń, barwnych pomysłów tego ducha, co doszedł do jego wieku, (do lat dwódziestu) niezmącony, nieodczarowany wcale, tak właśnie jakby tylko co zstąpił z jakiegoś planety. Jak mogłem starałem się go przygotować do życia; usiłowałem mało po mału podstawić mu przed oczy mniej jasne i czyste szkiełka, ale kiedy czasami jakiś mocniejszy zarys zdradzał powszednie brudy, on prawie z rozpaczą chwytał mię za rękę i patrząc mi w oczy, jakby z nich wyrok życia lub śmierci chciał dla siebie wyczytać, po kilka razy powtarzał: nie! — wszak to tak nie jest! Nieprawdaż — tak nie jest? To być nie może, to nie podobna, aby ludzie, te najpiękniejsze stworzenia bozkie, aby oni tak nisko mogli upaść, dotyla poniżyć siebie, możesz to być aby Bóg stworzył ich na to tylko, by oni raz dotknąwszy ziemi, jak wieprze poszli się tarzać w smrodliwej kałuży?? »O! pewnie, z takiém pojęciem o go-

dności człowieczej, nie można było przypuścić, aby moralność czczém słowem stać się tylko mogła. Ci, co przywykli do tego, co widzą codziennie w koło siebie — i w sobie, ci którym nie śniło się nigdy aby mogło coś być doskonalszego po za granicami naszych obyczajów, ci powiadam, niepojmą nawet o co rzecz tu idzie, nie pojmą tego *pessymizmu* Rafaela i przyczyny w której się kryje zaród zepsucia. Gangrena zepsucia obyczajów, gnieździ się u samego korzenia społeczności, bo *w familii*; z tamtąd to rozchodzą sie coraz to obszerniejsze kręgi, jakby żółte plamy zgnilizny, niesłychanie okropną rokujące przyszłość. I któżby mógł myśléć, że to zepsucie pod sztandarem europejskiej cywilizacyi wciska się i najgwałtowniej szerzy. Kierunek merkantylny dzisiejszej cywilizacyi rodzi materyalizm i sybarytyzm. Nienasycona chciwość bogactw, wyciągając wszelkie władze duchowe na środki wzbogacenia się, materyalizuje serce, zagłusza *moralność*, to najprawdziwsze ognisko szczęścia, źródło zadowolenia, prostoty, cnót domowych, spokojnej pracy, skromnych obyczajów, wstydu, stałości ducha....

Francya jest prototypem tego kierunku; ona to swymi pogańskimi, pełnymi bezwstydu modami i zwyczajami, gangrenuje płeć żeńską, ów zachowawczy pierwiastek moralności, obyczajów, cnót domowych, familijnego życia... Tam, gdzie to wszystko niewystarcza, biada temu narodowi! Dwa razy Francuzi wywrócili moralność, potargali świętość związków familijnych. Dziś wiecież do czego to oni was prowadzą? — Oto do tego co się u nich dzieje obecnie; do tych krwawych scen, z ostatniego rozbestwienia powstałych, jakim np. jest przykład morderstwa dokonanego przez księcia *de Praslin*, albo dawniejszego pani Lafarge, której *pamiętniki* czytają wasze córki, pewnie, *dla nabrania dobrego koloru!* Jakie są obyczaje tego narodu, który naśladować usiłujemy, tego doskonale uczą nas jego *obyczajowe* (?) romanse, gdzie w każ-

dym musi być *adulterium* podstawą całego dzieła... To są wszystko *rezultaty*; śledzcież wy teraz przyczyny, z których one powstały? O! te przyczyny codziennie my widzimy, jako *różane niewinnostki*, chociaż nasze bogobojne prababki na ich widok, przejęte zgrozą, pewnieby się dosyć odżegnać nie mogły. Gdym mówił z Rafaelem, wiedziałem jak dalekim jest świat od jego zaświatowych widziadeł; lubiłem wszakże przysłuchiwać się tej jego młodzieńczej, namiętnej mowie, bo sam byłem młody, bo ta poezya, jaką on wnosił do życia, łudziła serce nadzieją, a smutne jest życie bez nadziei, bez ducha, jakby jakieś ztrupieszałe życie, jeżeli już tak wyrazić się można. Jak każdy się łatwo domyśli — *miłość i kobieta*, były zwyczajnym przedmiotem rozmowy. Boże mój! jakież to były anioły, te dziewicze postacie wywoływane siłą jego wyobraźni! Cudo! Madonny Rafaela; pełne wstydu Chrześciańskie dziewice, których dusze były bielsze od wieńca najbielszych róż jakiemi aniołowie zwykle wieńczyli męczennice i wybrane Pańskie, jakiemi wieńczyli przeczystą swoją Królowę Najświętszą Pannę! Nie raz przy takich obrazach łzy mi występowały na oczy; smutnie potrząsłem głową i milczałem; bo cóż mu miałem mówić? Pewnie, może, jakimciś wypadkiem, jest gdzie młoda osoba, którą Bóg uchował od zgubnego wpływu światowego zepsucia, chcę mówić *od tego dobrego wychowania*. co jak Ruah pustyni, wysusza żywotne soki moralności; może są mówię, ale miałżem mu powiedzieć, iż to tak rzadko, że może w całém życiu jego nie przyjdzie mu ani jednej z nich napotkać... Milczałem więc albo dawałem mu poznać nieznacznie, że w tém przestworzu nakrochmalonych spodnic nie koniecznie same tylko anioły chodzą.... Porozumiejmy się. Entuzyazm jego dla kobiet nie był to wcale ów zwierzęcy zapał, jakim płonie nie jeden młody mężczyzna, gotowy oczami pozrzeć każdą zdrową a gładką dziewczynę. Nie! gdyby tak być miało, dałby światu za wygranę; jest to bowiem podstawa dzisiejszego materya-

lizmu; w takim razie pomiędzy nim a innymi nie byłoby żadnej różnicy. Jego pogląd na kobietę był całkiem inny; marzył on bowiem w ogóle *o kobiécie*; dla tego tylko ubierał ją we wszystkie kwiaty wyobraźni, by kiedyś zobaczyć ustrojoną w nię *swoją przyszłą*... Jedna! opiekuńczy anioł jego przyszłości, załóg przyszłego szczęścia, jak gwiazda świeciła mu w oddali... Przy takiej czystości, jakiej była myśl jego o ziemskiej kochance, dusza tej przyszłej powinna była być koniecznie niepokalaną. Najmniejsza niemoralność (jeżeli dopuścimy podział moralności na stopnie) niewypowiedzianym wstrętem przejmowała jego duszę. Biedny!!

Czasami jednakże jego niewinność mimowolny uśmiech wywoływała na usta. Bywało latem, w dzień świąteczny jesteśmy w ogrodzie, pośród tłumu, który zwykle zbiegał się tam na odgłos wojskowej muzyki, jak ongi kamienie na dzwięk lutni Orfeusza... Właściwie nie muzyka przywoływała tu kobiet i mężczyzn, bo ona była tylko hasłem licznego zgromadzenia, które każdy rad pomnożyć swoją jednostką. Nie raz więc usiadłszy na zielonej ławie, w cieniu białych akacyj, na głównej allei, patrzyliśmy na przechadzające się i wciąż się snujące *miejskie damy*... Ich letnie, powiewne suknie białe; ich białe burnusy z kapiszonami jakiego blado-błękitnego, albo blado-różowego koloru, białe szale, białe kapelusze, białe twarze, wszystko białe, czyste, świeże, powiedziałbyś na ich widok, sama niewinność, dziewiczość... I dziwże się tu teraz takim szaleńcom jak Rafael! Patrząc na tę trzodę młodych piękności, płoniących się za lada spojrzeniem mężczyzny, jak tu nie wpaść w pomyłkę taką, w jaką zwykle wpadał Rafael, dając zdanie o każdej, z powagą doświadczonnego mędrca-fizyognomisty? Nie było tam ani jednej, którejby dusznych przymiotów nieokreślił on jedynie z jej postaci lub rysów twarzy... Na te lawaterowskie zarysy nic niemogłem odpowiedzieć a tylko dla utrzymania kontynansu wybijałem takt muzyce, co u wielkiego klombu ry-

czała nutę jakiejś ognistej polki . . . Poczciwy Rafael ! zagłębiony w swoich fizyognomicznych spostrzeżeniach, niesłyszał nawet tej muzyki. W takt tej melodyi on mi najpoważniej mówi : »patrz! ta w białej beduince z błękitnemi frędzlami ; ta, ręczę za nią, że ma duszę . . . Znałem tę beduinkę , jeżeli miała ona duszę, to chyba tylko *duszę żywotną*: było to prawdziwe jakieś arabskie źwierze ; klacz Beduina , co jak uragan leci w pustyni, ciskając płomienie z czarnych swych oczu ; wszystko , co jest doskonałego w zwierzęciu , mocny organizm , siła , ogień źrenicy , zapalony krwią jak lawa gorącą — to było w niej wszystko . , . Ale — to dobre tylko dla źwierzęcia i dla człowieka o duszy zwierzęcej . . . Niedoświadczenie tylko mogło płomień cielesny za zapał duszy przyjąć . Właśnie ta , o której mówił, odbyła wilią dnia swoje zaręczyny z jednym 50-letnim urzędnikiem — ale *ciepłym kapitalistą*. » Zwróć oczy na prawo; tam pod tym kasztanem, mówił dalej Rafael ; ta siedząca blondynka , to jak męczennica, gotująca się pójść do cyrku na pastwę lwa . .. To razą zgadł zupełnie ; jeżeli tylko pana Marcellego zechcemy przyjąć za prawdziwy exemplarz lwa , jak to on sam o sobie myśleć lubi i jak go nazywają wszystkie matule mające na zbyciu swoje całkowite progenitury! Wszyscy, oprócz mego kolegi , widzieli dobrze , jak ta oto rzekoma męczennica, zamiast tego by łzami rozczulić srogość zwierzęcia — tak ciągle do niego błyskała oczkiem , tak szczerzyła ząbki ku niemu, że nie o nią wcale a bardziej o poczciwego lwa baćby się należało . O ! była to zalotnica , coby całą menażeryą gotowa była pokonać ! » A ta znowu , ciągnął daléj , czyż nie zdaje ci się , że mówi swoim głębokiém , tęsknem spojrzeniem : poszłabym na pustynie , rzuciłabym wszystko dla tego , coby zrozumiał głos mego serca . . . Trafiał jak naumyślnie ; ta właśnie przed kilką dniami , zerwała już ze swoim narzeczonym, w którym, jak mówiła, *po uszy* była zakochana, by się połączyć dozgonnemi ślubami ze starym pijakiem , ale właścicielem kilku-

set dusz. Zarazże obok szły matule tej zacnej progenitury, owe czułe mistrzynie, co wypiastowały drogie te kwiatki.... Rafael i w nich znalazł wiele rysów naszych dawnych, cnotliwych polskich matron... Dla odwrócenia rozmowy zacząłem się przypatrywać pięknym gatunkom dahlij z których jeden (*mirabile visum*! miał kielich całkiem biały z czarnym środkiem... Rafael długo z uwagą wpatrywał się w ten kwiat, nakoniec po długiém milczeniu rzekł do mnie: »Nieznajdujeszże w tym kwiecie jakiegoś podobieństwa z najpiękniejszym utworem bożym — z kobiétą? Z podziwieniem spojrzałem na niego, ale rysy jego były spokojne — snać inną jakąś wynalazł metaforę. Kwiat śnieżny, pomyślałem, o czarnym kolorze w pośrodku, jest to istota wysokiego moralnego przeznaczenia z sercem przepełnioném zepsuciem.

III.

Uważałem, że trzeba było koniecznie wtajemniczyć Rafaela w życie praktyczne, pogodzić go z niém i, że tak się wyrażę, *spoufalić*. Literatura, jako doskonałe odbicie życia, zdała mi się być najlepszym środkiem dla dopięcia tego celu. Starałem się przeto dawać mu najlepiej temu celowi odpowiające francuzkie romanse; zamiar mój wszakże bynajmniej mi się nie udał; każdą prawie książkę, którą mi dostarczała biblioteka pani Sędzinej, zaraz po kilku kartkach rzucał z niechęcią od siebie, uskarżając się ciągle na fałsz, którym wszystkie one, według niego, były niemiłosiernie przeładowane. Cóżby to myślałem sobie, powiedział on, gdyby się jakim wypadkiem dostała mu do ręki — ***Fizyologia małżeństwa*** Balzaka, dzieło które jakby jakie ***vade mecum***, stało się niezbędnym pokarmem mojej dostawczyni literackiego materyału? A przecież jest tam pewna część prawdy, t. j. niezaprzeczony byt zepsucia, fałsz w tém się tylko zawiera, że tam zupełnie zapomniano o bardzo

ważnej rzeczy, mianowicie o tej, że w duszy ludzkiej przy usposobieniu do zła jest też i usposobienie do dobra; do cnoty, że w skutek tego należy tamować wszystko, coby duszę mogło oswajać ze złém a nie zaniechać nic z tego, co może ją pokrzepić i podnieść.

Mówią: podobne dzieła są niemoralne! one rodzą zepsucie. — Zgoda; to jednak zdanie, zdaje mi się, wtedy byłoby tylko zupełnie trafne, gdyby było tak wyrażone: ***dzieło to lub owo jest niemoralne, jego bowiem czytanie może stać się zepsuciem dla kobiet, dla starych i młodych dzieci, jednêm słowem dla umysłów biernych.*** Tak jest! kto każdą rzecz przyjmuje tak jak się mu ona daje, tenby lepiej może zrobił gdyby się całkiem niezajmował czytaniem: czytać zaś ten tylko powinien ***co może sądzić, a sądzić według praw umysłu i moralności.*** Dla kobiet mało jest książek; zawsze dla nich należy robić wybór, zawsze należy pamiętać że kobieta, panna czy mężatka jest białym kwiatem, na listkach którego najmniejszy pyłek pozostawia ślad brudny. Wieleż to kwiatów pył splugawił a przygniotłszy swoim ciężarem, pochylił do dołu i wdeptał nakoniec w błoto! Wieleż to złych książek oswoiło kobiety z występkiem? wiele rozpalało ich imaginacyę, przetwarzało je dziś w Pulcheryę (*), jutro w Manon Lescaut i w jakież jeszcze może być gorsze kreatury? Zabraniają przestawać z kobietami złego życia, a jakiż może być ściślejszy stosunek jak pomiędzy czytelnikiem a książką? Żeby się przekonać, jakie to ***raważe*** porobiło czytanie w duszach kobiecych, potrzeba byłoby koniecznie umieć czytać w sercu i myśli; ***decorum***, przyzwoitość, utrzymują jeszcze w pożyciu te złe wpływy na wodzy. Mamy wszakże jeden najlepszy dowód; prawidła przyzwoitości, pozornego wstydu, ustępują zwy-

(*) *Lelija.*

czajnie prawom wieku osoby; wieleż to jest starych kobiet, tych szczególnie, które nie udają dewotek, starych, co nieznając hamulca w gębie, prawią najbezecniejsze rzeczy w obec wszystkich! Wieleż to razy niezdarza się nam widzieć, starą poczwarę z wyrazem piekielnego cynizmu na twarzy, jak zchyliwszy się do ucha jakiej młodej dziewczyny, która nieboga jak wisznia się płoni, przelewa w jej duszę jad zastarzałego zepsucia! Tak jak kobieta każda jest zawsze pod opieką mężczyzny, ojca, męża czy brata, (ma się rozumieć kobieta Chrześcianka) a nie ta bynajmniej, co nie chcąc żadnej władzy i powadze ulegać, prawi ciągle, że ona ma jakiś tam *swój* rozum (?); każda więc mówię kobieta, posiłek i lekarstwo duszy swojej musi brać z rąk osoby, co zna własności dawanych przedmiotów. Lekarstwo i posiłek przyjęte bez świadomości ich przymiotów — snadnie stać się mogą trucizną lub nieuleczonym jadem choroby. Na to, co powiedziałem zwyczajnie mówią: potrzebaż, żeby każdy wiedział, co jest złe i jak się go ma ustrzedz? Odpowiadam: każdy człowiek ma w sumieniu swojem przeczucie, tego co jest złe i co jest dobre; co ma czynić i czego wystrzegać się powinien; ale dla tego by wiedzieć złe iść do zbrodniarzy i do domów zepsucia — to jest szaleństwo! Zło wreście powinniśmy znać w najogólniejszej tylko jego formie a nie zaciekać się w jego brudy: bo już to samo plugawi duszę... Ten ustęp zdawał się mi być koniecznym; tém więcej, że to nie jest wcale powieść a bardziej gawędka na temat moralności.

Wracając do Rafaela, powiém, że jakby przez jakiś fatalizm dostawały się mu książki takie np. jak Adolf *Benjamin Costan'a*; książki co exaltując ducha, coraz więcej utrzymywały go na jego wysokiém stanowisku moralném... Raz po kilku dniach niewidzenia wszedłem na palcach do jego gabineciku. Było cicho; widzę, na krześle z zarzuconą na tył głową, blady, z zamkniętémi oczami siedzi Rafael i z pod przymkniętej powieki łzy, łzy obfite, jak grad bujne, toczą się po jego twa-

rzy. Spostrzegłem zaraz że przed nim na pulpicie leży otwarta książka. Zazieram: *Trywelyan* przez Miss Baillie; dzieło to było roztwarte na tém właśnie miejscu, kiedy półkownik, ów mocny, stoicki prawie charakter, błogosławił niewdzięczną Terezę... Biédny! myślałem w duchu; któż mi zaręczy, że i ty, w swoim czasie, nie będziesz także podobnie nieszczęśliwym Trywelyan'em? Podniósł głowę, spostrzegł że jestem, ścisnął uprzejmie za rękę i drżącym od wzruszenia głosem powiedział: okropne położenie! Czyż być to może, aby tyle wzniosły, tytański charakter półkownika nie mógł natchnąć miłością taką kobietę? Kiwnąłem na to tylko głową: aby pojąć, ocenić i ukochać Tytana potrzeba może samemu być Tytanem!

Widząc, iż nic mu do smaku przypaść nie może, że ciągła myśl o Ofelii Szekspira, mogła go w końcu wpędzić w suchoty, zacząłem tedy serio rozmyślać nad wyborem dla niego książek, takich właśnie, coby mu przypadły do gustu a razem zdołały dokonać zamierzonej kuracyi. Gdy tak rozmyślałem, nagle głowę moją oświecił promień nader szczęśliwego pomysłu; — za popędem tego to natchnienia, co tylko tchu pobiegłem do księgarni Glüksberga, by tam zakupić wszystkie *arcydzieła ojczystej literatury*, jak to o nich zawsze każdego roku tubalnie donosi publiczności drukowany arkusz wyż wspomnionego księgarza - nakładcy. Na początek wziąłem tylko K a t a l e p t y k a i R a c h e l i dalejże do kwatery Rafaela. Spotniałem, ledwiem doniosł, takiej wagi wydały mi się te dwa *arcydzieła nadobnej* naszej literatury. Wylazłszy na krzesło, z tegoto przyzwoitego podniesienia, objaśniłem Rafaelowi treściwemi słowy, co to jest *Pantofel* (sic), co znaczy Kostrowiec, że obaj ci mężowie są filarami Tygodnika, którego wydawca w przypiskach kilkowierszowych do artykułów swojej gazety, przejdzie niezawodnie do potomności; wspomniałem o Kalejdoskopie, Mieszaninach a mówiąc o tych wszystkich wielkościach tak się rozrzewniłem, że ze łzami opuściłem moją zaimprowizowaną estra-

dę a potem i sam pokój Rafaela. We dwa dni, jestem znowu u mego pacyenta; wszedłem z miną pewną, siadam, zacieram ręce, spozieram, jaktylko umiém najfiglarniej, wreszcie chrząkam, a widząc, że się niczego niedomyśla, pytam już wyraźnie, jak mu się podobały zostawione u niego książki, te, że tak powiem prawdziwe piramidy egipskie naszego współczesnego pismiennictwa... Poważna twarz Rafaela, pełna jakiejś wewnętrznej melancholii rozjaśniła się uśmiechem przy ostatnim kwiatku mojej przemowy...

— Mój Henryku, gdzieżeś widział, aby piramida mogła kiedy wyjść z pantofla? *Obstupui*! Coś mi się kręciło w pamięci, że gdzieś wyczytałem to piękne porównanie, ale gdzie? czy to w katalogu Glücksberga, czy w jakiej recenzyi Tygodnika, tego sobie w żaden sposób przypomnieć niemogłem.

— No, ale Kataleptyk? to grunt ka-ta-lep-tyk...

— Kataleptyk! powiedział Rafael smutnie wstrząsając głową, co to jest? do czego to? Czytałem tego Kataleptyka, to okropnie, czyż można coś podobnego pisać? Daruję brak talentu, tę dziwną chęć wskrzeszania zastarzałych guseł, daruję całą łataninę dzieła, daruję kiedy Żyd tułacz, prawi nam jakieś licho sklecone *Résumé de l'histoire*, jakby rzecz wielce ciekawą i nową, ale te okropne, włosy na głowie poruszające występki i te zbrodnie dokonane za wpływem jakiejś *konieczności* a potem te kary wyjęte z kryminalnego kodexu... Czyż godzi się, pytam, wystawiać na jaw podobne okropności i brudy? Cóż gdyby te plugawstwa dostały się w ręce jakiej młodej kobiety, albo skromnej dziewczynie? Zgroza! szczęściem, że każda ma ojca, brata, lub męża, którzy robią wybór tego, co ma czytać....

— Hm! hm! tak, pewnie, ale na to się z tobą niezgodzę, aby to miało być niemoralne. Wszak mamy w kraju krytyka znakomitego, jakim jest Michał Grabowski, a wiadomo, ile on

prześladuje niemoralność w literaturze; Kostrowiec także... ale *à propos* Kostrowiec, czytałeś ty *Rachel*?

— Nie, weź sobie razem z *Kataleptykiem*...

— Co! wziąść nazad nieczytaną, w imie Ojca i Syna! chyba niechesz zbawienia duszy twojej? Wziąć nazad! Ale zmiłuj się, któż ci winien, żeś zaczął od Kataleptyka? Przeczytaj Rachel a obaczysz... Ale, żeby ci dowieść, że to musi być dobra książka, patrz — co to? he?

— Kostrowiec...

— A to?

— X, może Xawery?..

— Otoż właśnie, że nie Xawery, bo ta litera oznacza stan— rozumiesz teraz?

— A więc daj, będę czytał, choćby dla miłości stanu. Nareście! Otarłem spocone czoło i wyszedłem. Ledwie przymknąłem drzwi zawołał: Henryku! wróciłem. »Męczy mię myśl jedna, prawdaż to, że tego *Kataleptyka* pisała kobiéta, że *Pantofel* dama?...

— Gdzież widziałeś aby kobiéta była kiedy Pantoflem? Autor tego dzieła taka sama dama jak ja i ty...

— Pocóż podobne oszukaństwa? to się nie godzi! Wyszedłem. Dawszy dwa dni na przetrawienie Kostrowca, trzeciego szedłem już do Rafaela. Na wschodach śpiewałem coś z wodewilu, bo szedłem pewny... Otwarłszy drzwi z góry zaraz pytam: Cóż Kostrowiec? A prawda, czyż niemówiłem— *rara avis in terra*?... Ale postrzegam w końcu, że Rafael coś zimno przyjmuje moje extazye. Cóż u licha, niepodobał ci się nawet mój ukochany Żegota?...

— Pewnie, że nie. Dziwna to bo jest ta książka! Niby z moralnym celem napisana, a kiedy się już ją dociągnie z biedą do końca, jakieś nieprzyjemne uczucie, jakby kamień cięży na duszy. Wszystko tu jakieś dziwne rzeczy na nasz wiek; Przeor Tomasz, niby wzór xiędza, opowiada jakieś śmieszne

legendy i to jak sam twierdzi z czasów *kiedy Niemcy były Chrześciańskiemi*, więc dziś kraj ten, według prostodusznego przeora, jest ziemią bałwochwalską? Autor, czyli jak go ty zowiesz, ten X, pomimo to, że jako X., powinienby pamiętać, że wszyscy jesteśmy bracią w obliczu B o g a, że jako ludzie wszyscy jesteśmy sobie równi, pomimo to, mówię, boi się wydać Racheli (lubo dziwnej czystości i świętości życia, prawdziwie Chrześciańskiej dziewicy, nawet wytrwałej męczennicy za wiarę) — za obywatelskiego syna, by przez to nie obrazić czasem dumy szlacheckiej. Ale to nie główna. Sztuka winna być dopełnieniem życia jego podniesieniem, wykonaniem tego co się tu nie koniecznie dopełnia; sztuka powinna być wolnem wcieleniem się całkowitej myśli, jednem słowem, musi być tem, czemby był świat moralny, gdyby był stworzony od razu wolą bożą a nie został oddany do wypełnienia wolnej woli człowieka, woli, która stopniami dopiero i metodycznie idzie do zupełnego czynu czystej chrześciańskiej moralności. Powiem wyraźniej. W duszy naszej są typy doskonałości, ideały, do których my wiecznie nie przestaniemy wzdychać a które, nawet dość często, dają się zrealizować na ziemi. Wszak mamy przykładem życia Świętych Pańskich, mamy przykazania Ewangeliczne, które do nas ludzi, a nie do aniołów są wymierzone... Poeta powinien mieć przeczucie wyższego życia, wszak go niedaremnie zwą prorokiem, niebios mieszkańcem — a tu podobno łacińskie słowo *vates* jak najlepiej się da zastosować. Poeta więc, jeżeli się przejmie temi prototypami bozkości, jeżeli je przedstawi wcielonemi w osoby i czyny, jakiż to piękny da on wówczas przykład, jakąż pobudkę da nam do cnoty... Rachel np. przedstawia nam tu taki wzór zamiłowania wiary, ale jakieżto równie urocze mamy jeszcze krom tego ideały miłości, stałości i mocy uczucia, wdzięczności, rysy, podnoszące wysoko duszę ludzką. Jakże sobie postępuje X? Słuchaj tylko. Klara jestto dziecko nielubione od rodziców, dwojga nieuczciwych ludzi, którzy ją, w skutek tej antypatyi, przeznaczają do klasztoru, chętnie oddając B o g u to, co im niepotrzebnem

było w domu!.. W dzieciństwie, Klara bawi się na śmiecisku, bo prawie jak niepotrzebne śmiecie wyrzucano ją z domu i kto wie czyby się kiedyś nie stała również jak śmiecie pogardy godną, gdyby nie jeden traf albo może, gdyby nie opieka B o ż a . . . Klara chowa się z Gabryelem, ubogim sierotą, wziętym *przez miłosierdzie* do domu ojca Klary p. Podkomorzego; czasami tacy ludzie, nie mając na kogo zlewać żółci a także *dla oka ludzkiego*, popełniają czyny miłosierdzia, biorąc w dom swój dzieci, z których rzadko jeżeli się dobre wychowa: gorycz przejada im duszę... Ten jednakże był szczęśliwym; oddano go nawet do szkół, wszakże w czasie wakacyi i świąt musiał odsługiwać wszystkie te łaski, albo pilnując żeńców w polu, albo wartując młocków w stodole... Ale dobry zaród na dobrej ziemi wschodzi prędko i zdrowo i nic już go zgłuszyć niezdoła; dziecinna przyjaźń Gabryela z Klarą, coraz ściślejszym związkiem łączyła ich serca. Ukształcenie nie stało się bynajmniej ostrzem, coby przecięło nić tej sympatyi; tak jak rzecz jaka, ogrzana ogniem, stara się natychmiast ciepło, które ją ożywia, przelać w inne otaczające ją przedmioty, tak dusza Gabryela wszelki skarb moralnej wyższości starała się zaraz wlać do duszy - siostry swojej, by obie mogły zawsze jednaki stopień ciepła zachować. I doprawdy Klara była mu siostrą *wedle nieszczęścia*; piękna to myśl przedstawienia dwojga sierot, jak się one wzajemnie wspierają od moralnego upadku.. B ó g też tą samą czystą miłością strzegł ich dusze od moralnego zepsucia... Klara zwała bratem Gabryela; w samej rzeczy był on wyższym nad związki krwi, gdy tuż wyrodna matka, ojciec, siostra oddalili ją z przed oczu, gdy zapomnieli na swoje obowiązki i obcy stał się dla opuszczonej sieroty rodziną całą, bo zastąpił jej miejsce matki, ojca, braci, miejsca, które tak trudno dają się zastąpić.

O zapewne! człowiek taki wyższy jest od pokrewnego! Jest to raczej anioł opiekuńczy, duch wyższy, który podniosłszy duszę z poziomu, na jaki ona pada puszczona sama sobie, mu-

si też ją tysiącznémi łańcuchy przykuć do siebie. Gdyby miało być inaczej, wtedy nienależałoby nazwiska żadnej cnoty wspominać... Miłość ta, skupiona w ciasnym obrębie stosunków tych dwojga istot, żyje silnie i to bez wszelkich ubocznych względów. Jej przyszłością — ciemne klasztorne ściany; krucyfix przed którym modlić się będzie za Gabryela i kiedyś — *wieczność*, kędy się łączą na ziemi rozdwojone serca... Zawód Gabryela, stan wojenny (bo go oddają do wojska), wojna, śmierć.... Wszak jest to zarys pięknego, duchowego życia, życia, w którém przynajmniej choć raz cokolwiek napotkasz, co się nie robi dla czegoś tam a każdy czyn jest tylko następstwem powinności duchowej — *cnoty*. Któż przejęty tą myślą, nie oddałby zwyczajnego ziemskiego życia, za podobne, bolesne wprawdzie, ale pełne *godności* i pewnego rodzaju *szczęścia* nawet życie... Ale nie! X, ***sługa nieba***, nie myśli wcale ***o niebieskich migdałach***, jakby łańcuchem przykuty do ziemi, ani na chwilę od niej się oderwać nie może... Gabryel zabity! a więc dla Klary, zdaje się, wszystko skończone z ziemią; odtąd tylko właściwie dla nieba żyć powinna i dla tych dobrych uczynków które słusznie niebieskiemi darami zwać się mogą. Gdzież tam! Pocieszony kochanek Racheli p. Karol, rodzoniuteńki syn pani Marszałkowej, a z drugiej strony poczciwa panna Klara, nieodrodna córa pani Podkomorzynej równie pocieszona, łączą się w jedną *godną parę* i potem w lat kilkanaście opowiadają sobie wzajemnie (prawdziwie niewiem dla czego) ten o śmierci Racheli, ta o Gabryelu i ***modlą się za ich dusze***.... Jakież to okropne uczucie ludzkiego niedołęztwa, zostawia po sobie ta powieść! Także to ma pisać ten który nas do nieba podnosić powinien?...»

Zabił mi tém prawdziwego klina w głowę. Jednakże tyle świat nam pootwierał ubocznych furtek, że lada którą momożesz się wykręcić z biedy. Przybierając więc należytą powagę, tak, pewnie, odrzekłem: byłoby to źle, gdyby wszakże nie

rzecz jedna, na którą ty wcale nie dajesz baczenia a rzeczą tą śmierć, która swoją kosą wszelkie związki *na wieki* przecina . . .

— Och tak! tak się podobno dzieje. Myśl ciężka! w tém życiu ani w tamtém na nie rachować nie możesz. Najsilniejsze, najświętsze przywiązanie, niedalej dotrwać musi jak do grobu, jak gdyby ze śmiercią wszystko się kończyć musiało, nawet i duch, nawet jego najświętsze związki . . . Taki już materyalizm chyba objął dziś ziemię, że zapomnieli na *nieśmiertelność*, a przecież każdy zwie się Chrześcianinem i tego Chrześciaństwa, nienawiścią, kłótnią, pychą, bijatyką nawet gotów jest wszystkim dowodzić, byle tylko nie duchem i cnotą . . . .

Jak gdyby dobry geniusz pana Żegoty, coś mi szepnęło do ucha: *Albowiem przy zmartwychustaniu ani się żenić, ani też za mąż chodzić nie będą . . .*

Smutnie wstrząsając głową i ze łzami w oczach odrzekł mi na to mój Rafael: wiem o tém, czuję to, że muszą być ludzie co nawet na kartach Ewangelii wyszukują textów dla poparcia swoich niemoralnych sofizmatów; ja jednak tego jestem zdania, że duch nasz, zawiązując już tu na ziemi, prawdziwie niebieskie życie, będzie wiecznie żyć w nim na niebie, chyba wszelkie plugastwa zwać będziemy miłością, nieprzykładając wiary, by mogła być miłość prawdziwym związkiem ducha . . . .

Szeptał mi jeniuszek jeszcze coś na ucho, ale już niedawałem na to baczenia; tak dziwnie dusza przejęła się słowami pełnemi wiary w ducha, w cnotę, w życie wieczne, jednóm słowem tym ewangelicznym duchem, którym wiało każde słowo Chrystusa. O! ciężko byłoby temu który kochankę, połowę duszy swojej traci na ziemi, powiedzieć: że już ona dla niego nigdzie i nigdy nie zmartwychwstanie; mogą tak mówić ludzie - zwierzęta, ale nie ludzie z duchem bożym.

— Wszystko to dobre odpowiedziałem, ale to mi się w głowie pomieścić nie może, jakim sposobem dzieło Kostrowca i złém

i bez talentu napisaném i niemoralném byćby mogło. Zmiłuj się odwołaj twój wyrok, bo może niewiesz (*tu ciszej*) że jest-to pisarz z liczby tych, których sobie naród na czoło stawi?

— Któż to mógł kiedy powiedzieć?

— Sam Kostrowiec w jednej ze swoich recenzyi w Petersburgskim Tygodniku na początku roku pańskiego 1847!

— Biedny byłby ten naród, któryby na czole swoim, musiał nosić z podobnego kruszcu odlaną koronę; nie wieniec Chrystyanizmu, a symbol ziemi. To mi przypomina tajemnice Eleuzyńskie, gdzie się przedstawiało widomie, odwieczne bojawanie ducha i materyi, w postaci dzieci ziemi, wojujących nieśmiertelnych bogów. Jeżeli się oni mają za Tytanów, to chyba w swoich dążnościach zwycięźenia bozkiego ducha.... Nie im to patrzyć na życie! Nie oni dojrzą w nim zarysów wiecznego żywota ducha; nie im stwarzać postacie ludzkie, kiedy je z gliny tylko lepić umieją, a niemają wcale bożego tchnienia, którym by je natchnąć mogli. Niewdzięczna praca! ledwie ulepili dzieło Epimenida a jużci ono ich samych przedrzeźnia złośliwym śmiechem szatana...

— Jest to wszakże autor, który wiele napisał, bardzo wiele...

— Jeżeli wszędzie wyraził taki sam pogląd, to tém gorzej dla niego; im więcej napisał, tém więcej uczynił złego, tém cięższy rachunek zda przed Panem B o g i e m.

Miałżeby on słuszność? dopomożcie mi, wy co wiecie teraz powody, dla których on go tak srogo sądzi! Prawdaż to że człowiek co się Jksem zowie, nie w swoją rzecz się wdaje, kiedy się wdaje w romanse? Prawdaż to, że w jego poglądzie fałsz musi zawsze mieć miejsce? — Albo to, że w życiu są brudy których człowiek, cechą powagi odziany, najmniejszym palcem dotykać niepowinien? A tam są takie miejsca, są; kto czytał ten je pamięta dobrze. Albo znowu, któż z duchem

bezstronnym poglądający ma życie społeczności za powód do zepsucia będzie ukazywać na to co bynajmniej do tego nie jest powodem. Ludwik, człowiek złego życia, ma tu być dla tego takim że zwiedził Niemcy, gdzie się zaraził filozofią... A przecież autor niczém nie dowodzi, jak i gdzie ta filozofia mogła szkodzić? — A ten pan Ludwik, jak wielu co najniewinniej zwiedzili Germanią, nie wie nawet co to za ptak jest owa filozofia, tak zupełnie jak ten co o niej niedawno tak obszernie pisał w Tygodniku Petersburskim. O, nie w filozofii przyczyna złego, nie w duchu a w ciele, a widzimy jak to bez filozofii materyalizm bierze górę.... Z tymi to myślami wziąłem Rachel pod jedną pachę, Kataleptyka pod drugą i powędrowałem do domu; położywszy oboje na stoliku, wziąłem się do repetycyi *kanonicznego prawa*, którego otwarty sextern leżał tuż przedemną. Na samym początku tego zeszytu był rozdział: *o Inkwizycyi*. Gorliwy professor wymównie bronił tej instytutucyi S-go Dominika, potwierdzonej przez Innocentego III. Papieża. Sekstern mój był dosłownie spisany ze złotych słów professora Kapustki; nie będąc egoistą, podzielę się z mojemi czytelnikami wrażeniem w jaki mię wprawiła wymowa mego mistrza:

»*Miły Boże!* czytałem, jeżeli przestępcy, w obliczu »prawa cywilnego bywają imani, *ba nawet* odłączani od towa»rzystwa; jeżeli ten co ukradł kilka złotych bywa więziony, »*ba nawet* śmiercią karany, *to proszę* cóż dopiéro mówić o »tych, którzy zawinili w prawie bozkiém, o tych co każą su»mienie, co wydzierają wiarę ze serc Chrześciańskich? Krzyki, »powstające tu i owdzie na to święte bractwo, są niesprawie»dliwe, pełne złej woli, a co najwięcej, heretyckiego ducha. »Sąd Inkwizycyjny nie karał, roztrzygał tylko kwestye czysto »duchowne, religijne, decydował czy przestępca jest heretykiem »czy nim nie jest, oddając winnych pod sąd świecki, prosząc »przytém najusilniej (instantissime) by sąd ten ze względu na

» duch Chrystyanizmu, pełen łagodności, nie przelewał krwi za
» wiarę. Jakoż ani jedna krwi kropelka nie spadła nigdy na
» ziemię; heretycy nie byli karani mieczem a tylko żywcem ich
» palono, a jeżeliby który chciał powtórnie przejść na mat-
» czyne łono Kościoła wtedy także duszono go tylko; wcale nie
» przelewając krwi, którą przecież protestanccy historycy tak
» obficie leją na papierze... «

Przeczytawszy to miejsce, *pełne historycznej krytyki i głębokiej znajomości rzeczy*, albo co jeszcze większa, *szczerości*, tego wielkiego przymiotu dziejopisarza, ale razem i *naiwności* szczególnej, gorliwość przejęła mą duszę. W jednej chwili Rachel i Katałeptyk były w moim ręku; drewka na kominku paliły się doskonale i w kilka minut jakby czarne kawałki żałobnej krepy przelatywały po moim pokoju. Były to resztki samotnego *au-to-da-fe*. Wtedy to dopiéro uginając kolano zawołałem: Kapustko! nieśmiertelny mistrzu mój! twojej to nauce i erudycyi godne to przyniosłem całopalenie!

IV.

Dopełniwszy tej uroczystości, nieprzestawałem myśleć o Rafaelu; każde jego słowo, gest każden, spójrzenie nawet pokazywało jak niezgodną dusza jego była ze światem rzeczywistości. Po nieudaniu się próby przez książki i autorów, sam już niewiedziałem cobym miał począć dla uleczenia mego pacyenta, lubo czułem to w duszy, że kuracya ta jest konieczna, że inaczej okropne zawody i najcięższe męki moralne czekać go musiały w życiu. Jeżeli miał żyć, mówiłem to sobie, to potrzeba go pierwiej przyuczyć do życia, biada bowiem temu, który duszą radby się oderwać od istnienia, brzydząc się tą formą, pod którą je koniecznie przyjąć należy. Lubo nieukazywałem tego sam, jednak przyznawałem w duchu, że ta forma nie nazbyt błyszcząca, niezupełnie jest czysta; że pstrokacizna ludzkiego ży-

wota, bardziej od plam i brudu niż od jego barwności pochodzi!

Widziałem to, ale zrazu pojmowałem to jako zło *konieczne*. Konieczne? — Tak mówią przynajmniej prawie wszyscy ludzie zwyczajnego pociągu (bo niemogę powiedzieć *polotu*), ludzie wprawdzie bierni ale też niesłychanie praktyczni, prawda wtedy tylko kiedy praktykę a *rutynę* będziem brać za jedno. Wieleżbo to się urodziło, żyło, umarło i nakoniec pogrzebiono ich i oni na to częstokroć długie życie, ani jednej własnej myśli, ani półsłówka, ani jednego własnego czynu niewyexpensowali. Żyli, jedli, pili, ruszali się, tak jak jedli i pili ich ojcowie, jak ojcowie ojców ich i na tem koniec; jedna zaszła tylko w ich domach różnica ale i tę nie oni a ich żony zaprowadziły, a różnicą tą, *zbytek*. Na meble, na jeden kocz czasami wykłada szlachta $^1/_5$ część całkowitego funduszu i to wtedy kiedy już dorastają dzieci i jużby nie o sobie a o nich by właściwiej myśleć należało. Ale serca ich pożarła gangrena próżności; nie o dzieciach oni myślą, a przynajmniej nie o tych które już są, myślą oni raczej o tém aby kiedy pojadą do parafialnego kościoła, nie pokazać się tam gorzej od kogoś co dwa razy ma więcej rocznej intraty niż oni całego kapitału. Prawdziwie, znalazłbyś takich, którzy myślą, że kościoły *są bardzo pięknym wynalazkiem* dla popisów strojami, powozami i końmi, albo miejscem gdzie bardzo korzystnie można sprezentować swoje buzie i swój gorsik. Są to pociągowe woły, co ciągną pług exystencyi, przeżuwając odwieczną żujkę głupoty, utkwiwszy osowiały wzrok w płytkość powszedniej skiby... Niewidzą oni że ta odwieczna, zużyta skorupa, niewyda już posilnego ziarna, że głębiej potrzeba grunt życia przerzucić, bo tam życie i moralne zdrowie, że wtedy dopiero z obecnej zgnilizny zaród nowego bytu wystrzeli... Tak myślę dziś, wtedy tak niemyślałem. Niezachwycony wprawdzie obecnością, chciałem wszakże wtedy stępić tylko drażliwość; ja-

ką sprawiał ów widok; chciałem okuć serce zimną warstwą, by w miejscu łez pogardą i śmiechem witać te saturnalije. Jeżeli grzeszyłem, jeżelim przez to stawał się egoistą, biję się dziś w piersi!

Wracając do Rafaela, umyśliłem użyć rady *człowieka doświadczonego*, człowieka rzeczywistości, jedném słowem, któryby mi dopomógł spoufalić mego pacyenta z realném życiem świata, ale to tak, by potém nie nastąpiło zupełne *rozczarowanie*. Myślałem długo, kogoby tu użyć, nakoniec przyszedł mi na myśl sąsiad mój i dobry znajomy p. Amedeusz czyli jak go zwali powszechnie p. Asmodeusz Fajeczka. P. Sędzia (in praeterito) był wszędzie przyjmowany i każdy o nim mówił, że p. Fajeczka był człowiekiem *bardzo dobrze* (?) To że on jest *bardzo dobrze*, pod każdym względem zupełną do tego wiarę przykładał sam p. Amedeusz i często patrząc w lustro z rana, kiedy *ostrze kuźni Barber'a* ślizgało się po jego brodzie, uśmiéchał się z ukontentowaniem do odbitego tam własnego wizerunku, wykrzywiał się, nasępiał brwi, robił znowu słodkie oczy i nakoniec mówił sobie w duchu: » dalibóg nieznam przystojniejszego męczyzny od siebie! Zawsze jakąś szczególną szlachetność upatruję w tych rysach! kiedy patrzę po ogoleniu się w lustro dopiero rozumiém sens i potęgę jednego miejsca *w Listopadzie* trzy tomowym romansie hr. Rzewuskiego, gdzie autor mówiąc o Staroście Wieluńskim pisze: *błękit jego brody dziwnie odbijał od białej płci jego twarzy!* Broda u mnie błękitna doskonale, lazurowa rzec nawet można a płeć... jakiejże to ja jestem płci? Mówił sam do siebie w głębokiém zadumaniu. Ma się rozumieć dodawał po krótkim namyśle, że płci męzkiej wcale bowiem śmiało rzec mogę, że nie należę do rodzaju ani żeńskiego, a tém bardziej nijakiego. « W trakcie takiego to zwykle filozoficznego monologu zawiązywała się chustka i nakładała kamizelka. Tu znowu kłaniał się *z uśmiéchém* swemu sobowtórowi, wyciągał do niego rękę, a czasami w zapale za-

dowolenia całował w lustrze odbitą buzię. Ale kiedy wciągał frak, którego szerokie fałdy spadały mu bogato na uda, kiedy trykot leżał jak odlany a ręka w rękawiczce trzymała potężną lagę, wtedy to biorąc się od niechcenia w boki, wspinając na palce, zadzierając głowę i rozdymając do tego policzki, że malutki nosek ginął w tych improwizowanych Alpach najeżonych lasem bakenbardów, wtedy to mówię duma w całej pełni rozlewała się po twarzy.

W takich przystępach wołał głośno: Dwakroć sto tysięcy! Dalibóg, to mało, 300,000 nie mniej nad 300,000! Byłoby to najwyraźniej okradać samego siebie! « Dla zrozumienia wykrzykniku dymissyowanego sługi Temidy, wiedzieć należy że on, lubo zegar wieczności wydzwonił mu latek czterdzieści, nieprzestawał nigdy marzyć o ożenieniu i o krociach, jakie ten akt najniezawoduiej mógł mu przynieść. Była to już jego industrya; kiedy inni mówili o cukrowych fabrykach, o merynosach i t. d. on siedział najspokojniej i samodowolnie się uśmiéchał a nakoniec, gadajcie zdrowi, mawiał, budujcie sobie cukiernie, tuczcie merynosy, a ja sam jestem żywa cukiernia za którą chętnie oddadzą krocie, tu nosek p. Sędziego chował się całkiem w alpejskie zarośla. Było całe koło ludzi, którzy Fajeczkę uważali za coś wcale niepospolitego; kiedy on mówił ci go słuchali z uwagą z rozdziawioną gębą i wytrzeszczonemi oczami, a kiedy kończył mówili do siebie w zapale: » Jakiż to dar dała mu natura! Jak się tłumaczy ten człowiek! Każde słowo, jak ze złota odlewa. » Jeżeli się zdarzało, że Fajeczka słyszał podobne pochlebne dlań słówka, wtedy odwracał się niby od niechcenia a nos jego przepadał w alpejskiej dolinie. Prawdziwą jednak ozdobą Fajeczki, a rozkoszą dla widzów były jego wąsy; wąsy te nie były to te długie zakręcone, sarmackie wąsy, cechujące twarz jakąś militarną cechą; nie! wąsy Fajeczki były na pozor proste, skromne jak sam zwykł był o ich mawiać jak panienka; każdy ich włosek szedł perpendykularnie od nosa

do ust, które całkiem one zakrywały, a kiedy mówił, głos Sędziego wychodził jakby z pod tajemniczej zasłony. Ale trzeba było widzieć te wąsy wtedy kiedy Fajeczka jadł zupę, o! wtedy był to widok nie do opisania! Widziałżeś kiedy las wielki, którego drzewa szron pokryje? albo przygniłą strzechę szopy w czasie długiej słoty? Takieto były wąsy Sędziego Amedeusza Fajeczki!

Najprzyjemniejszą dla mnie rzeczą było mówić z Sędzią o tém jego projektowaném ożenieniu, i o tych to dwakroć sto tysięcach, które miały mu być włożone pod poduszkę. Przy podobnej rozmowie każdy myślał, że takiej waryacyi nikt tak drogo niezechciałby opłacać, wszakże każdy takową uwagę krył w najodleglejszej kryjówce swojej mozgownicy a ja czasami tylko dla żartu lubiłem się targowaé z p. Sędzią, prosząc go by choć przez wzgląd na czułość kobiecą zrobił rabat na raz założonej cenie. P. Sędzia śmiało mógł odciąć dwa zera, dodać pannie latek ze 20 ująć też w miarę wdzięków, ale któżby to mógł mu powiedzieć, i pan Sędzia na każdą propozycyą rabatu choćby najmniejszego wciąż powtarzał: nie mogę! na honor nie mogę! potrzebaż i o sobie pamiętać, to już jak najmniejsza kwota. Wszakże gdyby się zdarzyła 5-ta część tej summy, i to w gotowiznie, wtedy ..... Ze mną wszakże Sędzia był nieugięty; opowiadał mi jak to w Jassach jakaś księżna wołoska chciała go koniecznie zbałamucić, a kobiécina była dodawał gdyby anioł (tu wdzięczył się i mówiąc to widocznie usiłował udać postawę anioła) a bogata... samych Cyganów miała z parę tysięcy dusz. To tylko bieda, dodawał, że naród ten koczownicze życie prowadzi, jak mrówie rozłazi się po świecie.... Potem jakaś hrabianka, tu nos Sędziego wchodził w alpejskie wąwozy, zawsze jednak tak jakoś się kończyło, że panna wychodziła za mąż a Sędzia ciągle zostawał panną... Wszystko to dowodziło, że p. Amedeusz, starego kawalera miał za węgierskie wino, które tém droższe im starsze..; zapominał też

pan Amedeusz, że jeżeli kawalerowie dopytują się o posag, to i wychowanie panieńskie wcale w tym względzie nie było zaniedbane i że *w dobrej edukacyi* wieku bynajmniaj niezapominano o Arytmetyce, że wskutek tej to edukacyi są takie łaleczki co doskonale posiadają mnożenie, a u p. Sędziego jak mówi gmin *dwie dziurki w nosie i skończyło się.* Sędzia miał to do siebie, że o czémby nie mówili, on zawsze należał do rozmowy i *vox populi* niosł powszechnie, że zawsze mówił jak przystało na człowieka *bardzo dobrze* co podobno znaczy mówić co tylko ślina do gęby przyniesie. Mówiono o Tygodniku i on ubolewał nad upadkiém tej gazety; mówią o medycynie i on o medycynie, dowiedzie przy tém o ile rumbarbarum lepszém jest daleko od *wiedeńskiego trunku*, a dla chorych na zęby dam, zawsze miał jakieś sympatyczne ziółko, które należało nosić w trzewikach. Kto dziś nie mówi o filozofii? p. Sędzia mówił o niej także, równie dobrze i z takąż erudycyą jak Kostrowiec; łajał na czém świat stoi Hegla i twierdził, że go znał jeszcze wtedy kiedy on utrzymywał loch z winem w Kamieńcu. Jednakże dodawał, uchylając głowy odstawiając wargi i rozszerzając ramiona, nieprzyjaciel mu tego nieujmie, doskonałe miewał gatunki wina! Karol Rosenkranz biograf zmarłego filozofa, ani Ed. Pans autor jego Nekrologu, nic niewiedzieli o tem szczególe, jest on niezaprzeczoną zasługą Fajeczki, »O! panie, mówił mi jeden z jego przyjaciół, to nie aby kto; nie z jednego pieca on chleb jadał i bywał jak to mówią na wozie i pod wozem; rzadki człowiek! Fortuna mu tylko niedopisała!« Bez zaprzeczenia jest to najlepsza głowa całego naszego sąsiedztwa, dodawał inny. Nie przeczyłem temu bynajmniej bo bardzo to być mogło. Inny znowu mówił mi: »W nim panie Dobrodzieju jeszcze płynie dawna ta stara prawdziwa krew, szlacheckiej familii Fajeczek!« Trzeci już wyraźnie krztusił się i zanosił od płaczu, ocierał łzy z oczu narzekając, że to już może ostatni na świecie Fajeczka, tak jak to była kiedyś ostatnia

z domu Siekierzyńskich! Pocieszałem jak mogłem tych poczciwych ludzi starając się ich przekonać, że wielka familia Fajeczków jak świat stara, jak sam świat też istnieć ona będzie. Daj to Boże! daj to Boże! odpierali mi na to, ocierając łzy rękawem i rozmazując brud po twarzy. Cóżbym dał za to wtedy żebym był malarzem i mógł przenieść na płótno tę gruppę szlachty, opłakującej wyschnięcie szlachetnego potoku drogiej krwi starego rodu, krwi uwieczniającej, w ciągłém odrodzeniu, wielkiego protoplastę, z wielkich i małych fajek Fajeczkę! Taki to był Sędzia do którego się udałem po radę; był to przedstawiciel osobnej klassy ludzi, mężów praktycznego ducha, jego więc rada musiała być dla mnie ważną. Wchodzę do Sędziego, który w swoim pokoiku nad stolikiem z powagą statysty kręci papirosy a tuż przy nim p. Regent przyjaciel od serca, admirator i podobno nawet szkolny kolega, wieczny satellita Sędziego, słuchający z uwagą wszystkiego co mu ten prawił, powtarzając wiecznie jedną weszłą już w przysłowie frazę: »Co ty mi mówisz niby to ja tego niewiém!« Od tych sakramentalnych słów zaczynała się każda odpowiedź p. Xawerego, one u niego oznaczały zupełną zgodę z tym z którym mówił, przyjaźń, przychylność... Najzabawniejsza wszakże, że kiedy Sędzia niekontent czasami z przerwania mu mowy tą niewczesną frazą mówił bez ceremonii Regentowi: et głupiś p. Xawery! Regent i wtedy wyjeżdżał ze swoim ulubionym »*Co ty mi mówisz niby ja tego niewiém*!«

Usiadłem. Uprzejmy gospodarz (Sędzia bowiem przy gościach stawał zawsze *à quarte pattes*) ofiarował mi tylko co skonfexionowane sygarko; podsunął mi pod plecy poduszkę na kanapie, odmienił sygarnicę, zapalał siarniczki, a regent siedział tym czasem z na wpół-otwartemi ustami, przez które zdaje się tuż miało wylecić jego faworytalne: *Co ty mi mówisz*!

»Jakżem wdzięczen! rzekł Sędzia, naszemu erudytowi,

uczonemu (u nas bowiem w N*** każdy noszący błękitny kołnierz studenta ma przez nikogo nieopponowane prawo do uczoności), że też mię odwiedził. A myślałem tu o nim, często myślałem. Czytam teraz właśnie dzieło wielkiej wagi; głębokie panie co strach, imajnuj pan sobie dzieło tłumaczone z rękopismu greckiego wykopanego w Herkulaneum! Piękne dzieło! bo to i romanse i przytém *Chistorya*; bardzo zajmujące! Filozofy, panie, różni na scenie, a jeden z nich prosto zwaryował z wielkiego rozumu i imajnuj pan sobie siedzi w beczce; drugi znowu .... To bo to bieda tylko, że ja mam pamięć dziurawą, co jedném uchem wlezie, drugiem już zaraz wylazło. Ale jeżeli chcèsz mogę ci udzielić; to mi moja bratowa dała. Tytuł zaś, (patrzy na pierwszą kartę), *Podróże An-to-no-ra*, czy znajome? — Sędzia czytywał co mu tylko kto dał; co dziś przeczytał, jutro gotów na nowo rozpoczynać lekturę, tak mu nic nie pozostawało w głowie, a czytywał tylko dla zabicia czasu, jak ludzie prości słuchają bajek, których oddawna na pamięć się już nauczyli. Cobyś nie dał p. Amedeuszowi wszystko mu równie przypadało do smaku; na wszystko, co tylko przeczytał mówił, że dobre, samo przez się ma się rozumieć, że Rinaldo Rinaldini, romanse Anny Radklif, i Ducré-Dumenil'a były rzeczą, którą trudno było czém innem zastąpić. Antenor podobał mu się przez te romanse o któych mówiąc mrógał brwiami a jego nos był wtedy bliski zniknięcia w Apeninach... Podziękowałem za uprzejmość literacką i oświadczyłem, nietracąc czasu, Sędziemu, że udaję się po radę do jego doświadczenia. Na te pochlebne słowa Sędzia nadął policzki i nosek na nowo przepadł w dolinie Szamuni.

» Jeden mój przyjaciel, zacząłem, młody, niedoświadczony, marzyciel...

— Co pan mi mówisz! niby ta ja tego niewiem!

— Ależbo nieprzeszkadzaj Rejencie, przerwał Sędzia.

Opowiedziałem rzecz całą. Przedstawiłem obawę tych następstw, jakie nagła zmiana wyobrażeń sprawić mogła. Mówiłem o pełnych zapału uroczych planach młodzieńca, o tém jego zaczarowaniu, ciągle utrzymującém go w świecie nieistniejącym, w świecie, w którym ludzie wszyscy są takimi na jakich Bóg ich stworzył: mężczyzni pełni podniesienia, mądrzy, sprawiedliwi, ukochane dzieci Boga na ziemi, równie kobiety pełne skromności, wstydu, pełne wrażeń o świetności i powadze ich przeznaczenia; gdzie życie, pojmuje się jako wielka missya udoskonalenia rodu, rozwinięcia wyższej exystencyi, panowania ducha i uszczęśliwienia familii, w pośród której rozwija się moralny postęp człowieczeństwa... Mówiłem a Regent siedział z otwartą gębą w której skamieniała mu jego ulubiona fraza: rzeczywiście nic o tém dotąd *niewiedział*, bo mu się nawet nigdy o tém nie śniło. Sędzia kręcił wąsy i kiwał głową...

— A to proszę? przemówił nakoniec uderzając ręką po kolenie. Facecye! może innego papirosa? To szczególna! oto jest popielnica — Istny waryat mości dobrodzieju? Czy czasami nie tego, nic nie cierpi, obłąkania? Wreszcie dodał, bywają podobne szały w młodości; widziałem już ja takich, których fumy panie a to niosą raz na niebo, a to znów każą płakać nad kwiatkiem, a to tego, a to owego... ale jak się człowiek utęperuje, zapomni o tém wszystkiém i siedzi już spokojnie... Nierazem Kraków budowany! dodawał z dziwną powagą mędrca na twarzy!

— Wszakże powiedziałem, prawdą jest, że wielkie zło gniezdzi się w naszém życiu i że świeża dusza musi cierpieć na jego widok... cierpieć boleśnie, cóż dopiero kiedy cierpi samotnie.

— Ale czy on bocian aby świat czyścił? Przerwał zapytawszy Sędzia; zdawało się mu pewnie, że powiedział coś bardzo głębokiego; przerażony Regent już tylko kiwnął na to głową... machnął wreszcie ręką i pociągnął tabaki.. Sędzia mówił dalej,

to szczególna! ubzdrzy się komu coś w głowie i powiada wy jesteście świnie... na zdrowie!

— Więc cóż? jak pan radzisz? jak tu postąpić...

— Cóż? Wiem dobrze, przyjaciel pański, musi to być skromny jakiś chłopaczek, czysty jak panienka, he? prawda? Rada więc prosta, łatwy sposób. Oto, tu schylił mi się do ucha i zaczął szeptać przez chwilę: płomie wystąpiło mi na twarz. Ale to niegodziwość zawołałem w końcu...

— Masz inny środek? Ha! łaskawco użyj innego!

Wziąłem się za kapelusz i powstałem. Wiesz co p. Henryku powiedział poważnie Sędzia; oto daj mu tymczasem do przeczytania Podróże tego to (zaglądnął w książkę) An-te-no-ra, rękopis grecki wykopany w Herkulaneum. Podziękowałem Sędziemu za jego uczynność i wróciłem do domu cały oburzony. Tam dopiero usiadłszy zacząłem rozmyślać. Otoż w jakichto miejscach każą nam tracić nieziemskie nasze nadzieje i marzenia. Oto gdzie usiłują zetrzeć, splamić, oblepić błotem czystość duszy, w jakiej B ó g ją wypuszcza na świat, by już potém jéj polot nieprzewyższał zwykłego poziomu. Otoż skąd powstał ów wyrafinowany cynizm, jakim nam zaprawiają obyczaje i jakim już w końcu napiętnowali słabszą, *piękną płeć*, kobiety! ***Pogrzęźnij w rozpuście a wtedy świat niewyda ci się ani rozwiązłym ani zmysłowym***! Piękna rada! Na B o g a! doskonała rada, myśl warta zaiste mozgu Fajeczki i kompanii! Oto w jednem słowie odkryte całe źrzódło zepsucia. Pewnie! w familii, w pośrodku patryarchalnych obyczajów, nie gnieździ się początkowo ten trąd i ta zgnilizna, koniecznie zewnątrz one przychodzić muszą. W jakims np. domu panuje pokój święty, czysta moralność, obyczaje ewangeliczne, przyjdzie jakiś Fajeczka i okopci to wszystko smrodliwym dymem nieczystości. W około człowieka niemoralnego, jest cała atmosfera niemoralności; puści najprzód w obieg jedną myśl, potem drugą, wprowadzi dalej *najniewinniejszy*, jak on pra-

wi, zwyczaj jakiś i już tu pożegnaj się z tém wszystkiém co było przed tém. Tak w XVIII wieku, ludzie podobni Fajeczce, ptimetry i mirliflory o pustej głowie i sercu, zaczęli w pośród dawnych obyczajów familijnych w Polszcze, zaprowadzać obyczaje europejskie; kobiétę z oratoryum, i z komnaty gdzie uczyła dziatki swoje, wprowadzili na salę balowę, a kiedy tylko nasamprzód można było zwabić same złe osoby to dla zapobieżenia temu nadal sprowadzili umyślnie z zagranicy *Madamy*, których wyraźnym celem było już wychować młode pokolenie kobiét nie na matki i żony jak przedtém, a na salonowe damy, *na królowe balów*, dawali tym młodym dziatkom nasamprzód stroje, w których chodziły na wpółnagie, a kiedy się niewstydziły już nagości ciała, obnażano im potem duszę... Dziś każde zepsucie już jest przyjęte i jako takie prawem się stało.

Wzrok przywykły, a krótki niepostrzega już nawet co to się dzieje i potrzeba mu przed oczy przyłożyć pryzmat ewangelii. i jeżeli dusza jego może przejrzeć, jeżeli już zobaczy to przed sobą jak stog siana wielkie, wtedy dopiero i on powie: » A dalipan tak to demoralizacya! Ale odyjmij mu szkło a zaraz ci doda, ale cóż kiedy tak przyjęto! Za Stanisława przyjęto było w Warszawie starać się o miejsce jednodziennej metressy królewskiej i każdy patrzał na to obojętném okiem. I; cóż tu pomoże mówić w imieniu moralności, zawsze tej samej, kiedy moda i zwyczaj rządzi światem? Prawdziwie dziś już niepoznasz jaka jest silniejsza doktryna, czy Ewangelii czy dziennika mód?? Co więcej unosi duszę czy hymn z poważném brzmieniem organów, czy skoczny takt polki? — O! nie! tu nikt się już nie pomyli!

V.

Nieudała się mi nowa próba pojednania Rafaela z praktycznem życiem a tymczasem coraz więcej odbiegała mię nadzieja dokonania kiedykolwiek powziętego raz zamiaru, a nawet w myśli mojej w chwilach apatyi stawało straszne pytanie, azali pojednanie takowe było możebną rzeczą? Azali rada Fajeczki nie była doprawdy jedynym sposobem pokonania wzniosłego polotu ducha, oddając go na pastwę chuci cielesnej, a przez to samo zagłuszając go, materyalizując, wycierając z duszy to wszystko co B ó g wlał w nią bozkiego i przetwarzając go w czworonogie zwierze. Wszakby ptaszek nie latał, najprostszy jest na to sposób: odetnij mu tylko skrzydła; długo się będzie tarzał jeszcze w prochu i błocie aż zdechnie, ale kiedy jeszcze żyć będzie, w tém zaklapaném, brudném stworzeniu, niepoznasz jakie mu B ó g przeznaczył miejsce w szeregu żywych jestestw. Często pytałem siebie: czyż niemasz pomiędzy ciałem a duchem żadnego środka? A na to pytanie odpowiadał cały karnawał ludzisków: nie możnaż tu na ziemi stać się już od razu duchem! Inni znowu wrzeszczą: jesteśmy ludźmi, a nie aniołami! O! bardzo wierzę, że nie jesteście aniołami, ale dowiedźcie się też, żewy poniżacie imie *człowieka*! Człowiek! o! pewnie nie na to on jest na ziemi by się z niego zwierzę albo szatan wywinął. Człowiek! ale to jest najukochańsze dziecko Boże, które szatan wykrada z kolebki, a zły duch jestto po staremu materya, świat, ciało, egoizm chciwość... Kto więcej kocha ciało niż ducha, ten cześć Bożą oddaje szatanowi... Człowiek ciało swoje winien uduchownić i przynieść na ofiarę duchowi, jako B o g a. Oto jest odwieczna ofiara Abrahama krew krwi i kość kości swojej przynoszącego Jehowie... Ciało i świat, jest środkiem działalności moralnej; ale jeżeli ciało jest tylko ciałem, gdzie duch zmysłom podpada, a zmysł jest tylko źwierzęcią chucią; kiedy w oczach człowieka nie prześwietlenie anioła a zwierzęce pło-

mne tylko świeci, o! wtedy upadek, wtedy człowiek nie dziecięciem Boga, a reprezentantem czarta na ziemi! Źródłem moralności i religii, ogniskiem bóztwa, tablicą przedwiecznego prawa, zwierciadłem zła i dobra, *sumienie*, ale sumienie, takie, jakim je Bóg stworzył i jakim ono jest samo w sobie a nie te jakim je rozwijają historycznie obyczaje narodu i jego wierzenia, tam światło jego jest, jak światło dyamentu odpolerowanego na jedną stronę.... Historya moralności jest historyą tego polerowania najdroższego kamienia, klejnotu duszy, aż on z głębiny swojej wyrzuci całe światło, pojąwszy się w swojém jestestwie. Jest to epoka absolutnego pojęcia się ducha, epoka, która nastała razem z przyjściem Chrystusa, Bogaczłowieka na ziemię... Chrystus był nauczycielem najczystszej moralności; dusza jego nią tylko była przesiąkłą i wylewała ją w potoku moralnej nauki, której nigdy nieskąpił, którą chciałby był przelać w serca braci swoich, *aby poznali Boga i którego posłał Jezusa-Chrystusa.* Chrystus nie był od wszystkich zrozumiany; znaleźli się tacy, co się nietroszcząc o ducha doktryny chwytali same słowa i ze słów chcieli odbudowywać naukę, naukę, której główna myśl opuszczona z widoku unosiła się pomiędzy niebem a ziemią. Wieluż bo to Bogu jedności i zgody przynosiło na ofiarę kłótnie i wzajemne anatemy? A iluż to znowu Bogu miłosierdzia przynosili dobrowolne męki i katusze? Ileż Bogu światła przynosiła na ofiarę ciemnota a Bogu miłości zaparcie się uczucia? A potém rozwinęła się cywilizacya, która lubo powstała niby z łona chrześciańskiej nauki, dotąd jednakże nie może się zwać prawdziwie chrześciańską. Pytają zwykle, dla czego dzisiejsza oświata, tak mało rozwija cnotę i dla czego prędzej prostota umysłu tak często idzie w parze z czystością serca? O! to dla tego, że dzisiejsza cywilizacya rozwija wprawdzie wszystkie władze ducha: umysł, rozum, imaginacye, uczucie estetyczne, talenta przemysłu i t. d., ale rozwijając je zapomina o synte-

tycznej jedności tej cywilizacyi, drobi, kawałkuje, kruszy jedność ducha chrześciańskiego, jednolitość nauki, która jej nadaje wyższy charakter. Tak rozbita syntheza, już nieprzedstawia jedności myśli bożej, myśli położonej na żywotną podstawę ducha. Wtedy tylko, kiedy cywilizacya wznosi się na tej myśli, wtedy tylko ona jest moralno-chrześciańską, pełną zdrowia i życia; jest rozwinięciem wszystkich władz ducha pod wodzą moralnego prawa. Wyraz Cywilizacyi, filozofia wychodząc z jedności i obejmując prawo, niewpada w błąd kierunku czasów; jakoż filozofia moralna musi być wyrazem chrześciańskiej moralności, każdy bowiem jej przepis tak jest zgodny z popędem szlachetnej duszy człowieka, z głosem sumienia, że słusznie powiedział o tém jeden ojciec kościoła twierdząc, *że dusza ludzka z natury swojej, jest już Chrześcianką.* Potrzeba tylko rozpatrzyć się w jej prawach i pokochać tego bozkiego ducha, który je ożywia. Człowiek z piękną duszą, sławny Fichte, w entuzyazmie ku moralności powiedział »że filozofia teoretyczna jest w zupełnej zależności od filozofii moralnej, a to dla tego, że nic tak nieupewnia nas o bytności B o g a, świata i człowieka, nad te silne przekonanie duszy, że trzy te wielkie potęgi są koniecznymi warunkami rozwinięcia na- naszej moralnej działalności.« To wszakże pewno, że w duszy naszej są odwieczne kontory moralnego ideału, który urzeczywistniony w życiu, podnosi człowieka do prawie bozkiej potęgi. Niech każdy z nas stara się przeistoczyć w tego duchownego Adama, a przedewszystkiem niech otworzy w sobie oko ducha, dla któregoby była widną ta olbrzymia postać.

Ale dosyć tego. Myśli te przyszły mi do głowy, gdym sobie przypominał Rafaela i jego religijne maxymy. Pamiętam dobrze ten dzień w którym mi je objawił i powód który się do tego nastręczył; było to w jeden mglisty poranek; wracałem z Uniwersytetu i na ulicy koło kwatery spotkałem kondukt, na przodzie, jak zwykle, muzyka z trąbami, na których grała

dawny marsz pogrzebowy, ale rzewny, do głębi przejmujący duszę; dalej czarny, pożółkły od starości karawan, ciągniony przez cztery niewielkie szkapy, których nogi plątały się ustawnie w żałobne kapy, dziurawe i równie porudziałe jak karawan, jak płaszcze i kapelusze sług pogrzebowych. Pochodnie i zagasłe świéce dymiły; błoto klapało pod nogami ludu, co się ciągnął za muzyką i karawanem, a dalej stukały powozy, przewalając się po nierównym bruku, ciągnące się wszakże za pogrzebem jako konieczny atrybut parady. Nad tem wszystkiem unosiła się żałobna nuta psalmu, przerywana czasami łkaniem krewnych, co szli za trumną i głosem obojętnych, co niby zniżywszy tonu, rozpytywali kto był taki nieboszczyk, na co umarł i czy długo chorował, dla tego snać, by o tem wszystkiém mogli potém opowiedzieć przy stole swoim żonom. Byłto pogrzeb jak każdy inny i na nim jak gdzie indziej równie rzewnie płakały kobiéty, obce i wcale nieznające nieboszczyka, ale płakały gorzko, bo rozczulał je sam widok pogrzebu, co przypominał każdej z nich niezawodny i niewiadomy koniec własnego ich życia, nieubłaganą śmierć, otwierającą drzwi do nieznanego świata, miejsca nagród; wiecznej kary. O! pogrzeb dla wielu jest przykrem *momento mori*! nieznośnem przypomnieniem końca ich żywota, o którym zawsze takeśmy radzi zapominać. — Wielu płakało w niewypowiedzianej czułości nad sobą, widząc dobrze, że te tylko łzy są najpewniejsze, które człowiek sam za sobą wylewa. Widok śmierci potrzebny dla człowieka! kto wié, czy bez niego niezapomniałby w końcu lud o Bogu i swojej nieśmiertelnej duszy, świętych przedmiotach, o których tak często zapomina w powszedniém życiu. Umarli są naszemi poprzednikami do kraju wieczności, do którego my marodery zwolna i lenwie się wleczemy, zawsze wszakże potrzeba kiedyś stanąć u mety... Śmierć sprawia wprawdzie silne wrażenie, ale za to krótkie; ledwie kondukt zmknął, ominąwszy róg ulicy, a jużci się coś uśmiecha, już nawet same

posępne brzmienie *Requiem* słyszne w oddali zbija ci się w myśli na tony wesołego tańca. O! kochane panie! wesołe ozdoby balów, tyle lubiące gorący uścisk lekkiego tancerza, wiedźcie, że śmierć nawet jest to także pewien rodzaj tańca: przypatrzcie się tylko dobrze! wyszczerzone zęby trupiej czaszki, to zalotno - głupowaty uśmiech kawalera; przez jamy oczów, jak w życiu w ich mętnym wyrazie, równie dojrzysz tej próżni, jaka się gniezdzi pod mozgownicą. Śmierć! o! tancerż ten nieopuści niegrzecznie swojej tancerki; ująwszy raz w swe zimne objęcia, dopóty w miłośnym szale ściskać będzie piękne jej kształty, aż je rozkruszy i w popiół zamieni; paląca miłość! nieprawdaż? Bez ducha? o! a ktoż kiedy o ducha pyta w tańcu i na balu? tam oprócz złego ducha, ducha próżności, zepsucia, żadnego innego ducha nieznajdziesz!

Dochodząc do domu, widziałem przez okno zamyśloną twarz Rafaela, który wsparty na nie, patrzył na ulicę za znikającym konduktem. Dwie łzy, jak dwie gwiazdki stały mu w oczach! Wszedłem do niego, podał mi rękę, ale jeszcze raz mimowolnie poglądając w okno i nic tam już niewidząc, rzekł do mnie: »Czy widziałeś ten kondukt? tę różową trumnę, kryjącą w sobie zwłoki młodzieńca i tę bladą w czarnej sukience dziewczynę, co szła za nią nim ją opuszczą do grobu? To narzeczona zmarłego! Mówią, że tydzień temu odbyły się ich zaręczyny; tam on przyobiecał jej miłość i wiarę, przyrzekł szczęście a dziś wiara, miłość i szczęście obiecane skupiły się w kilku deskach, co mają zakopać do dołu. Gdzież znowu ona je znajdzie?

— Na ziemi, odpowiedziałem. Jestto ziarno rzucone na bujną rolę; na wiosnę znowu zazieleni eje nadzieją a latem kłos już będzie dojrzały. Najdalej w Lipcu przyszłego roku wiara, miłość i nadzieja szczęścia będą znowu w sercu dziewczyny a na ręku błyśnie nowa obrączka, jako nowa rękojmia

i godło wiary żywego. Być związanym z umarłym fi! to okropnie! *C'est très mauvais genre*!

— Miłość i wiara i szczęście same są własnością ducha; któż je lepiej może spełnić jeżeli nie duch?

— Nie! żywy człowiek mówią daleko lepiej tego dopełnia....

— Jabym myślał, że w widoku wieczności, w tęsknocie do niej uczucie mogło być wieczne. Sądziłbym, że człowiek mający przeszłość za sobą i nieskończoną przyszłość przed sobą, że taki człowiek oblekłby się dziwną powagą świętości, jakby już czując przedsmak wiecznego życia....

— Cóż chcesz? są gusta i guściki. Niewiem, czy kto smakuje w życiu wieczném i duchowém... ale życia terazniejszego każdy prawie jest amatorem.

— W tej naszej exystencyi, ciągnął dalej powoli i smutnie, możnaby już było uczynić wstęp do życia ducha; na to jest żywot ziemski, abyśmy poznali godność Bozkich przymiotów, abyśmy oskrzydlili duszę naszą wyższym polotem miłości i przeświadczenia wysokich prawd...

— Czytałeś ty Fedona, gdzie Sokrates rozprawia o nieśmiertelności i to tak dokładnie, że Katon, nim przystąpił do samobójstwa, czytał ten traktat dla przejęcia się pewnością innego bytu; — musiałeś czytać, może dziś jeszcze...

— Ja czytam Ewangelią, gdzie Chrystus tym wszystkim, których ziemia niezaspokaja, niebo przyobiecuje...

— Jeżeli ci tylko mają być w niebie, to zaiste mało ich tam będzie. Kogoż nie zaspakaja ziemia? Owszem ta ziemia jest celem wszystkich trosk i zachodów człowieka, jak gdyby tu właśnie miał być żywot wieczny. Ziemia!... ależ ziemia jest na pierwszym planie wszędzie i zawsze! Cóż nie jest ziemią? Te miasta i gmachy? — ziemia. Te sklepy i magazyny, ten przepych, te dostatki, bogactwa, stroje — to tylko ziemia! gdzież niemasz ziemi? pytam, powiedź mi, gdzie niemasz ziemi? Nieoszukuj siebie, wskaż mi mały punkcik, gdzieby nie było zie-

mi, ziemskiego pyłku? Najpiękniejszy kwiatek, co zachwyca swą barwą i ten pyłek, co łechce zmysły swoją wonią, o! wierz mi, to tylko ziemia! Gdzież nie masz ziemi?

— A w sercu? w duszy? w głowie?

— Powiem ci, co powiedział jeden młody zapaleniec:

To salonów cudne czary,
Piękne sale i kinkiety,
Adamaszki i parkiety
I cudowne buduary,
Kandelabry — złoto — złoto —
Ale w sercu — błoto — błoto!!

Mówisz jeszcze — głowa? Cóż po głowie, kiedy pusta a po duszy, kiedy do niej tylko ziemia przemawia?

— A religia? a słowa Chrystusa, niemająż one już dziś znaczenia i odgłosu w sercu?

— Żeby przyjąć Chrystusa do swego serca, potrzeba je wprzód wybielić hyzopem, albo raczej, potrzeba je mieć zawsze czyste; ale tam, gdzie chciwość rozgniezdzi się, gdzie pociągają tylko merkantylne interesa i zepsucie, tam się niedocisną słowa ewangeliczne... Dla tych te słowa będą brzmieć mową dziką, niepojętą.... O! wielkie ma znaczenie to miejsce: *przyszedł do swoich a swoi go nieprzyjęli*... I każdego, co przemawia w imieniu Chrystusa, równie odtrącą; każdego, co przejęty duchem Ewangelii będzie przemawiał w tym duchu do braci, co zechce świat wskrzesić z jego śmierci materyalizmu i natchnąć tym duchem żywota, ukrzyżują w pośrodku łotrów a jeżeli palony niebieską gorączką ideału zawoła: *pragnę*! napoją go octem i żółcią! Duch Chrystyanizmu wyłącza wszelkiego innego ducha, bo w nim jest *żywot żywiący* a niepodobna jest żyć podwójnem życiem; dla tego to z całego Chrystyanizmu przyjmują tylko same słowa i symbola, jako główne, a moralność, prawdziwe tema kazań Zba-

wiciela, jako rzecz podrzędną. I symbol stoi, a moralność wywietrzała...

— Ziemia wszakże i duch powiedział mi na to Rafael nie są sobie całkiem przeciwne w obliczu Chrystyanizmu; ziemia byle tylko na nią patrzeć przez czyste szkło ducha podnosi się, a formy materyi opromienione myślą świecą wieczną pięknością; biada temu tylko, kto wolę ducha zaprzedał w niewolę, bryłę co ani na chwilę nie może się oderwać od ziemi i ciała, dotyła go do nich krępują łańcuchy bydlęce. Nierzadko wpadano w ostateczności; jedni wyrzekali się całkiem ziemi i ciała, ale przezto nawet zapuszczali ducha i wpadali w pewien spirytualny egoizm: w pośród świata i ludzkości stali oni samotni z postawą dziką i brudną, która świadczyła o ich pogardzie dla materyi; duch też ich był samotny, żadnego odgłosu nieznalazł on w piersi brata a przecież Bóg i im dał serce; myśl żadna nie obudziła się w głowie a przecież Stwórca nieodmówił im daru myślenia... Żyli, niewiedząc sami do czego ich było życie?...

— Może myśl ich i serce rzekłem, całkiem było oddane Bogu.

— W takim razie niepojmują ani *żywego Boga*, ani jego miłości; jak bowiem...

Przejmując się jego duchem i niedając mu dokończyć rzekłem: rozumiem cię doskonale i masz zupełną słuszność; Boga nikt niepojmuje; każdy wyobraża go sobie, jako istotę z ludzką duszą, rzec można z ludzkiemi namiętnościami, nawet... Miłość, jaką winniśmy Bogu, wyobrażają sobie taką, jaką kochanek ma dla kochanki, młoda dziewczyna dla swego oblubieńca... Możnaż się dziwić, teraz, że to tylko czcza paradal Wieleż to razy czytałem; *c'est un Dieu jaloux* Wieleżto razy widziałem kobiety przewracające oczy, z wielkiego uczucia i do tego mówiły one z westchnieniem, *ach! jak ja kocham Pana Boga!* tak zupełnie, jakby mówiły: *ach! jak*

ja kocham pana Jana! Ale wejrź tylko w ich życie; poczém tam poznasz tę miłość, z jaką się oświadczają Stwórcy swemu? Sąż one przez to lepsze? uszczęśliwiająż one męża, dzieci, domowych? Nie! modlą się one prawda dwie godziny, ale za to resztę dnia gdyrają, przerywając tylko czas od czasu swoje krzyki, westchnieniami do Boga z połączeniem przewracania oczu! Oto wszystko. Ten pan znowu się modli ustawicznie, a w domu wszystko do góry nogami; żona traci majątek; wodzi córki na wpół nagie; stroi nad stan, a ludzie klną w piekarni nieludzkość z jaką się z nimi obchodzą.

— Dotąd więc jeszcze nieustało męczeństwo Chrystusa? i męczeństwo tem dziwniejszej okropności, że ci co go krzyżują codziennie oświadczają się z miłością ku niemu! chyba Ewangelii nieczytają? Chyba serce ich dotyla zamarło, że słowa Zbawiciela nie mogą się już doń docisnąć? Nie czytaliż oni tam textu, którym Zbawiciel najwyraźniej, objaśnia miłość ku niemu: *kto chowa przykazania moje ten jest co mnie miłuje!* Nie czcze extazye, nie słowa, nie westchnienia, nie przewracanie oczu, nie całowanie ziemi i policzkowanie się, ale *czyn* jest objawem miłości Boga! Chrześcianin nie Fakirem, nie Bonzem, lub Telapoinem, a przedewszystkiem człowiekiem czynu być powinien. Miłość Chrześcianina ku Bogu nie jest bynajmniej miłością za światową. *Bóg chciał, aby człowiek znalazł go w duchu swoim i uczuciu i ucielił go w życie*: Bóg bowiem jest czynem i życiem! Tak ja pojmuję Boga i Chrystyanizm, powiedział w końcu Rafael i sądzę, że jest to duch nauki, duch który kiedyś przyjmie i musi koniecznie przyjąć ciało...

Gdy tak rozwijał myśli swoje o religii, jam wpadł tymczasem, w głębokie zamyslenie; jeszcze jedna przepaść pomiędzy nim a światem! powiedziałem sobie w duchu. W tem nowe światło przebiegło mi w myśli; on religiant, rzekłem w sobie, sprowadźmy więc do niego duchownego. Wychodząc

od wspólnego Chrześciańskiego punktu widzenia, przejdą do życia, świata i ludzi i pokoj nareszcie wstąpi do serca, i myśl będzie wyrozumialsza! Doskonały projekt pomyślałem sobie i już byłem na ulicy, potem u siebie i jeszcze tu rozmyślałem nad tem i coraz więcej zamiar mój uśmiechał się do mnie. Całą noc niemogłem zasnąć, tak ciągle myślałem o jednem i jednem. Nakoniec i dzień i dzwonią do kościoła; zerwałem się, ubrałem na prędce i wyszedłem na ulicę. Było około jedenastej; ruch panował ciągły; przy pięknej pogodzie nabożni i nabożne szli gruppami do kościoła i zapełniali trotoary wtedy, kiedy ulice grzmiały pod pędem kół powozów, zaprzężonych dzielnemi czwórkami. Kobiety wyświeżone, z szarfami na ramionach, albo lekkiemi pelerynkami najwięcej na wpół przezroczyste *modestie* przykrywało ich łona, bo szły do Kościoła a poznały, że przynajmniej wtem miejscu *mod·stie* choćby najprzyzwoitsze jest potrzebne! Pokazuje to, zdaje mi się, że jest coś w duszy czego niczém niezagłuszysz, ani wychowaniem, ani złym przykładem, bo jedna myśl tylko poważniejsza, a już ci obudza się głos duszy i przemawia za sobą: biada tym jednak, co potem znowu wracają do dawniejszego stanu, każdy bowiem powrót takowy coraz głębiej poniża, a nakoniec przyjdzie i taki czas, kiedy już nic niewywoła dziecinnego wstydu na lica i oczy już nie rozświecą wyższym blaskiem i twarz niezagra rumieńcem duszy: odtąd połysk oka i krasa lica samą tylko krewkość będą oznaczać.

Na wschodach kościola tłoczyło się nędzarstwo, jak zwykle. Pod kolumnami frontonu młodzież stała, by się przypatrywać wysiadającym z powozów i wchodzącym damom: a wszystkie spuszczały oczy a szły powolnie, niedarmo *modestie* przybrały na łono; po potrzeba było odgrywać rolę skromności, bo był to czas na nią, czas jedyny, potem będzie pora na co innego. A ta młodzież? O! młodzież to sam kwiat! młodzież strojna, modna, z pretensyą do zgrabności i dowcipu, śmietanka

biór i kancellaryów, *flos juventutis* nieznany Linneuszowi, młodzież wytworna! Wszak znacie ją? Widzicie ją w Kościele, na przechadzce, na ulicy, czasami gdzieś na wieczorku, nie prawdaż że modna, że świetna? Pewnie powiecie są to wszystko synowie najbogatszych obywateli? Gdzie tam! Dziś wszyscy chcą być bogaci a przynajmniej uchodzić za bogatych; gangrena ta pożera młodych ludzi: wielu ostatnie chętnie wyłoży na frak, twin, kamizelkę, trykot, piękną chusteczkę, kapelusz Zymmermanna, laskę, wernixowane boty, by wystąpić świetnie, świeżo, gustownie! Ale pójdź tylko za paniczem na ciemny zaułek starego miasta; dostań się do jego brudnej ciupki a zobaczysz tam, zydel pokryty brudną kołdrą, czarną poduszkę, na stole w butelce jakąś nadtopniałą szabaszówkę, kawałek kwaśnej bulki; pudełko, gdzie się chował Zymmermann, parę starych botów, szczotki, miotełka, na ścianie stary płaszcz, oto wszystko! Na nim samym podnieś misterny fątaż szalika obaczysz brudną koszulę! A obiad jaki je ten uliczny panicz, okropność! ale w mieście, zdaje mu się, że wszyscy nań patrzą, kobiety widzące ich w przejeździe kochają, a w przyszłości uśmiecha się każdemu bogata partia, milionowa fortuna! Szkoda tylko, że kiedy głód wyziębi imaginacyę, na starość, zwykle krzepi się ona gorzałką! I kiedyś, kiedyś z pod frontonu kościoła przechodzi na wschody! biedna młodzież! nędzna spekulacya! Daj B o ż e by rychło przyszło opamiętanie....

Tłum zaległ kościół. Tu męszczyzni, kobiety, dzieci, starzy, młodzi stoją, siedzą, klęczą, szepczą pacierze, czytają na książkach, przeglądają się i w całej tej massie modlącej się i ziewającej najwidoczniej brakuje, *ducha modlitwy*. Przy podniesieniu hostyi wszyscy korzą czoła; całują podłogę, biją się w piersi, ale w piersi zimno, twarz spokojna, *sen na oczach*, o! nietak zaiste przyjmuje się obecność B o g a! Ale jak ci, co zapominają, że B ó g wszędzie obecny, co B o g a w sobie nieczują, jakże mają ci uczuć B o g a w Sakramencie, tej

kommunii w symbolu, jeżeli nigdy im w życiu nieprzyjdzie duchem połączyć się ze Stwórcą. Daremnie korzą czoła! niepodniesie ich cudowna siła po nad poziom

Das Wunder ist des Glaubens liebstes Kind! (*)
a w piersi zimno, oschło i w pośród takichto wyznawców chłód jakiś wieje ze świątyni, bo ich nie duszna potrzeba modlitwy a zwyczaj tylko do niej powołał!

Po słowach Ewangelii wszedł na kazalnicę O. Pakomiusz, przyjezdny proboszcz jakiegoś miasteczka. Był to człowiek wysoki, suchy, z twarzą chudą, smagłą, czarnemi oczyma, nad któremi czarne, gęste, szerokie a zrosłe brwi przedzielały czoło, stykające się z wyłysiałem ciemieniem; z tyłu tylko głowy i na skroniach krucze włosy nadawały więcej wydatności tej fizyonomii prawdziwego *askety*. Wzrok był osłabiony znać długiem czuwaniem, może modlitwą, kontemplacyą... Głos słaby, troche chrapliwy ponuro odbijał od sklepień kościelnych... Zwolna wymówił text kazania, który składał następujący wiersz Pisma: *Obdarzył ubogie a bogacze próżne zostawił*! Potem objaśnił jakie winne być bogactwa chrześcianina i jakie skarby on zbierać powinien, skarby, dodawał potem, które wedle słów pisma ani mól zgryzie, ani płomień zniszczy, ani złodzieje wykradną. Przedstawiał następnie dziwnie piękny obraz chrześciańskiego życia, na którym panuje wielka missya duchownego podniesienia, czystości serca i pokoju. Nauczał jakieto życie skromne, proste być powinno, życie pełne zajęcia i powagi, tyle bowiem ono ma w sobie obowiązków, ze stanu i z samej natury Chrześciańskiego ducha wypływających!... Powaga, myśl i uczucie oto są cechy chrześciańskiego żywota, prawdziwe bogactwa Chrześcianina. Ale gdzież dzisiaj jest podobne życie? — Powaga? raczejby o płochości mówić tu na-

(*) *Faust Goethego: Cud jest najukochańszym dzieckiem wiary*!

leżało; płochości, która w zgubny wir zepsucia porywa wszystko, przystojność, obowiązki, i nakoniec po drodze usłanej samemi różami, do najbrzydszych występków prowadzi. Myśl!— ale dziś każdy wyrzeka się, nie chce znać myśli, używając tylko tego daru na cel nagromadzenia dostatków, jak gdyby na to tylko człowiek żył tu na świecie, a te dostatki najjaśniej dowodzą prawdy słów ewangelicznych, *że łatwiej jest stokroć wielbłądowi przejść przez ucho iglicy, niżeli bogaczowi wejść do królestwa niebieskiego!* Kto pytam poradził zepsucie obyczajów narodowych? Oto przywieźli je wielkim kosztem bogacze z obcych krajów i wszędzie na ich podtrzymanie wydają ogromne kapitały. Zapytajcie wiele to pieniędzy, któremi możnaby zaradzić niedostatkowi ubóstwa, idzie corocznie na bale, główne ognisko szału namiętności, na stroje któremi zdobią ciało, usiłując niemi dopomodz do własnego, albo bliźniego swego skażenia! To życie możnych!! Ale biedny? czujeż on, że pod tym blaskiem nic niezaspakaja pragnienia szczęśliwości, że pragnienie to z duszy pochodząc w duszy tylko zaspokojenie swoje znaleść może! Ubogi! czujeż on, że przy swoim ubóstwie i pracy i przy wygódkach jakich mu ona dostarcza jest on stokroć szczęśliwszy od tych blasków, po których potem smrodliwy dym i czerniąca sadza pozostają? Czujeż o to pytam? O! bynajmniej! wypierając się myśli i uczucia, pozostaje same ciało, dla którego wszystko jest godziwe i dobre, a dla niego bogactwa są potrzebne, potrzebne zabawy łechcące zmysły, zdobiące brzydkie sprosności i tego to zazdroszczą bogaczowi! Ale ludzie niedostatni, wy którym potrzeby każą o pracy ciągle pamiętać, do was ja przemawiam: starajcie się wołam podnieść ducha waszego, starajcie się abyście uszczęśliwienie swoje w myśli i sercu waszem znaleść mogli, aby patryarchalna czystość familijnych obyczajów niekazała wam szukać uszczęśliwienia w bakchanaliach bogaczów, abyście potem, całą wysokością ducha nad nich wzniesieni, mogli zobaczyć czem

być powinien człowiek nieśmiertelnym duchem od Boga obdarzony i czém jest ten, co na to tylko używa ziemskich dostatków, by odpaść do stanu zmysłowego, by stać się tylko bydlęciem.... Wtedyto wstydzić się będziecie, że wy ludzie, *Chrześcianie*, że wy zazdrościliście istotom zmysłowym ich zmysłowego życia. O! zostawcie ich przy ich bogactwach, zostawcie im ich złoto, ich kobiety, niewstydzące się obnażać ciała swoje, ich obyczaje, gdzie niemasz familijnych związków i życia, zostawcie im to wszystko, pomnąc, że ludziom z duchem, są na usługi całe skarby duchowne a zrozumiecie wtedy słowa Ewangelii: »*obdarzył ubogie a bogacze próżne odprawił*!!!« Gdy to mówił oczy błyskały uczuciem a nakoniec wytrysły łzami i mowę mu przerwały; wtedy to przypomniałem ile to razy na kazalnicy udawano płacz, kiedy częstokroć dusza kaznodzieji była tak sucha, żeby się na jedną łzę zdobyć nie mogła. Obróciłem się i pod amboną ujrzałem Rafaela; on klęczał i oczy miał zakryte chustką: płakał i całą tęsknotę swej duszy wylewał w tych łzach. Wtedy spójrzałem na księdza, który schodził z podniesienia: szczęśliwyś! myślałem, jest ktoś co cię rozumie! O. Pachomiusz przechodząc koło Rafaela spostrzegł jego rozczulenie, dotknął mu ramienia, dodając: błogosławieni ci co płaczą, albowiem oni będą pocieszeni! i oddalił się ze spuszczoną głową do zakrystyi, zamiatając podłogę długiemi połami sutany!

Poszedłem za nim. W zakrystyi było kilku księży młodych i starych, miejscowych i przyjezdnych z parafii. W czasie, gdy się rozbierał kaznodzieja, przystąpili do niego winszując mu pięknego kazania: niema czego, odpowiedział im poważnie, wtedybyście mi powinszowali dopiero, gdyby słowa moje przyniesły pożądane skutki!

— Zachciałeś! odrzekł jeden machając ręką.

— Jak to?

— To niepodobna, rzekł drugi.

— Dziś?

— Nigdy...

— Dla czego?

— Bo człowiek, mówiąc między nami zawsze jest człowiek, istota ułomna... powiedział trzeci z kompunkcyą i ze złożonemi jakby do modlitwy rękami.

— Nieponiżaj bracie imienia człowieka, za którego umarł nasz Zbawiciel i jak mówisz umarłby daremnie. Wszyscy mówią: *jam człowiek!* i robią to coby żwierz tylko mógł robić bez wstydu, jakby zwierz a człowiek było jedno. Człowiek! wy niepojmujecie czém mógłby być, czém powinien i czem będzie kiedyś człowiek! To najmilsze dziecię Boże...

— Któremu szatan za piastunkę służy... przerwał któryś z jowialnym śmiechem.

— Możeś i prawdę gorzką prawdę, powiedział; ale dziecko to jeżeli stanie się mężem; pojmie że nim jest i działać zacznie jako mąż, wtedy narowy dziecinne nie staną mu za winę...

— Dajcie pokój, dajcie pokój! ot proszę do mnie na śniadanie, albo raczej na objadek, a potem na preferansika. Ograli mię wczora, cięliśmy się do drugiej, przegrałem dziesięć peców, muszą mi dać rewanż...

O. Pachomiusz nachmurzył swoje gęste brwi, na ustach nieukontentowanie usiadło: niegram! ani czasu, ani pieniędzy niemam na grę. Nie dla kapłana gra, który swoim życiem przykład dawać powinien a pięknyto byłby przykład próżniactwa i chciwości...

— Przeklęty śledziennik, mruknął preferansista.

— Zachciałeś! powiedział drugi; dobre to wszystko na ambonie, ale nie w zakrystyi. Co jest w kościele nauką, to w domu bywa niegrzecznością i grubiaństwem. Przymawiać komuś....

— W kościele i za kościołem, powiedział spokojnie kaznodzieja, zawsze mam jedno zdanie; obłuda na ustach kapłana osiadać nigdy niepowinna; dziwnieby się potem wydały słowa Ewangelii przecedzone przez wargi fałszem skalane. Prawda zawsze i wszędzie być powinna; prawda to słowo Boże, a któż je jeżeli nie kapłan ogłaszać powinien... Wasza to wina, ciężki grzech, jeżeli słowa Chrystusa nie wszczepiają się w sercu profanów; wasza, co macie podwojną naukę dla świata i kościoła; święte słowo niewychodzące nigdy za kościelne podwoje i słowa słodkie pełne pochlebstwa, któremi niszczycie wrażenia pierwszych... O! nie zamykajcie Chrystusa w kościele! Jego kościołem duch ludzkości! nieróbcie kompromisów pomiędzy światem a religią; niepatrzcie przez szpary na grzechy; niech nikt niegnuśnieje w grzechu, jako normalnym stanie człowieka. Wskazujcie im wyższe życie, wyższe cele, wyższą moralność. Serce im najsamprzód oczyśćcie, to główna, a dla tego bądzcie sami prawdomowni, wszędzie im powtarzajcie przykazania, a nieczyniących Pokuty nie przyjmujcie do kommunii. Pomnijcie, że Chrystus żyje tylko w czystem sercu! A teraz wybaczcie jeżelim mówił za ostro, mówiłem prawdę, choć gorzką. Wybaczajcie i bywajcie mi zdrowi, to mówiąc wziął płaszcz, laskę, kapelusz i wyszedł.

— A to weredyk panie, zawedya jakiś, powiedział pierwszy.

— Bocian, świat mu panie... tego... zachciało się czyścić!...

— Heretyk! myślę, że we wszystkiem musi objawiać zdania przeciwne nauce kościoła; moralność! moralność! a o dogmacie, panie, ani słowa: to coś protestantyzmem pachnie! Byłem ci raz u niego jakoś, jadąc z pogrzebu nieboszczyka Prezesa; wszedłem panie Dobr. do jego pokoju, nima nikogo a tu książek, co aż strach. Ehe! myślę sobie, poczekaj no ptaszku, zobaczę no ja jakie ty tam książki czytujesz! otwieram

jedną Gut Morgen! drugą, także niemczyzna; trzecią a! niechże cię licho porwie, same za siebie pludry, nakoniec dopadam polskiej, czytam, czytam choć zęby powybieraj, nic nierozumiem... Ehe! myślę sobie, to ty taki bratku, to ty czytasz książki jakich ja nierozumiem, poczekajże powiem ja dziekanowi...

— No i coż?

— A dziekan mówi, ot lepiej siadaj ta graj...

— Mądrze powiedział, mruknął preferansista, dalibóg dobrze, ot i ja wam mówię to samo: zostawmy jego, niech go tam *sztunder hunder* trzaśnie, chodźmy do mnie, zagramy trochę, bo już summa się skończyła. I on, dodał z powagą i zupełną pewnością zdania, gdyby się był czém zajmował, toby mu pewnie nie przychodziły takie dzikie myśli do głowy, a to wszystko z próżniactwa, dalibóg z próżniactwa... I wszyscy z zakrystyi pociągnęli się za Demosthenem. Pobiegłem co prędzej dogonić O. Pakomiusza, znikł mi z oczu; wróciłem na wschody kościoła, na których tłum cisnął się i popychał, starając się dostać do powozów. Niektórzy, czekając aż się rozjadą, bawili się rozmową. Tam także prawie wszyscy ganili kazanie. Sędzia Fajeczka najwyraźniej był niekontent. A to proszę, mówił dokoła znajomym i nieznajomym, mówić że lepiej być gołym niż bogatym i jeszcze tam coś o duchu. Ale wszak to pewno, że ubogiemu prędzej duch wylizie z ciała niż bogatemu! Ja niewiem co się dziś im stało; gdzie spójrzysz, każdy mi prawi o duchu: muszę im koniecznie dać rękopis wykopany z Herkulaneum!

VI.

Od kościoła ulicą prowadzącą na plac K. cisnęły się tłumy pobożnych; wielu nawet z bogatych korzystając z pogody szło trotuarem, gdy tymczasem ulicą wolnym krokiem ciągne-

ły się powozy, prezentując się w całym przepychu, wykazując materyalne obicia, konie dobrane i pięknej rassy; stangreta w bogatej liberyi, wstrzymującego ich zapęd i pobudzającego przytém cug swój do różnych poruszeń pełnych gracyi, jużto zginania karku, żując wędzidło, już grzebania nogą i wtrząsania grzywą.... To było na ulicy, a na trotuarze panie i panowie także popisywali się z gracyą ruchów i ubiorów... Ludzie tylko niedostatni dopadłszy swoich bryczek i kałamaszek i jeszcze kończąc swoje modlitwy zmykali co żywo na kwaterę, uchylając czapki przed JWW. Panami, któremi się ugarnirował trotuar; niezawodnie przybysze dla processów, w każdej bogatej damie widzieli żonę jakiegoś urzędnika i *kantowali* sobie jej względy: biedni! niewiedzieli, że nikt na nich niezwracał uwagi, co bowiem znaczy człowiek na kałamaszce? *C'est moins que rien, n' est ce pas*? Gdy tak szara szlachta zmykała, osoby co miały pretensyą do najpierwszej klassy towarzystwa, pędzili swojemi powozami poglądając z góry na tych ludzi pośledniejszego już gatunku i okurzając ich pyłem kół swoich... I bardzo słusznie niech jeden drugiego brudzi, bo tak potrzeba... Wtedy my sami wydamy się mniej brudnemi, my ludzie na wysokości rydwanów naszej dumy! O! duma, ona klassyfikuje w tym celu, aby się wynieść a innych poniżyć, aby przygnieść ich ciężarem swoich bogactw albo długów i w końcu *exdywizyi*. Cóżby się stało wtedy, gdybyśmy podzielili ludzi na klassy, w tym celu, by ich podnieść *do stopnia człowieka*, o! wówczas panowie! nie siadajcie zbyt wysoko, bo upadek będzie boleśny! Pomiędzy powozami wlekącemi się paradnie od Kościoła, spostrzegłbyś piękny szafirowy Fajeton z białem jedwabnem wybiciem, zaprzężony parą ogierami szpakowatemi w jabłka, w czarnych angielskich chomątach, ogierami, co jak łabędzie gięły karki, żuły i pieniły wędzidła mundsztnków, które zmuszały ich do powolnego kroku. Stangret w galonowawej liberyi z ogromnemi wąsiskami, siedział na wysokości swego tronu, grożąc

z tamtąd biczem nędzarzowi co na węgle ulicy wyciągał suchą rękę, jęcząc swą prośbę o jałmużnę... Był to ekwiparz pani pułkownikowej N***.

Ale kto była sama p. Półkownikowa? Oto pytało się wielu, ale to już dawno, jeszcze kiedy p. Półkownikowa była młoda, kiedy p. Półkownikowa interesowała, kiedy się kochano w pani Półkownikowej, kiedy się starano choćby o jedno jej spójrzenie... Dziś pani Półkownikowa miała pewien fundusz, niewiem jak zebrany, twarz, która zaprzeczała wprawdzie wszelkim opowiadaniom o jej dawnej piękności, a która mi zawsze przypominała facyatę Moszkowej, starej żydowicy, trzymającej u mnie arędę w karczmie, położonej na berdyczowskim trakcie; ale co ważniejsza miała Półkownikowa dwie córki szczególnej piękności.

Były to dwie brunetki, blade, o świecących oczach, kształtnym greckim nosku, pięknych ustach, przez które zawsze były na pokaz drobne, białe ząbki, dwie siostry prawie całkiem do siebie podobne z tradycyą matczynego wychowania, dwie kobiety niepospolitych na przyszłość nadziei... Ale jakie to były nadzieje? Co czytałeś w tych buchających ogniem spójrzeniach? Powiem tylko, że Fajeczka w zapale podziwu ich greckiej piękności nadał im helleńskie imiona Laii i Aspazyi, imiona wyjęte z rękopisu greckiego, wykopanego, jak zwykł był zawsze dodawać *z Herculaneum*. Słysząc to, dreszcz mi przebiegał po skórze; z nieukontentowaniem patrzyłem na Sędziego, ale przywodząc sobie w imaginacyi spójrzenia palące i zalotne uśmiechy dwojga dziewcząt, musiałem się zgodzić w końcu, że tą razą P. Amedeusz miał racyą i nie daremnie zacytował mniemamy rękopis *z Herculaneum* (*). Czy zdarzało się wam kiedy widzieć kobietę złego życia matką pięknego

(*) *Podróże Antenora są napisane przez Lantier.*

dziecięcia? Przypomnijcie sobie jakie wrażenie na duszy waszej sprawiał ten widok? Piękne dziecko w ręku zepsucia i ta co ma zatruć te świeże dusze, to rodzona jego matka; dała mu życie na to tylko, by potępić jego duszę. Na co podobne kobiety taki dar odbierają od Boga? Tyle dusz czystych nieznna pociechy macierzyństwa, dla czego roskosz ta ma być udziałem grzesznicy? Takie sobie często zadawałem pytania, patrząc na młode osoby, których wychowaniem zarządzały matki, niewiedzące co to wychowanie, do czego ono, niewiedzące, że to jest usposobienie duszy do przyjęcia Boga na swoje łono: a wcale nie środek zrobienia z wolnej osoby towaru do rychłego wzbogacenia. Ale gdy tak myślałem, często przychodziło mi do głowy takie tłumaczenie tej zagadki: kto zna cele Opatrzności! Kto może zapewnić, że widok niewinnego dziecka niewywrze wpływu dobroczynnego na skażoną duszę? Kto wie, azali w każdym uśmiechu, w każdym spójrzeniu, czystego a głębokiego oka swego dziecięcia, występna kobieta niewyczyta dla siebie wyrzutu i potępienia? Kto wie, czy dziecko niepodniesie duszy do Boga, nie stanie się aniołem stróżem, ogniwem pojednania grzesznicy z Bogiem? Może tak było raz lub dwa, a czyż tego niedosyć... Zły wpływ matki mógłby się wytępić nauką religii, moralnością... Ale kto zaszczepia tę naukę! o to okropna! Te dwoje dzieci nieznały ojca; ojciec ich porzucił żonę dla jakiejciś tam hrabiny, która jako wynadgrodzenie dała podobno ich matce 200,000 i ta dziś dojadała wraz z córkami grosz opłacony honorem i grosz pohańbienia, czekając aż córki znajdą sobie bogatych mężów i ona już będzie żyć, kosztem córek... Słyszeliście kiedy co podobnego? Skąd powstała pytam ta rdza, co pożera nasze obyczaje? Przyszła ona wraz z naszą europejską cywilizacyą, wraz z balami, modami, długami, podróżą za granicą, exdywizyą, rozwodem i separacyą i z obojętnością wreszcie na plamy honoru... Nie przyszłoż wam nigdy na myśl śledzić źrzódła tego zła moralnego. Czy

nigdy taka strona obyczajów nie drażniła waszego oka? Czy zawsze wam się zdaje, że wszystko co nas otacza takie różowe, takie piękne, niewinne? O! obudźcie się z waszego uśpienia, może jeszcze można zaradzić temu, może.... Ale dosyć nudzę was, pewnie widocznie nudzę, będę więc wam prawił samą bajkę jak umiem. O przykro to, że prawda wtedy tylko dostępna, gdy ją w bajce wykładamy!

Pani półkownikowa żyła w wielu miastach w Moskwie, Żytomierzu, w N*** i żyła wystawnie, po pańsku, bo była młoda i piękna a młodzież się zbierała hurmem na kartowe wieczory i młodzi ludzie szczęśliwi w miłości, wedle przysłowia, najnieszczęśliwsi byli w kartach, widać ogień oczu pięknej bankierki fascynował ichmościów, *et l'or en roulant sur le tapis vert* spadało prościuteńko do worka gospodyni... Ale wieczory były świetne, ludne, lampiony gorzały jasno, bronzy się świeciły i jeżeli kto przegrywał i kręcił się niespokojnie na krześle, niedoświadczał wszakże niewygody, bo fotele byli miękkie, na sprężynach, pokrycia jedwabne, a gospodyni biorąc pieniądze tak się uśmiechała mile, takie robiła słodkie oczki, że zapaleni młokosy twierdzili, że podobna rozkosz za mało się nawet opłacała... Wtedy przy zielonym stole widziałbyś dwoje dziewcząt do lat dwunastu, których piękne oczy świeciły złotym promieniem, rzekłbyś złoto się w nich odbijało, topniało pod ich ogniem i snuło się jasnemi nićmi, i motało w około ich serca... Taka była edukacya dwojga brunetek! mógłyż przemówić ich serca w tym chaosie? czyż przy zielonym stole w widoku matki kokietującej młodzież, przy której się ta wcale nieżenowała, gdzie bogaci motianci zwieszali się nad fotelem bankierki, niby niechcący dotykali jej nagich pleców spalonemi ustami, ściskali ręce, przerzucali się płaskiemi ekwiwokami, czyż w pośród tego pytam, można było kiedy wnosić, aby te dwoje dzieci mogły mieć jakieś pojęcie moralności, cnoty, wstydu, skromności. Dzieci te, później

już młode panienki odbierały prezenta i umiały się gładko o nie przymówić; w rozmowie były śmiałe, dowcipne, używały szyderstwa albo też pochlebstwa w miarę jak im to samym lub matce było potrzebne. Matka uczyła je obłudy; uczyła jak miały udawać przyjaźń, przychylność, miłość samą; uczyła jak udać niewinność, dziecinną naiwność *cette ingénuité, attrayante dont on peut employer quelquefois avec succès auprès des sots qu'on nomme ordinairement les gens d'une bonne conduite*, jeżeli się zdarzyło jakim przypadkiem mieć takich ludzi u siebie, ma się rozumieć takich którzy oprócz swego dobrego prowadzenia się posiadali jeszcze znaczny majątek.

Widzieliścież wy kiedy obłudę na twarzy młodej i pięknej dziewczyny? czy spostrzegliście tę maskę co się wtedy unosi nad fizyonomią i nadaje jej twarzy ohydny wyraz fałszu? Czy dusza wasza, pytam, nigdy niedoznawała tego pełnego cierpienia jakie przejmuje na widok podobnej parodyi najświętszych przedmiotów, które mąż prawy czci jako najdroższy załóg żywego związku B o g a z człowiekiem?

Pamiętam raz, już kilka lat później, byłem w Kościele i przed ołtarzem na jednym stopniu klęczały Lais i Aspazya; modliły się one na jednej, wspolnej, bogatej, wielkiego formatu książce, którą każda z nich trzymała białem jak marmur ramieniem, ze schyloną głową, ze spuszczonemi oczyma; włosy spadały czarnym strumieniem na ich białe kamalie, z pod których długiemi falami spływały jasnobłękitne suknie; widok był piękny, malowniczy! ale potrzeba było wpatrzyć się dobrze w te twarze obleczone w wyraz powagi, w spuszczone oczy, w kąty ust a po chwili zaczęła ci się dwoić ta postać; szyderstwo zdawało się unosić nad temi rysy i rzekłbyś co chwila ta powaga parsknie szatańskim uśmiechem cynizmu i niewiary! Dla czego to? o! to dla tego, że dusza ich nie mogła się przejąć świętością religii, bo niemiała tego *organu czy-*

stości, co przyjmuje w siebie wszelką świętość, bo nabożeństwo to było udane, goniące na efekt i wtedy kiedy oczy ich były obrócone na wyrazy modlitwy, myśl zajmowała się tém wrażeniem, jakie sprawia ich widok na młodych ludzi nabożnych, co się ciekawie kupili dokoła i palili je swym pożądliwym wzrokiem... Powiedźcież mi, nie byłże to szatan, co przyjął kształty upadłego anioła, by mógł kusić w obliczu B o g a nawet pozorem skruchy i modlitwy. Pomyślcie, czego to można spodziewać się od towarzystwa, gdzie dziecięca prawie młodość i płeć niewieścia, niezna duchownego podniesienia; czego to oczekiwać od męszczyzn, kiedy materyalizm ich nieznajduje tamy i opory we płci żeńskiej? Zwracam na tę ostatnią płeć główną uwagę dla tego, że ona jest piastunką czystości obyczajów i serca pokoleń. Gdzię kobieta jest zepsutą, co tu o męszczyznie powiedzieć; jakim prawem będziesz w nim szukał serca, kiedy mu matka miasto niego włożyła tylko dziurawy worek na pieniądze, a zamiast pobożnych pieśni u jego kolebki śpiewała wodewilne piosenki; zamiast zgody i świętości familijnej, przedstawiała mu przez cały ciąg dzieciństwa sam tylko widok goryczy i małżeńskich kłótni. Skąd tu moralność ma się zaszczepić w sercu? Skąd pogarda dla zła i zepsucia? Skąd wreście popęd do religijnej świętości? Jeszcze dziecko, jeszcze pod okiem rodziców, *w ognisku jedności*, a już niewierzy w jedność i serce i dziwnaż to, że całe życie przedstawia się mu tylko jako fantazmagoria zmysłowych orgii, egoizmu, spekulacyi, chciwości i dumy, bo niemasz w duszy duchownej podstawy skądby się rozwinął harmonijny strumień wyższego, chrześciańskiego ducha. Myśli te przychodziły mi zawsze wtedy kiedym opuszczał cichy pokoik Rafaela i wchodził pomiędzy czynne życie ogółu; kontrast cisnął się sam przed oczy i raził wzrok serca swoim jaskrawym widokiem; Rafael i jego pogląd kazał mi studyować życie i byłem niezmordowanym jego widzem, widzem, co jak Napoleon na skale S-tej Heleny

patrzył na fale oceanu z założonemi rękami.... o! potęga jego ducha niewygładzi ich powierzchni... bo tu dmie burza jak na fale życia dmie burza ludzkich namiętności.... Ostudź i uspokój namiętności nauką Chrystusa, a wtedy dopiéro będziesz miał żywot prawdziwie chrześcijański...

Dotąd widzieliśmy tylko same rzeczy wyjątkowe. Matka kartowniczka, pomagająca szczęściu kartowemu szczęściem w miłości; wychowanie dzieci było przy zielonym stole, przy widoku wolności jaką sobie pozwalano z matką, — w wirze dziwnych słów i mów, przesyconych cynizmem, przy szatańskim śmiéchu ze skromności i cnoty: była to prawdziwa szkoła zepsucia wyrafinowanego, moralnej trucizny, sublimowanej, odlanej w cukierku złoconym i malowanym a zaprawionym drogą wonią; było to zepsucie w purpurze i złocie, zepsucie Rzymu w czasie jego upadku, zepsucie z wieńcem róż na głowie, na łożu ze słoniowej kości, z onyxową kraterą w dłoni, dyszącą zapachem starego *falernu*. Było to zepsucie w postaci Kleopatry lub Messaliny, ale odbite w miniaturze i naprowadzone szychem, ale zawsze też nie mniej świetne, a to jest główna, bo dziś potrzeba koniecznie czymciś świecić choćby to nawet dziurami.... Ale nagle półkownikowa znika, jedzie do innego miasta, do Warszawy czy do Lwowa i wraca nazad po kilku latach z córkami w ich całej krasie, z wdziękami kobiety znającej potęgę swej piękności i umiejącej jej użyć.... Tu następuje zupełna odmiana dekoracyi; matka już niepowabna, ale odstręczająca, bez zęba Lokusta, ze zmarszczkami na czole, z wpadłemi oczyma, z siwiejącym włosem i brzydką swoją przeszłością, którą zarzucają zwykle starą kobietę, niemającej już osłony w piękności ciała: bo występek najokropniejszy jest w swojej nagości. Teraz była to już *czuła matka*, starająca się o przyszły los swych dzieci; matka jak każda inna z macierzyńskim przemysłem „gdzie się wszakże niezapomina o sobie i o swoich starych latach, które kiedyś przyjść mają,

kiedyś, kiedyś za lat sto może *que sais-je*? Tymczasem potrzeba szukać bogatego męża; potrzeba zastawiać nań sidełko, by go złapać jak gila, oplątać, wymódz zapisy a potem? potem postępować tak, żeby gil poznał w klatce, że go żona wyniesła z drobnego rodzaju ptasząt do rozmiaru wielkiego *dudka!* Awantaż widoczny! nie prawdaż?

Jakto wiek odmienia ludzi i zdania o nich! Niegdyś, przy piękności jaką posiadała, chociaż nawet *en qualité d'une femme sur le rétour*, półkownikowa uchodziła za osobę miłą, dowcipną, czarującą nawet. Dziś już było co innego; już eliady nie czarowały nikogo a wdzięczenia się poczerniałej i pomarszczonej twarzy, najwyrozumialszych na te rzeczy naprowadzały na myśl Russa, *que l'impudence est plus sensible et choquante jointe à la laideur et qu'il est sûr qu'on couvrirait plutôt de souflets que de baisers un laid visage effronté*.... Wszakże byli jeszcze tacy co mówiąc o półkownikowej wyrażąli się o niej: I! to, panie, baba kuta na wszystkie cztery nogi! Takieto zdanie było już dziś jedyną dla niej pochwałą! Bo dziś już nawet od kobiet jej podobnych wymagają myśli, przyznam się niewiem jakiej, dość że mi Fajeczka zawsze powtarzał: *potrzeba panie myśli*, *potrzeba koniecznie i poezyi*, *jeszcze tej*, *tej panie prawdziwej*, *tej mickiewiczowskiej poezyi i myśli jeszcze panie dobr. tej co to.... co to panie myśli*. Ja zniżałem tylko na to ramionami, pamiętałem wszakże zdanie jednego ichmościa, co się opierając na teoryi krajowego estetyka, co trzyma że poezya jest wszędzie, widział jej najwięcej w przymrużaniu swego prawego oka i w gęstwinie własnych bakenbartów. W mieście rozpowiadano o półkownikowej różne dykteryjki z powodu jej umysłowego zaćmienia. Raz jeden młody człowiek odwiedzając ją chciał zakommunikować jej wiadomość, o której pisały wtedy wszystkie zagraniczne gazety; dotyczyła ona sprawy Alex.

Dumas z jego Wydawcą: Wie pani, mówił p. Cezary że Dumas przegrał sprawę?

— Przegrał? proszę! i gdzież to, w sądzie głównym czy powiatowym? Ale, dodawała potem prostodusznie, pewnie że w głównym i ani chybi przysłużył mu się deputat N.... bo to człowiek panie do wszystkiego złego. Imajnuj Pan sobie i t. d. polała się plotka jakaś na deputata, urodzona z niechęci jaką półkownikowa miała ku niemu, a to za to, że u niej nie bywał a ją samą i jej córki traktował bardzo zimno.

Ale nie wszyscy podzielali obojętność deputata; dom półkownikowej był jednym z pierwszych w mieście; wieczory u niej bywały częste a ich duszą były dwie brunetki jasnookie piękności, pełne gustu, doskonale pojmujące ducha mody i ztąd kładnące na wszystkiem co je otaczało pieczęć jeżeli nie piękna, to tego co Francuzi nazywają joli.... Salon ich był właśnie próbką tego; petersburskim zwyczajem był on niejako małym ogródkiem, utworzonym z wielkich wazonów, rzadkich exotycznych krzewów, które formowały kioski cieniste, oświecone wieczorami chińską latarnią o jaskrawych szybach i lampami z matową banią; kanapy były ogrodzone treilażem po którym gęsto wiły się powoje o wonnych kwiatach i cały ten raj pełen zieleni, woni, kolorowego światła latarni i białego jak brzask co z matowych lamp spadało, przenosił młodych ludzi w jakiś kraj marzeń, a feami tego kraju były Lais i Aspazya... Nieraz po za tymi szpalerami dosłyszałbyś jakichciś na wpół wymówionych a wpół dokończonych wzrokiem fraz; niedomówionych słówek, których tylko znaczenia dowiedziałbyś się chyba od liści wielkiego, rozłożystego ficus'a, który swoją zieloną koronę schylał po nad tajemnicze podwójne krzesła, genialny wynalazek Francyi, ojczyzny Balzac'a.

Ale kiedy z sali dolatywała melodya polki, w opustoszałym salonie było jeszcze czarowniej; kilka osób mogło w nim być i prawie się niewidzieć, a muzyka unosiła daleko i wtedy,

kiedy serce wybiało takt melodyi, myśl tańczyła po sferach niebieskich, bo tych marzeń ani pióro, ani serce, ani głowa, nie mogła pomieścić, objąć je mogła sama tylko nieskończoność... i myśl czepiała się tej nieskończoności i gdybyś przerwał marzenie i spytał, gdzieś był, ten co mu się oddał, pewnieby ci powiedział *byłem w niebie*!.. Jednym z codziennych prawie gości półkownikowej był p. Frydryk, młody człowiek i dosyć bogaty; matka i córki przyjmowały go mile, ale najmilej mu było ze starszą, najwięcej go podobno paliły te promienia, które nań padały z ogniska czarnych jej oczu i kiedy wedle przyjętego w tym domu angielskiego zwyczaju, młode gospodynie witały go z uścisnieniem dłoni, dłoń Lais i pana Frydryka zdaje się dłużej z sobą splatały i rumieniec występował mu na lica i spodnia warga drgała nerwowie. Ale tego niekażdyby dostrzegł, czuło to tylko serce pana Frydryka... bo, rzecz dziwna! miał on serce.. — a ona miałali ten dar Boży? ***Anaïs Segalas*** pięknie określiła znaczenie serca w kobiecie:

C'était peu d'être belle, il lui fallait un coeur
Il restait à donner un parfun à ma fleur;
Quand j'eus créé la femme éclatante et folatre
Son front nacré, son col aux tons éblouissants.
Je mis l'amour en elle ainsi qu'un grain d'encens
Jeté dans un vase d'albâtre!

Trudno było oznaczyć miałli zapach, jak się wyraziła Francuzka ten piękny wschodni kwiatek, byłali dusza w tym połysku oka i w tym uśmiechu, bo ten połysk i uśmiech ten były zawsze na zawołanie o miłość? o! to rzadki gość naszej duszy! to w czem ona się objawia tak jest skąpe, że język, którym się posługuje jest prawie całkiem inszy od tego, jakiego używamy zwyczajnie. Ton jakim brzmią te słowa, ta muzyka, bo uczucie jest wiecznym hymnem do **B o g a**; człowiek w miłości

lepszym się staje; dusza się jego podnosi od ziemi, ale to wtedy tylko, kiedy miłość ta niejest ziemską, kiedy jest prawdziwą miłością.... A czy często widujemy prawdziwą miłość? czy mogłaby się nawet ona rozkrzewić pod dzikiém okiem półkownikowej i jej podobnych?

Jakkolwiek bądź Lais i Aspazya były dwoma osobami, które czarowały; męszczyzni o nich tylko mówili; pan Sędzia Fajeczka i jego konfraternia nie mogli dobrać wyrazów, dla dokładnego oznaczenia ich zalet: »czarodziejki! wołali chórem. Umieją panie podkraść się do serca; co to za spójrzenia! młodsza szczególnie, niech ją tam licho porwie! zdaje się wzrokiem leje ci starego wina do gardła! *O osobliwość!!* Matki dawały je na wzór swoim córkom; każdaby chciała natchnąć swoją tym magnetyzmem, co to ciągnie męszczyzn i ugina ich karki, o! doprawdy był to *magnetyzm*, do którego doskonale przystawał epitet *zwierzęcy*! Panny z zazdrością patrzały na te dwa modele, do których potęgi żadna dojść nie mogła, bo lubo ich wychowania nie były wcale innego ducha, wszakże nic nie mogło zamienić tej wczesnej praktyki, jaka się zaczęła przy zielonym stole: Lais i Aspazya były to dwie królowe płci swojej; dwie kobiety, które postanowiły sobie panować i panować jakiemiby to nie było środkami i wybrały do tego *ów zwierzęcy magnetyzm* kokieteryi, potęgę którą się najlepiej działa na zwierząt! O! jakiż to rozmaity był widok tego wpływu! — jakiż to głupi wyraz piętnował wówczas twarze tej czeredy, co ze spuszczoną głową ciągnęła się za tryumfalnym wozem dwojga kapłanek Cyprydy, które postanowiły sobie zwyciężać, by dójść do najwyższej potęgi materyalnej siły, ciała i pieniędzy. Miały one doskonałą znajomość słabości zmysłowej natury, której nic nie przeciw działa, wyjąwszy chyba jedną chciwość i czereda ta służyła im tylko za praktykę, nimby nastąpiła stanowcza chwila podbojów... Poniżenie tych adoratorów było podwójne; niewiedzieli, że ich inaczej nieuważa-

ją, jak za manekin, który ma ich dopiero doprowadzić do objęcia prawdy i życia... Była to siła materyalna, która pojęła swoją potęgę i poczynając od siebie we wszystkiem siebie tylko szukała, znajdowała i szła dalej, coraz dalej, tak, że świat wkrótce zdawał się być bliskim zupełnego poddania się, do tyła był on już zmateryalizowanym. Był to szatan co chciał wśród ludzi i ich moralności pobudować królestwo swoje i poczynając od słabej strony, od grzechu, przeszedł zwycięzko wszędy i nigdzie zastępców B o g a nieznalazł; był to Napoleon wreszcie, który w entuzyazmie olbrzymiej dumy chciał z woli swej piersi zbudować świat cały, i za tym wpływem świat Boży, świat Opatrzności przetwarzał się w kształty, jakie mu nadawała kapryśna wola jednego człowieka; chwila jeszcze, jedna chwila byłby i Napoleon tylko i jego świat, bóg i jego stworzenie; ale naprzeciw mocy swawoli powstała moc prawa, powstała równie w pełni poznania własnej siły, powstała, samodzielnie przemówiła i narody ugruppowały się w około tego ducha bożego i padł szatan, syn egoizmu i swawoli, i zalał posoką pola Waterloo... Nietylko na polach Historyi stacza walka prawa bożego i dobra ze złem i swawolą; walka ta kipi w piersi każdej jednostki i zwycięża i idzie dalej, i dalej, jak zaraza wyludnia ona familię Bożą, dziatki nieba, bo zapomniano o duchu i odrzucono wychowanie, jako rozwinięcie zasad Bożych, jako okucie chrześcianina w żelazną zbroję mocy, którą on miał walczyć naprzeciw złu na ziemi. Wychowanie dzisiejsze jest przygotowanie do przyjęcia nasion zła i przychodzi wreszcie mistrz zła i sieje nasiona swoje... To, co miało być ugruntowaniem moralności, staje właśnie w oppozycyjnej stronie jej skażenia, a nasamprzód kobieta, a potém miłość, która tu staje się jakąś szatańską mixturą i Bozkie uczucie wygnane z ziemi odleciało na niebo.... Przypatrzcie się dobrze! miłość dziś nie jestże takiem oszukaństwem, jak była ongi religia rzymskich Augurów i czyż się

niezdaje wam czasami, że te dwie zakochanych, co się sobie w swej mniemanej miłości tak pilnie wpatrują, niedotrzymają powagi przyjętej roli, że w końcu i parskną one sobie w oczy szatańskim śmiechem niewiary? Jeżeli jest co dzisiaj realnego w tem słowie miłość, to zapewne chuć tylko bydlęca i podły interes! Ale to okropnie pomyśleć, że fałsz już się nawet kryje w młodości, toczy serce wprzód, nim się ona rozwinie wysusza ducha i świat cały, całą społeczność zamienia w moralnego trupa. Trup moralny to zwierze, ale nie to co niedoszło potęgi moralnego życia, ale to co od niego odpadło... Zwierze dwunożne, naród bimanów, zdziczałe plemie, z wyrazem upadku i moralnego przekleństwa na twarzy, odwieczne plemie Kaina... Słyszeliście o tem, że aniołowie, synowie B o g a, pokochali córy ludzkie; że miasto miłości ducha, obrócili ją na dół i rozmiłowali się w powabach ciała i upadł duch z wysokości niebios i zagrzebał się i zginął w materyi i porodził wreszcie tytanów, co nawet samego B o g a chcieli wygnać z jego dziedziny nieba, by całkiem już zatracić ducha i ubóstwić samą tylko materyą?... Ktoż nierozumie znaczenia tej paraboli? dopóki ducha, dopóki materyi, zła i dobra, dopóty powtórzy się ten stary mythus księgi Enocha.... Materya, zło— wyraża, wszakże myśl zła w przeciwieństwo myśli dobra, wyraża myśl swoją zmysłowie, w najczarowniejszych kształtach i ludzi pozorami zgubnej doktryny; poezya występna, dythyrambem piekła, poezyą, którą upostaciował Bajron w swoim Don Huanie (Don Juan), wyciągnąwszy ją z butelki romu, z odurzającego płynu opium, z obyczajów wschodu, z rozczarowania i próżniackiego życia bogacza, przepychu angielskiego lorda, z zapoznania miłości przenosząc ją z ducha do zmysłów, z tęsknoty za niebem do sprośnej ziemskiej pożądliwości... I powstała nowa poezya piekielna w postaci odaliski i wyciągnięto miłośnie do niej ramiona a tymczasem wstręt do zła ulotnił się z duszy a miłość dobra i czystości serca skonała i wstąpila na

niebiosa. Był to kwiat złocisty rośliny, którą wypielęgnowały obyczaje XVIII wieku; rośliny, której jad już działał za dość dalekim zbliżeniem, rośliny, pod której cieniem kto raz tylko zadrżemał, już się nigdy nieobudził... Ta poezya bajroniczna, poezya zepsucia w przepychu wschodniej odzieży, stała się poezyą obyczajów u nas i Lais i Fryne i Messalina mają swoją poezyą skoro tylko przywdzieją draperyę Zulejki, przybierając wreszcie wszystkie postacie hiszpanki w czarnej mantylli, wenecyanki w aksamitnej maskarze i tyle innych kształtów a zawsze tak uroczych tak pociągających, bo wymierzonych do zmysłów, które tak łatwo się poddają....

Córki półkownikowej miały przed sobą wzory pełne poezyi, wzory poczerpnięte w dziełach Bajrona, ale w tem one były niższe od swych wzorów, bo im niewierzyły, nie przejęły się per excellentiam tą *pięknością materyalizmu*, a brały je tylko jako proste narzędzie, by dojść przez nie do bogactw, do znaczenia... Były to gotowe niewolnice do haremu sułtana, ale jeszcze niepojawił się Padyszach i Zulejki zaprawiały broń swoją na.... na kimże to? na satyrach, których one same czuły brzydotę i głupstwo, bo się chwyciły formy zepsucia nie samej rzeczy, albo raczej przeciwnie za zepsucie samo w sobie, uważane może dla tego za najwyższy stopień upadku, upadku satanicznego, bo miłującego zło dla samego zła tylko... Ale ani Fajeczka, ani *tutti quanti* niepojęli i nie mogli pojąć tej potęgi rozwiązłości; byli oni oślepieni jego blaskiem i otwierali tylko szeroko gębę; daremnie szperał sędzia w rękopismie *wykopanym z Herculaneum* nic nieznalazł tam tak świetnego, była tam taż sama rzecz zdaje się, ale bez żadnej obsłonki — a tu... Bo była tu właśnie ta sama różnica, jaka zachodzi pomiędzy Bajronem i p. Farulą, wielkim poetą baragolskiego życia; rzecz biorąc zimno, toż samo tu i tam, tylko tu trąci dziegciem a tam dusi wschodnim aromatem.... I bohaterki prawie jedne: Zulejka i jaka Ryfka, to dosyć blisko,

ale braknie tu czegoś co trudno jest schwycić... Niedaremnie więc Fajeczka zżymał ramionami i rozstawiwszy ręce powtarzał swoje ulubione słówko: *osssobliwość*!!

Dziwnoż teraz, że dom półkownikowej był ogniskiem towarzystwa, które się cisnęło do tych dwojga istot, by w końcu uledz temu czarodziejskiemu wpływowi; każdy uśmiech, każde palące spójrzenie oka, słówko jedno już rozdymało pierś biednych profanów, cóż dopiero wyrzec o zamorskim obyczaju ściskania ręki i całej tej gradacyi, dotykania tylko palcem, końcem ręki, podawania dwóch palców i nakoniec całej dłoni, poważnie i z zimnym uśmiechem, to znowu z uśmiechem pełnym słodyczy, ze smutnym to znowu wesołym wyrazem oka? Fajeczka czy sam ulegał tym próbom, czy tylko bywał świadkiem takowych, otwierał gębę, rozciepierzał palce na rozstawionych ramionach i w głębokim zadumaniu powtarzał swoje: *osssobliwość*! Ale nie Fajeczka grał tam główną rolę; bywał on tam jak musiał być wszędzie, tu więcej niż gdzie indziej z powodu jakiejś tam parenteli ze samą półkownikową; ale główne towarzystwo składało się z ludzi bogatych, najwięcej młodych, studentów, oficerów, *des hommes à la mode* i starych kobieciarzy wysłużonych generałów, pp. hrabiów, którzy lubili suwać nogami po za krzesłami piękności. Świta była liczna, świetna, a tego własnie było potrzeba; co miało tylko miasto najświetniejszego, wszystko było u nóg dwojga greckich piękności, i gdzieś tam w kącie, w rogu obrazu, widziałbyś może i Fajeczkę, klęczącego, podesławszy wprzód sobie pod korne kolana jaką chustkę o wielkich czerwonych kratach.... Ale na pierwszym planie, widziałbyś zawsze młodego Fryderyka, zaślepionego szaleńca, gotowego przyznać Lais aniołem, któremuby chętnie oddał w ofierze 800 ukraińskich dusz, a wiadomo, że ziemscy nasi aniołowie bardzo lubią dusze chrześcijańskie.

Pierwsza kobieta, którą się kocha, a właściwie mówiąc kocha się tylko pierwszą, staje się dla nas wyższą istotą, sylfem, duchem, bo anieli już wychodzą dziś z mody.... Fryderyk marzył o takim sylfie, rad był wszędzie wyszukiwać te marzenia, w tych bogatych formach, jakie im poezya użyczyła.... Pamiętam raz opowiadał nam u półkownikowej effekt baletu *Sylfida*, który niedawno jeszcze widział w Petersburgu, wykonany przez Maryą Taglioni... Effekt, który dopełnił wrażenia tej czarującej bajeczki Karola Nodier'a pod tytułem Trylby a z której był przerobiony ów balet... Gurn, młody szkocki pasterz, widzi Sylfidę w czarodziejskich widzeniach, widzi ją wszędzie, w wodzie, w powietrzu, na ziemi, w ogniu nawet, wszędzie ona, wszędzie się mu uśmiecha ta wymarzona postać, ideał najwznioślejszej miłości.... W duszy jego odzywa się głos co mu powtarza: wszystko, co tylko widzisz, to moje dzieło, te kwiaty, co cię upajają swoją wonią, to jam ci przyniesła z naszych stron dalekich i posadziła na twojej ścieżce; sny co cię zachwycają, to ja je zsyłam: o! piękny młodzieńcze pokochaj Sylfidę, pokochaj niewidomą dziewicę! » I dalej opowiedział ten czarujący wymysł i rozrzewniający koniec, śmierć Sylfidy złapanej w fatalny woal czarownicy co opala jej gazowe skrzydełka, zgina jej piękną postać i ona pada wreszcie martwa jak uwiędły kwiatek, ofiara miłości i poświęcenia, ona! dziecko powietrza... Słuchaliśmy wszyscy z zajęciem tego opowiadania; oddanego z uczuciem, które pod koniec błysnęło łzami w spuszczonem oku młodzieńca.... Fajeczka zażył tabaki powtarzając »*a to panie osssobliwość*! « potem przeszliśmy do innych przedmiotów a w krótce całkiem zapomniano o Sylfach i Taglioni i mglistej i dzikiej Szkocyi i o miłości niewidomej dziewicy, zapomnianoby nasycać się swobodnie wdziękami ziemskich, bezskrzydłych czarownic.

Na drugi wieczór byłem znowu u półkownikowej, tego dnia nie było nikogo prawie; kilku męszczyzn grało tylko w je-

dnym pokoju w karty a na ich czele gospodyni; młode panie jeszcze się nie pokazały. W salonie siedziałem ja tylko i Fryderyk zamyślony i milczący; niemając co robić przerzucałem, rozrzucone na stole keepsek'i o bogatych grawiurach ów konieczny atrybut modnych salonów. Salon był oświecony mdłém światłem słoneczej lampy i kilku chińskich latareń, których światło tłumiło się jeszcze festonami powoi spadających bogatymi splotami od góry.... Gdyśmy byli tak pogrążeni w myślach, bogate, pełne rzewności i melodyi akordy przebiegły po klawiaturze instrumentu Erard'a, głuchły i wznosiły się, to znowu ścichały, ścichały prawie do powiewu wiatru i szmeru liści.... Zdumieni podnieśliśmy głowy.... i przed nami na wpół-zasłoniona zielenią, okazała się Lais w białej sukni z przejrzystej gazy, z wieńcem białych kwiatów na głowie, piękna, nieporównana, z błyszczącem okiem.... Jej nagie ramiona przebiegały po fortepianie i wydawały dziwne akorda, akorda żalu, tęsknoty, uczucia i skargi, a wtym coraz więcej i więcej zniżające się tony połączyły się w końcu ze śpiewem czystym, rzewnym, oddanym z namiętną expressyą:

C'est moi, je suis Sylphide
Aux doux traits au teint blanc,
L'amour vers toi me guide
Et j'approche en tremblant....

Tu akkompaniament przerwał ten pierwszy kuplet wylewając się znowu w akkordach pełnych tęsknoty:

Desormais nos montagnes,
Nos lacs, ni mes compagnes,
Ne pourrons me charmer,
Je suis là pour t'aimer.

i znowu polała się muzyka bogata, biegła, fantastyczna, jak

gdyby dopełniająca i przetwarzająca jeden temat miłości i zupełnego oddania się

J'aurai pour te distraire
Des chants plein de douceur,
Une danse vive et legère
Et les soins d'une soeur!

i znowu muzyka jakaś sielankowa, prosta a rzewna dopełniała ten romans Sylfidy odegrany z taką duszą i dziwną biegłością, odegrany przez prawdziwą Sylfidę, istotę zdaje się utkaną z powietrza, światła i mgły porannej i mieniących się kropli majowej rosy: a muzyka nieustawała, jak gdyby dla tego, by nierozczarowywać nagle duszy, usiłując ciągle utrzymać ją na tym stopniu podniesienia, na jakim ją postawiła potęga tonu i potęga piękności exekutorki jak równie malowniczość otaczających dekoracyi. Fryderyk, jakby strumieniem galwanizmu poruszony podjął się nagle z krzesła i oparty o konsolę, drżący, z nawpół otwartemi usty, z wlepionemi oczami w tę żywą Sylfidę, pił ten potok melodyi.... a ja drżałem aby co chwila nieustała to muzyka i ten czar nieziemski... Czy zdarzało się wam kiedy śnić o lubej, która po długiej niepewności ma wam objawić nareszcie tajemnice swego serca i kiedy już wzrok jej obraca się ku tobie, kiedy malinowe usteczka nawpół otwarte mają uronić dwie syllaby za które wszakże oddałbyś chętnie dwa życia, kiedy mówię niespokojność oczekiwania pierś ci rozszerza a serce bije gwałtownie. Czyż niezdarzało się wam, pytam, aby nagle w tej stanowczej chwili brudna ręka lokaja obudziła was z tego snu, w jakim życie całe przespać bylibyśmy gotowi, lokaj, który z głupią miną oświadcza ci najuroczyściej, że koledzy oczekują cię ze psami na łowy?.. Nigdy twarz twego sługi niewydała ci się pewnie tak głupią jak wówczas, a polowanie taką wielką i tak płaską dziecinnością....

W takiejto właśnie ja i Fryderyk byliśmy pozycyi; bo kiedy wedle wyrażenia Homera powiśliśmy duchem u ust czarodziejki — nagle niezgrabne klaskanie w dłonie urwało niedokończony akord, urwało nić co nas wiązała do nieba i obróciwszy się zdumieni znaleźliśmy się na ziemi oko w oko z p. Amedeuszem Fajeczką, figurą wyszłą z pod ołówka Berthal'a, który przechylając się z nogi na nogę i zacierając dłonie — stanął na środku pokoju uśmiechający się z zadowoleniem, widocznie się radując że i jego p. B ó g stworzył i postawił w pośród uśmiechającej mu się natury.

— Prześlicznie! co to niema gadania prześlicznie! kiedy pani śpiewa to tak ci się robi na sercu, jak gdyby ci kto spory kielich wina wlewał do gardła, ale gdyby to panna Lais dobrodzika łaskawa była zagrać nam poleczki, toby może i tego... i zebrałoby się ze dwie pary, bo jak niewidać przyjadą tu panny baronówny, a ja przyszedłem uprzedzić o tém. Domawiając tych słów, już, wysłużony sługa Temidy, podrygiwał nogami, pomimo datę urodzenia wypisaną na metryce, która, jak mówił zawsze, zgorzała w jakimciś parafiałnym kościele.

O potrzeba wam byłoby widzieć Fajeczkę wierzgającego i bijącego *hołubcy*, wedle zatraconej już dziś, niestety! tradycyi sławnej smorgońskiej akademii; potrzeba było wam widzieć, jak wyciągając naprzód jedną nogę, chował on w miarę tego swój nosek w zarośla bakenbardów, potrzeba mówię to widzieć, i opisywać tego nie będę. Pióro, dłuto, pędzel, farby, atrament o! zbyt to są słabe środki dla oddania wszystkich tych dziwów Terpsychory! Wiedział o tém dobrze sam Amedeusz i głęboko się przejmował tém przeświadczeniem swojej tańcującej godności, przeświadczeniem malującém się doskonale w całej jego postawie, kiedy po odbitej exercycyi jak tryumfator albo indyk występował wspaniale, zacierając czuba i wydając nozdrzami odgłos podobny do grzechotki. Nos, ów

nos maluczki czuł i rozgłaszał sławę jego! Fajeczko, nieprawdaż, wówczas w oczach twoich świat cały leżał ci u nóg i księżna wołoska i marszałkówna i tyle i tyle, a mieszkanie twoje, dotąd tak skromne, mieściło w sobie sukcessyą Rennepontów... Szczęśliwy! Nadzieja była mu wówczas matką! *Spes mater stul*.... jak mówią łacinnicy!

Około tego czasu przyjechał do N*** bogacz jeden, ale jak to mówią bogacz całą gębą, bo był to nasz Pückler-Muskau, albo jeżeli chcecie pewien rodzaj arystokratycznego Żyda Tułacza, człowiek wreszcie mający więcej tysięcy dukatów niż wiele przeżył dotąd na ziemi latek ów starozakonny a niezmordowany wędrowiec. Szlachetny turysta, równie jak średniowieczny Ahasverus, jest np. napoczątku jesieni w swoich dobrach, gdzie jak Nemrod wytępia wilki, wykurza lisy, bije niedźwiedzie, ale zimą jest już w Nizzy lub Genui, w poście w Rzymie, w kwietniu we Florencyi, przez tydzień w Neapolu, następnie w Sycylii, potem na wierzchu egipskiej piramidy, dalej w Londynie a nareszcie czytasz w jakiejś gazecie, że książe Ahasverus przybył do Seringapotnam, dla wyprawienia łowów na tygrysy. Mój Boże, jakież to polowanie, dla odbycia którego potrzeba tylko przepłynąć ocean i gdzie częstokroć tak jakoś się składa, że nie myśliwy upoluje źwierze, ale wcale na odwrót rzecz ma się, bo tygrys pozrze Nemroda. Prawdziwie to pańskie polowanie, polowanie któremu nikt, myślę, oryginalności niezaprzeczy.

Teraz polował książe, którego Ahasverus'em zwać będę, w dobrach swoich niedaleko N*** położonych, a polował na pierzchliwe bekasy, na słomki i chruściele; główna jego kwatera była w mieście i ztąd książe robił kilkodniowe wycieczki a w czasach odpoczynku *faute de mieux faire*, ukazywał się, ale to z rzadka, na publicznych spacerach, gdzie mnóstwo snuło się takich ludzi, co radzi byliby, jak król Nabuchodonozor, przemienić się w wilka, byle przez to tylko zwró-

cić na się uwagę myśliwego księcia; ale książe był widocznie znudzony; często wieczory całe spędzał u siebie na sofie we wschodnim ubiorze, tak doskonale przystającym do jego czarnej brody, bladej twarzy i tej apatyi, jakąbyś zawsze wyczytał w omdlałym wyrazie jego oczów. Nuda, niesmak, przesyt, ubiór wschodni, nargile, lux, troche opium i oto masz kolor bajronowskiej poezyi, jakąś dziwaczną fantazmagoryą, oświeconą bengalskim ogniem a kończącą się wystrzałem z pistoletu! Oto Manfred, Lara, Konrad, don Huan (don Juan) a potem jakaś tajemnicza, czarna zasłona z trupiemi głowami i klepsydrą, a potem czczość — szatan! Okropny to stan, kiedy w pośrodku życia, życia niestaje; kiedy duch wpada w chorobę, w suchoty i pozostaje tylko na ziemi znużone ciało, jak upior błąkające się wśród żywych i kończące wreszcie tę swoją wędrówkę podwójném samobójstwem Gustawa — samobójstwem ducha i ciała. — Niesmak, przesyt, *moralna nicość*, to śmierć ducha; czémże jest, w porównaniu z tą śmiercią, śmierć ciała? Cóż mi potem, że bryła gliny w proch się rozkruszy; ale jeżeli duch, co nadawał jej Bozkie kształty, co ją podnosił do nieba i Bozką gloryą opromieniał, jeżeli mówię ten duch straci o sobie przeświadczenie, straci wiarę w swoją nieśmiertelność i zagrzebie ją w ziemię i razem z nią się rozkruszy o! wtedy to okropnie! Niebójcie się tych co zabijają ciało, mówił Pan a duszy zabić niemogą, ale bójcie się tych co duszę i ciało mogą zatracić do piekła! Śmierć duchowa!! A w tym duchu, był taki bogaty świat sympatyi, tyle zajęć, tyle interessów, tyle można było zeń wydobyć świętych i wysokich przedmiotów, że dla ich poznania tylko i dla poznania stanowiska swego na ziemi, dwojga ziemskich żywotów byłoby jeszcze za mało! Ale nieobudziwszy w sobie potrzeb ducha, *nieurodziwszy się duszą dla świata*, ten świat prędko spowszednieje; są to wszystko znaki, których znaczenie w duchu się mieści; ta cała fantazmagorya świata środek tylko, środek mający na

celu rozbudzenie ducha, rozbudzenie jego samoistności, jego przeświadczenia — *Woli* a następnie *Czynu*. . . . Ale kto w widoku tej panoramy, oświeconej wschodem i zachodem słońca, w obliczu tych świetnych dekoracyi natury zadrzemie duchem i odda się łudzącym widziadłom ciała, jak muzułmanin wpływom narkotycznego napoju, ten niepostrzeże jak życie ubiegnie mu bez celu a kiedy się przebudzi już będzie zapóźno: skrzydlata śmierć już stoi z kosą, głębina dołu otwarta i wieje grobowym chłodem: robactwo gotuje się pastwić ciałem człowieka, który umiera nie żywszy. . . Podły ospalec! To był sen tylko, ale sen na jawie; sen w którym i wola miała udział, sen grzechu, cielesności, sen twardy z którego nie mogło obudzić głośne wołanie sumienia! A przecież sen ten prędko swój powab utracił; wid'ma te, jak widzenie Heleny Fausta, nienasyciły go bynajmniej, bo człowiek nie do snu a do życia, do życia czynnego został tu powołany. Pod każdym powabem, wieczny ospalec czczość samą tylko znajdował, bo czczość miał we własnej piersi a wiadomo, że człowiek to tylko widzi w przedmiotach, co sam w sobie posiada; dla umierającego cały świat obumiera, a dla umarłego duchem świat cały trupem się staje! . . . .

Nie raz książe milczał i utkwił wzrok w jeden punkt pokoju; a w oczach jego nie było śladu zamyślenia, bo o czemby on mógł jeszcze myśleć? Wszak te kilkadziesiąt przedmiotów widomego świata, on już oddawna znał na pamięć, znał doskonale wszelkie ich kombinacye, jak obroty kalejdoskopu, znał i dla tego właśnie, już to go niebawiło wcale! Już on niemyślał; rzekłbyś, że czasami tracił całkiem dar myślenia i jak indyjski Joghi starał się zapomnieć o świecie i o sobie, by się poniżyć w nicość, bo ona już była jego bóztwem; do niej, do niej jednej już tylko wzdychał! Gdyby mu powiedziano, że piorun za minutę uderzy w to miejsce gdzie siedział, możeby wtedy nieruszył krokiem, bo piorun, jego elektryczne wstrzą-

śnienie, śmierć, byłyby mu jeszcze nowością, a to tak trudno znaleść co nowego... Wszędzie jedne prawie twarze w pośród których poważnie wyrastają nosy — po miastach jedne kamienice prawie i drzewa i krzewy i ich duszący zapach i skwar słońca i pieczące zimno, wszędzie to samo wszędzie nuda... Pieczary Elefantyny, Ellory, piramidy, ruiny Palmiry i Balbeku, wystrzelone palmy, też kamienie i drzewa! Sfinx patrzył nań kamiennemi oczami i zadawał mu zagadkę życia; zapoźno! on już jej wcale niemyślał badać, prędzej pociągała go zagadka śmierci, straszna, odwieczna tajemnica, upowita w mądrości świata, jak mumia starożytnego Egiptu! Na ten to cel wojował ze lwami, patrzył w iskrzące ślepie tygrysa i pantery, bo to przynajmniej było dla niego nowém i dla takiej nowostki nieżal mu było ocean przepłynąć. Umierać myślą kilka razy na godzinę, to jeszcze było nowość, nowość piekielna! O! do czego to człowiek może upaść; taka choroba, to spętanie szatańskie! Zwyczajne polowanie nawet, dla tego tak go silnie zajmowało, że ono przynajmniej niezależało od jego woli; tu jeszcze niemógł z pewnością powiedzieć; *tak chcę i tak być musi!* Jedna chybna do bekasa, więcej go poruszała, niż uśmiechające się oczy piękności, oczy, w których blasku, widział on tylko odbity blask swoich skarbów i namiętną miłość, ale nie dla siebie a dla nich. Postaw jakiego Kwazimoda na jego miejscu i powiedź: *to książe Ahasverus!* i wytłumacz tylko dobrze, co to za zacz ten książe a wnet mu każdy i każda najczulej się uśmiechną. Wystawcie sobie los człowieka, któremu się wszystko uśmiecha i razem nie jemu a czemuś innemu jeszcze, co wszakże nim jest i nie jest, pomyślcie, być wiecznie rywalem samego siebie, nie być pewnym ani jednej sympatyi, ani jednego przywiązania i to jeszcze wtedy, kiedy serce tęskni i ptakiem wyrywa się z piersi! O! to okropnie! Dobrze przynajmniej, że takim ludziom serce usycha nim się jeszcze obudziło, inaczej pewnieby zazdrościli losowi Łazarza!

I jakaż to głęboka głupota, co nawet podobnego stanu zazdrości! Niewiedzą nędzni! że złoto nawet zabija. Już materyalna starożytność pojęła była tę prawdę i wystawiła jej morał w bajce o Midasie: o! wartoby było takim ludziom ich nienasycone gardło zalać roztopionym metalem!

Pobyt księcia w N*** zajmował wszystkich; wielu z jego pensyonowanych przyjaciół uczęszczało do domów i tam opowiadało chętnie o dziwnych szczegółach humoru swego jaśnie oświeconego przyjaciela, człowieka który wszakże mimo ten jasny tytuł prawie ciągle był wielce posępny. Fajeczka zaznajomił się ze wszystkimi tymi panami i po każdej wycieczce myśliwskiej księcia rozwoził po mieście nowiny z odbytego na błotach polowania: »*Ossssobliwość*! wołał zwyczajnie pan Sędzia zagorzały przytém myśliwy, *ossssobliwość*! przez trzy dni zabić tylko trzy pary dubeltów, *to prawdziwa ossssobliwość!* i jeszcze z takim psem jak Harfaks! Tu zżymał tylko ramionami, odstawiał zaciśnięte usta i szedł dalej opowiadać te zadziwiające a tak niefortunne polowanie księcia. Poznajomiwszy się z koniuszym pan Sędzia oddawał mu wizytę i Harfaksowi, którego był odtąd najszczérszym przyjacielem i głosicielem jego psiej sławy; kiedy psa wodzono na przechadzkę pan Sędzia towarzyszył mu zawsze, jak równie też bywał obecny kiedy ten po użytej agitacyi przyjmował skromny posiłek, złożony zwykle z jednego tylko półmiska *osypki.*

Ale nie wszystkich zajmował Harfaks; pomimo swoją sławę doskonałego stawania do bekasów, czystości krwi prawdziwie brytanicznej rassy, i ogromnej ceny 500 dukatów, ceny której samo wspomnienie otwierało podziwem usta Sędziemu, tak że z nich mimowolnie zrywało się ulubione jego słówko *ossssobliwość!* a duma z tak zaszczytnej znajomości kryła nosek jego w zarośle bakenbardów. Ale nie pies był przedmiotem dumań dam miejskich; był nim *comme de raison* sam niefortunny łowiec bekasów, który gdyby był polował w sa-

mem mieście nanizałby był wielki plon innej wcale zwierzyny. Dom który zajmował książe, od chwili jak go zamieszkał, miał jakiś szczególny czar dla wszystkich. Jak do gorejącej świecy zbierają się stada ćmoków i krążą i burczą w około a nareszcie się smalą, tak koło tego domu wieczorami krążyły odkryte powozy w których siedziały miejskie piękności z powywracanemi oczyma, z ustami na których to niby luby uśmiech igrał, a w rzeczy były to tylko wytrzyszczone zęby, czasami nawet dziąsła, a powozy szły wolno, myślałbyś że to jaka przeciąga maskarada. Szłyto legiony płci pięknej dla podbicia tego, którego niepokonały indyjskie lwy i tygrysy; damy nasze snać chciały sprobować, azali ukraińskie lwice i tygrzyce nie będą od tamtych zamorskich szczęśliwsze. Rozważając rzecz z tego punktu widziałeś, że ten uśmiech, jako uśmiech tygrysi, miał właściwą sobie fizyonomią. Powiedźcież mi proszę, dla czego to w naszych obyczajach dzisiejszych nikt nie stara się być człowiekiem; rzadko która stara się być niewiastą wedle ducha nauki Chrystusa, a tylko wzorem życia, dzisiejsze pokolenie, obrało sobie lwy i tygrysy! O smutno to widzieć ludzkość grożącą zamienić się w zwierzyniec — i nie tygrysów — nie lwów, nie, gdzieżtam! *Zwierzęta-ludzie* nadto są łagodne aż nadto pieszczotliwe, jednem słowem atrybuta są tu tylko ogólno zwierzęcej natury, miękkości i zmysłowości.

O! niedziwię się Sędziemu, że nadskakiwał Harfaksowi! Pies jest psem i może mieć przymioty psa, ale biada temu co marząc, co tęskniąc sercem do wysokich przymiotów człowieka, musi wkońcu poprzestać tylko na wierności psa i na jego przywiązaniu. Gdy miłość i moralne prawo przestaną ludzi łączyć, wtedy z podziwieniem patrzysz na jaskrawo-złoconą pstrokaciznę tego świata, wtedy zdumiewasz się, skądto wszystko powstało; nie możesz pojąć jaka dźwignia połączyła te massy bez ducha i w końcu jak Russo będziesz widział w tym stanie anormalny, wynaturzony stan człowieka i wówczas z tęsknotą

będziesz się oglądać na czasy, kiedy puszcze były ojczyzną i miastem bimanów; na czasy, w których będąc zwierzęciem, jak wieprz karmiącym się żołędzią nie nieprzemawiało w piersi człowieka, jedno krew klekotała bijąc do serca i pędziła go pożądliwością satyra. Dziś w obliczu symbolów chrystyanizmu, które w obłoki wystrzelają; w obliczu nauk ewangelicznych, nie ziemską wonią wiejących, wstyd! hańba! o ciele, o jednem ciele tylko myśleć! Ale czy doprawdy pojmujemy ten wstyd? That is the question!

Jakkolwiek bądź, to wcale nie należy do naszego przedmiotu, do bajki, którą wam plotę ni w pięć ni w dziewięć, wiecznie powtarzając jeden przyśpiewek, który się mimowolnie wyrywa mi z serca, które wasz najniższy sługa wbrew Lwom i Lampartom jakoś przypadkiem zachował jeszcze przy sobie i podobno zachowa je w piersi na wieki. Arystokracya miasta nie mogła znieść myśli, że książe przenosi polowanie na bekasy nad świetne towarzystwo ich salonów; mężowie i ojcowie czekali poważnie pierwszej wizyty, kręcąc się na fotelach i chmurząc czoła: najjaśniej bowiem widać było, iż książe bynajmniej o nich niemyślał. Jednakże szczęśliwym trafem, znalazła się jakaś stara ciotka, w dziesiątym czy podobno jeszcze dalszym stopniu, co na wymówki księcia że chory i odwiedzić jej nie może, osobiście stanęła w jego mieszkaniu i tak go unudziła swojemi nieznośnymi tandresami, aż nakoniec wymogła na nim iż jej przyobiecał odwiedzać ją czasami by tylko mógł przez to uzyskać utracony swój spokój. Babina dała wieczór i wkrótce w całym mieście zabełkotała stu razem językami, że książe Ahasverus będzie na balu!! i tyftyki, materye, axamity, mory, pióra, brylanty, perły a w ich braku strasy i busy zaczęły stroić damy, które zapomniały widać całkiem, że książe przesycony oddawna tem wszystkiem, że pewnie nie rzuci na to okiem nawet. Jedna tylko Lais w białej sukience z kwiatkiem u czarnych włosów pokazała się, w pośród tego rautu,

którybyś wziął pewnie *pour un bal à l'Opéra* do tyla śmiesznémi były te figury cisnące się gwałtem w uwagę, duszę a potem serce *Jaśnie Oświeconego*... Pokazał się wreszcie bajroniczny Ahasverus *et mille bouches dégarnies de leurs dents lui adresserent de gracieux sourirs* i posłały eliady, które wedle ukrytej myśli ich właścicielek miały mu ponieść śmiertelne pociski... Jedna Lais była zimna nieruchoma jak marmur i jak marmur wyszły z pod dłuta starożytnego snycerza piękna nie ziemskim kształtem; piękna całym kontrastem jaki stanowił jej poważny widok z tą tłuszczą karykatur, tylko co wyszłych zdaje się z pod ołówka Berthal'a lub Grandvill'a. I książe ją tylko spostrzegł, ją zimną, obojętną, znudzoną.... Stare, brzydkie i *soit disant* głupie zalotnice, odbiły ją czadziejską na swem brudnem tle i książe rzec można został olśniony... tyle widok natury już się dziś stał dziwnym. Ale to był tylko wyrachowany effekt; kobieca przebiegłość, była to sztuka, szatański fortel chwytający się oblicza aniołów dla dopięcia swych podstępnych zamiarów.... Dom starej cioci raz opustoszawszy pozostał na zawsze pusty i rymował doskonale z jej głową, sercem i gębą, ale natomiast salonik półkownikowej wieczorami miewał nowego i jedynego gościa, księcia Ahasverus'a... Inni co się cisnęli nie byli przyjmowani a na ich czele Fryderyk, bo książe nie lubił kompanii....

Cały N*** szeptał sobie na ucho: książe się kocha! dalej żeni się! Ekwipuje się! mówili inni; zapłacił półmiliona za karetę a drugie pół dał za bryliantową broszkę. Damy umierały.... Na jawie piekła ich zazdrość, wieleż bo to w myśli było już projektowanych rozwodów, gdy wreszcie wszystko na niczem spełzło, bez skandalu nawet, a w nocy ledwo która zmrużyła powieki, aliści pokazywał się jej książe z trzema gwiazdami, ze wstęgą, a miasto oczów miał dwa wielkie brylanty, większe od owego sławnego *wielkiego mogoła* i topiąc w nich promienia swego wzroku palił im piersi, schło im

w gardle i książe wyciągał do nich dłoń, w której trzymał czarę jaśniejącą drogiemi kamieniami, ale napój wlany w usta palił, byłto roztopiony kruszec... Budziły się wreszcie, byłto sen, ale co on przepowiadał? Wszak musi coś przepowiadać?! Śmierć czy kochanka? Jednemu tylko Fajeczce śniło się, że jego wyżlica dała mu jedno wprawdzie szczenie, ale był to istny sobowtór Harfaksa; cudo, za które w swoim czasie można było pewnie wziąść jakich 500 czerwonych złotych. Obudziwszy się wołał do siebie Bellę, długo patrzał jej w oczy a potem uroczystym mówił do niej tonem: »Bella! oby sen mój był snem proroczym!« i wyżlica skomlała jak gdyby przyrzekała swemu panu spełnić koniecznie ukryte życzenia jego duszy. Osssobliwość!! mówił na to pan Sędzia zżymając ramionami i odstawiając zacisnięte usta: rozumna bestya wszystko pojmuje!

W takim to czasie szedłem wieczorem ulicą wracając z samotnej przechadzki; księżyc świecił jasno na wysokim niebie i białe mury domów odbijały się srebrzysto od ciemnych cieni parkanów i ogrodów, które zimnemi płatami nalegały ulicę; zapach lip kwitnących, rozlewał się w powietrzu jakąś balsamiczną i zdrową wonią, która się wdycha pełną piersią i odświeża całą massę krwi krążącą w ciele, uspakajając przezto wszelką namiejętność i pobudzając duszę do jakiejściś spokojnej, często rzewnej nawet medytacyi. Któż z nas niepamięta podobnych letnich wieczorów, zwłaszcza na wsi spędzonych gdzieś na samotnej przechadzce wielkiego ogrodu, która samotnością swoją oddziela cię od reszty ludzi i duszę twą napełnia niewypowiedzianą tęsknotą do jednej jakiej ukochanej istoty... Jeśli osoba ta żyje tylko w twej myśli toś szczęśliwy: ona twoją na wieki; ona wiecznie, każdego ciepłego a jasnego wieczora będzie zbiegać do ciebie z wysokości nieba po promieniu księżyca; dziś i jutro wiecznie ta sama — wiecznie zgadująca tajną tęsknotę twej duszy, i zaspakajająca ją smętnym

uśmiechem swoich rubinowych ustek — zgasi ogień serca przeczystą łezką jasnego oka, a rospacz osamotnienia rozpędzi lekkim pocałunkiem... Jeżeli masz żywą wyobraźnię, która ci *zwykle nie długie rokuje życie*, wtedy ona, upostaciowana w kształtach twego dobrego anioła, usypie kwiatami ten moment życia, a kiedy młody będziesz schodzić z tego świata, śmierć sama stanie ci wówczas widomo pod kształtem twojej nie ziemskiej kochanki i swoją śnieżną dłonią poprowadzi cię do świata ducha, do świata szczęścia i spokoju! Zemrzesz — nikt cię tu żałować nie będzie, bo ty i ta coś ukochał i co ciebie ukochała, znikła z tobą razem na zawsze — na wieki... Była to własność twej duszy, której ci nikt nieodejmie, kochanka ta była twoją, i śmierć sama nie mogła jej oderwać od twojej duszy! Tak sobie myślałem w owym wieczorze, o którym niedawno namieniłem; w duszy *czułem nieskończoność* jakąś, niewypowiedzianą tęsknotę, która bez żadnego widomego powodu wyciskała łzy z oczu... Lecz cóż to? Czy siła mego ducha, łudząc me zmysły, przybiera postać tonów i uzmysławia to co tylko dotąd czułem bezkształtnie... Jakaś melodya rzewna, potoki skarg pełnych tęsknoty, zdaje się sączące się łzami ze zbolałego serca, wylewała się pełnemi akkordami; głuchła to się wznosiła, to znowu zniżała się do pluskania strumyka, do szmeru liści, do powiewu wiatru i znowu płakała, cicho, rozdzierające utulając łkania, zaledwo dozwalając sobie nawpół stłumionego westchnienia... A w tém z pod ucichających akkordów muzyki wypłynęły słowa:

Desormais nos montagnes
Nos lacs ni mes compagnes
Ne pourront me charmer
Je suis là pour t'aimer

Ha! Sylfida! wnet błyskawicą przeniosłem się myślą do innego wieczora, do wieczora którego wzruszenia męczyły mi

długo duszę; zaraz w mojej wyobraźni odżyła i stanęła blada, chwiejąca się postać Fryderyka, z nawpół-otwartemi usty, z rozszerzonemi orbitami oczu, bojącego się oddech przepuścić by czasem niezdmuchnąć tego Sylfu, tego aniołka, co z taką miłośną skargą wylewał potok melodyi, fale nadpowietrznego życia — *życia miłości!*

Przedemną w ciemności jaką rozpościerał cień domu, przez otwarte okno odbijała się jasność światła, którem był oświecony pokój; od góry spadały zielone festony powoi, a w głębi, pomiędzy tą zielenią ujrzałem Sylfidę, w jej białej przejrzystej sukni z obnażonemi ramiony i piersią, z powiewnemi puklami czarnych włosów na których zieleniał wieniec bluszczowy i z pękiem białych kwiatów u łona, Sylfida — Trylby duchowna kochanka poety! Postać odbijała się dziwnie na złotem tle światła, jak stare obrazy Fiesole i Benozza Gozzoli, a melodya nie ustawała, a akkordy płynęły pod mistrowską ręką; tysiące nut spadało, wiązało się, rozdzielało, zlewało w jeden potok, jak łzy których liczbę powiększają wspomnienia ubiegłego bez nadziei powrótu szczęścia . . .

Stałem osłupiały! Jaważ to czy sen tylko? Może to dusza za wpływem pierwszych wrażeń odegrywa poraz drugi to co się dwa razy w życiu nigdy niezwykło powtarzać. Ale gdy po promieniu wzroku Sylfidy jaśniejącego jakimś dziwnym blaskiem zawróciłem się w inną stronę salonu, ujrzałem tam na fotelu nawpółleżącą postać księcia Ahasverusa ze znużeniem i nudotą na twarzy i kiedy ostatni akkord kończył romans cudnego marzenia Sylfidy, twarz arystokraty mimowolnie rozciągała się poziewaniem . . . . Sylfida przegrała! — Ta komedya była próżna i chybiona w celu; oziembłość była lepszą, bo nową; sentymentalność lubo udana i na zawołanie, *starą sztuką*! Ale Sylfida nie znikła; pomięszana stała w *royal'u*, wlepiwszy oczy podziwu w księcia; rumieniec wystąpił na jej twarz zwykle bla-

dą; usta się wykrzywiły, brwi konwulsyjnie się zbiegły, ale błyskawicą wszystko ustąpiło z fizyonomii: i ona ze zwyczajnym wyrazem, *z uśmiechem* na drgających jeszcze ustach

»Eh bien! qu'en pensez-vous prince? wyrzekła wesoło.

— Je pense M-elle odrzekł jej sucho qu'il est tard et que je part demain de très grand matin pour l'Italie — to mówiąc wziął kapelusz ukłonił się i wyszedł z wyrazem tego złego humoru jaki go zwykle trapił przedtém nim poznał półkownikównę.

Na drugi dzień z rana kilka podróżnych, opakowanych powozów, zaprzężonych szóstkami i osemkami pocztowych koni, wyjechało na jedne rogatki miasta, gdy tymczasem drugiemi wyruszyło kilka skromniejszych ekwipażów i najtyczanek, wioząc pakunki, konie, psy, cały myśliwski rynsztunek księcia Ahasverusa, i udając się drogą prowadzącą do jego majątku. Na jednej najtyczance siedział p. Kasper koniuszy i razem łowczy księcia a obok p. Fajeczka, u nóg leżał Harfaks; Sędzia odprowadzał przyjaciela, wyjechawszy za miasto, kiedy miał wsiąść na drożkę by wrócić do siebie p. Amadeusz uściskał p. Kaspra i wyrzekł doń uroczystym, a pełnym rozczulenia głosem: »wierz mi panie Kasprze, że twój obraz i obraz Harfaksa nigdy nieprzestanę nosić w moim sercu! W obojgu was zarówno dobra krew płynie!!... Pan Sędzia arystokratyczne miał przekonania co się dotycze urodzenia; drobność stopy i ręki niemało wpływała na jego dobre względy, bo we wszystkim był panie człowiek jak należy!

Nagły, niespodziany wyjazd księcia zadziwił miasto; gadano, gadano, znudzono się tem wreszcie i poprzestano; zawiść wyśmiewała zgaśnienie nadziei Lais, ogadywano długo a skończono na tem, że wieczory półkownikowej poszły swoim trybem; jak dawniej w roskosznym saloniku oświeconym jaskrawem światłem latarni, udrapowanym festonami powoi i wonnymi kwiatami ustawionemi wytwornym gustem czarodziej-

ki... Wszystko było jak dawniej; nic się niezmieniło dokoła, pomimo to, że zmieniła się wymarzona przyszłość dwojga ludzi; Fryderyk może się wstydził teraz *bałwana* któremu składał ofiary i najkosztowniejszy z nich kwiat młodzieńczego uczucia, który raz uwiędły, wysusza człowieka i prawie w trupa moralnego zamienia. Jeszcze jeden upior przybył może do wielkiego smętarza świata... Lais po staremu, jako wampir na nowo zagrała poezyą i uczuciem w czarnych oczach; na nowo roztoczyła czar swoim uśmiechem; na nowo ciągnęła do siebie niedoświadczonych i oddalała od *ducha prawdy* i *moralnego życia*, *od uczucia*, łudząc jego wszystkiemi pozorami i ssąc soki duszne i ogołocając młodość z jej barw podniebnych.... Oszukana na księciu, niezaniechała swych planów i oto zjawił się hrabia L*** mniej bogaty wprawdzie niż pierwszy ale zawsze bardzo bogaty, do tego ubogi wielce duchem a potulny... Jak ćmok opalił od razu skrzydła, nietracąc czasu piątego dnia już oświadczył się; przyrzeczono mu, zaręczono się, dano pierwsze *złote ogniwo żelaznego łańcucha*, którym go przykowano do życia najpewniej pełnego wstydu, niewoli, żalu, cierpień i osamotnienia; jeżeli nieprzerwie tego w końcu rozwód i separacya... A potem? Cóż potem? Życie puste niewolnika, który się wyrwał z pokruszonym łańcuchem i nie może się już do niczego przywiązać... O! bo już poznał życie, poznał tę skorupę porpurową, wypchaną mułem i kałem!.. Poznał poniewczasie! Szczęśliwy jeżeli głupota hermetycznie zamknęła mu oczy! Głupota jest wtedy najwyższém szczęściem!!

VII.

Opowiadając te szczegóły, oddaliłem się może od Rafaela, którego charakter i sytuacya zajmowały mię w pierwszych rozdziałach; czytelnik wszakże dojrzy związku pomiędzy pierwszą a drugą częścią, stosunku jaki właśnie pomiędzy ideałem a

realem zachodzi. Wszedłem w życie by w nim znaleść jakiekolwiek ogniwo do któregobym mógł przykuć duszę przyjaciela i daremnie im więcej wchodziłem w rzeczywistość tem przepaść stawała się większą, straszniejszą, czarniejszą, jak przepaść oddzielająca *niebo od piekła*, wybranych od potępionych. . . . Darmo! pomiędzy czynem świata i myślą poczerpniętą z czystości ducha nieznajdziesz jednego wspólnego punktu; *uczucie* najwłaściwszy przechód, wynaturzone; nie jest to już ten związek łączący połowice ludzkie w jedną całość; nie jestto promień rozgrzewający familijne koło jednością moralnego życia; nie jest to ten duch Boży co z obrębów jednej familii, przechodzi w inne familijne koło odbitym promieniem miłości bliźniego i miłości krajowej, stapiając je w jedną całość narodu, w massę pełną fizyonomii. Nie! to niesforna chałastra, którą interes łączy, interes rozdziela; uczucie to wcale nie święta sympatya z nieba, to pociąg ciała do ciała tylko przemawiający, i, okropność! ten to pociąg dziś już powszechnie miłością zowią! O! dajcie pokój czystej miłości — starajcie się, żeńcie, rozwodzcie, tańczcie, próżnujcie, gospodarujcie, bijcie się nawet, róbcie jednem słowem co chcecie, co się wam podoba, ale niewspominajcie miłości: co ona ma lub może mieć z tą spekulacyą, z handlarstwem i bydlęctwem?? *Bez ożenienia się niemasz panie żadnego sukursu*! mawiał mi poważnie Fajeczka; nacóż dla wzięcia sukursu, miłość? Chyba dla tego tylko by jak augurowie rzymscy co rozpatrywali poważnie jelita całopalenia, bojąc się wszakże przy tej robocie spotkać się wzrokiem aby wzajemnie nieparsknąć sobie śmiechem w oczy! Możnasz tak oszukiwać samych siebie? Alę wstyd przyznać się do bezduszności. Wstyd! jeszcze więc tleje iskra w popiele, więc jeszcze można mieć nadzieję że z niej wyleci kiedy jasny fenix uobyczajenia! Zrobię tu raz na zawsze jedną uwagę; wielu może ludzi z duszą powstaną na to, że *ogólnie* wyrażam zdanie moje: *są wyjątki rzekną*! *Wierzę że są — wiara ta pociesza*

mnie równie jak was dobrzy ludzie; obyśmy mogli tylko doczekać czasu kiedy te wyjątki przestaną być wyjątkami i kiedy wyjątkiem będzie już tylko zło samo.

Nie jestto wcale mizantropia, owszem jestto filantropia najszczytniejsza, bo mająca na celu ludzkość chrześcijańską. Kto czuje ten ideał człowieka, kto go widzi oczyma duszy ten pojmie mię i pewnie poda mi dłoń przyjaźną! Dla was to piszę bracia moi i siostry moje w Chrystusie, dla was, wyłącznie dla was, bo wy tylko jedni zdolni jesteście mnie zrozumieć! Dla innych będzie to tylko czcza a nudna gadanina! *Będzie to dziwactwo dziwaka!*

Z takim to sercem, przepełnioném litością i oburzeniem patrzałem na Rafaela, na to dziecko w świecie praktyki, bo dziecko innego świata, innych czynów. Biedny! i tobież to myślałem, urodzić się i żyć na ziemi i to w nasze czasy, i w czasy *przemysłu*. Niewynajdziesz pewnie maszyny któraby skarby duszy na skarby świata przemieniła! O! bo to byłoby okropnie, czuć, myśleć i nawet płakać, płakać nawet za pieniądze. Hugo, Rossini, Meyerber, Chateaubriand nawet — wyście przedali wszyscy dusze wasze i poselstwo wasze na ziemi było próżne; czegoż bowiem mogliście wymagać od tych, którzy kupili od was myśli wasze, opłacili je złotem i odrzucili daleko od siebie, bo one stały się ich własnością, było godne pogardy, *bo zaprzedane*, jak godną jest pogardy kobieta każda co oddaje osobę swoją za skarby męszczyzny choćby nawet męża: serce i myśl nieprzedają się, inaczej duch ich niebieski odpada od swego ogniska — Boga!

Ale Bóg nieopuszcza wybranych swoich; On dał im missyę, da im także siłę wytrwania i człowiek nic im niepomoże. Mimo mego przywiązania do Rafaela nic nie mogłem wymyśleć; jego stanowisko musiało pozostać wyjątkowém. Ale łzy mi stawały w oczach gdym opuszczać musiał miasto, a jego zostawić samemu sobie — jego samotnika! O! myślałem sobie

wreszcie niech zawczasu przywyka do samotności; on — samotnik w życiu, bo z czoła jego wytryskał światłem napis proroczy: *ty pozostaniesz sam i niezmięszasz się z massą ludu, boś wybrany, wybrany z tysiąców! Cierp, myśl i płacz* i tą potrójną potęgą cierpienia, myśli i płaczu — działaj na plemie — niech ugnie w końcu swoją twardą duszę przed tą potrójną koroną ducha, przed koroną jaką Pan zwykle uwieńcza wybrane swoje!

Wyjechałem nareszcie i tylko rzadkie odbierałem listy od Rafaela (*).

(*) *Wspólnie z tém wyjdzie z druku całkowity rękopis* Mary *odbity w osobnej książce, noszącej tytuł:* Ideały i Karykatury. *Życzący nabyć to dzieło mogą się w nie zaopatrzyć w księgarniach T. Glücksberga i J. Zawadzkiego.*

(*Przyp. Wyd.*)

PODEJRZENIE.

Często myśl jedna tłum cierpień sprowadza,
Wszyscy mi mówią: ona ciebie zdradza.
Ach, czy podobna? tak kochała szczerze!
Czyliż to zdradzać tak łatwo? niewierzę.

Ale ten głuchy gwar, ta myśl zło-wroga
Szepczą mi ciągle: głos ludzi — głos Boga;
I nieustannie straszne widmo zdrady
Jak nieodstępny cień idzie w me ślady.

Jak śpiący, gdy go chmura mar otoczy
Okropne sceny snująca przed oczy,
Ani się zbudzić może, ni przeżegnać,
Tak ja podejrzeń niezdołam odegnać.

Napróżno przeszłość przed sobą otwieram
I w piękne barwy pamiątki ubieram,
Już one w takiej nasiąkły truciźnie,
Jak kwiat, po którym brzydki gad prześliźnie.

Tak na tortury skazany ustawne
Odrzucam nawet przypomnienia dawne,
Na jednej myśli jak zaklęty stoję,
I wprzód iść nieśmiem i cofać się boję.

O, jeśli zdrada niemija bezkarnie,
Niechaj ją pomszczą tylko te męczarnie
Jakiemi szarpie uczucie zazdrości: —
Bo podejrzenie sroższe od pewności.

Do mojej gwiazdy.

O, gwiazdo moja! noc nadchodzi,
Widokrąg cały nabrzmiał chmurą,
W około ciemno i ponuro,
Ach, niechaj światło twe zostanie
Przyświecać mej samotnej łodzi
Na ciemnym życia oceanie.

Przedemną pełna przygód droga,
A oto słyszę już w oddali
Grzmot bliskiej burzy i huk fali,
Więc niech twój promień blaski miota!
Jako kochankę albo Boga,
Błagam cię gwiazdo moja złota!

A gdy twój promień zajaśnieje
Niech burza w koło mnie szaleje,

Niech wściekła fala mię otoczy;
Złe losy wyzwę na mą głowę
I wytrwam próby ich surowe;
Założę ręce, zamknę oczy.

Niewiém jak długo błądzić będę,
Nim na gościnny ląd wysiędę,
Port mój przed okiem mém zakryty;
Więc w noc żywota mego ciemną
Nim rzucę okręt mój rozbity
Czuwaj o gwiazdo ma nademną!

Ję.... Gr....

W pamiętniku.

Kto młodo cierpiąc śród życia odmętu
Niestracił serca lecz wypłynął cały
Na morze myśli; kto nakształt okrętu
Gniótł fale które pochłonąć go miały,
Ani się rozbił jako łódka krucha
O pierwszy szkopuł gdy go losy gnały;
Ten mężem w sobie zahartuje ducha,
Sercem się wzmocni, myślą zolbrzymieje.
Tak wejście słońca poprzedza noc głucha,
Po burzy tęcza na niebie jaśnieje.
A kiedy mężem raz się kto uczyni,
Ten starcem nawet schylonym do trumny
Zostanie pięknym, jako te kolumny

Złamane w starej Attyckiej świątyni,
Z nieśmiertelności napisem: rozumny.

Myśmy przetrwali młode burzy lata
Jakkolwiek w drodze i cierpieniach różni,
Dziś się schodzimy jako dwaj podróżni
Przy jednym porcie z przeciwnych stron świata.

O KŁAMSTWIE.

Sit sermo vester— est, est; non, non: quod autem his abundantius est, à malo est.

Matt. C. V.

Co w stanie towarzyskiego bytu człowieka zrządza, że dobre nad złe przekładają się postępki; zkąd idzie, że uczucie powszechne snadniej się do cnoty niż do występku nakłania; czém się dzieje, że trud użyteczny pochwałę i wdzięczność a lenistwo hańbę i pogardę odbiera; — o tém każdy nawet z prostaczków zrodzonych w wierze Chrześciańskiej pewne posiada wyobrażenie. Wiele jest różnic w charakterach i zdolnościach pojedyńczych ludzi, wiele też być może niezgodności w sposobach pojmowania szczególnych rzeczy; lecz prawdy powagą Ewangelii i sumienia ustalone tak są czytelne, że ich najwyuzdańszém mędrkowaniem zparodyować niepodobna: a przeto w wyobrażeniach o złém i dobrém, o cnotach i występkach, o prawdzie i kłamstwie najrozmaitsze charaktery i zdolności dwoić się niemogą. Wszystko, co zewnątrz nas dzieje się, znajduje w umyśle naszym niezawodną miarę: — ztądto porządek, piękność i szlachetność mile nas ujmują, a nieład, szpetność i podłość nabawiają wstrętem. Jest w duszy naszej jakaś nie-

wzruszona zasada, od której w rozeznawaniu rzeczy i czynów nigdy odstąpić nie możemy — zasada, nad którą zamyśliwszy się uczuwamy to świątobliwe zaspokojenie, co nam wierzyć każe, że uznane i uczczone przez powszechność prawdy obyczajowe nie z własnego filozofów ziemskich wynalazku, lecz z opatrzenia Bożego pochodzą; że najdrobniejsze w pospolitém życiu wypadki i fakta układają się do czegoś, co ma gotowe w umyśle naszym nazwanie; że mówię ów nieomylny kamerton moralnego organu, podług którego równie cnotliwych spraw pochlebne akkordy, jak przeraźliwe kłamstwa i przewrotności dissonanse rozumem i sercem wartujemy, musi być darem doskonalszego od wszystkich mistrzów tego świata, darem samego B o g a.

Smutna więc rzecz i bardzo smutna w obecnym czasie, kiedy norma cywilizacyi do wznioślejszych ród ludzki powołuje zatrudnień, brać się do elementarnego wykładu tych prawd fundamentalnych, które roztropném w imie Bozkiego Nauczyciela życiem przez każdego Chrześcianina praktykowane byćby powinny. Nie zjawiskaż-bo przelotne, nie gorączkowe uczynki, lecz nałogi niestety, nałogi silne, jakby z szacownych przykładów wyprowadzone, niemiły ten obowiązek przepisują. Jesteś oto wśród ludzi, których i B ó g nakazuje i sam pragniesz miłować jak samego siebie; postępujesz albo raczej starasz się postępować w społeczném życiu, aby każdy z nich w myślach nawet i chęciach twoich mógł czytać szczérą dla siebie życzliwość; w duchu nauki ewangelicznej poświęcasz oto czas swój szczupły i małe swe zdolności dla pozyskania serc tych ludzi; tymczasem jakżeto ci ludzie, nie mówię wszyscy, lecz w znacznej jeszcze liczbie, na to jedynie wysilać się zdają, aby cię zawsze i zawsze oddalać od siebie, aby w twém sercu nie miłość braterską, lecz gniew, odrazę i pogardę rozniecać ku sobie. Szaleństwem jest, mówią oni, chcieć naśladować na ziemi cnoty niebieskich mieszkańców, gdy dla zaradzenia samym sobie tak

mało sił i środków mamy. Jakoż, ani znający sztukę lekarską względem chorych, ani bogaci względem ubogich, ani uczeni względem prostaków najmniej siebie obowiązanymi nieuznają. I w takiém odstępstwie od pryncypalnej zasady Chrystyanizmu, bez szlachetnych skłonności, bez celów cnotliwych, nurzając się jedynie w widokach ambicyi i chciwości, wiodą oni życie ze wszech rozkoszy chrześciańskich ogołocone. A wszakże cześć i uwielbienie ku wszystkiemu, co dobroć, sprawiedliwość i miłosierdzie znamionuje, niewymarły w ich sercach? A wszakże nie podłe pychy zabiegi, lecz szlachetne ludzkości czyny zazdrość w nich obudzają? A wszakże sami oni nie bez słodkiego uczucia czytają, słuchają i dyskutują o korzyściach moralnego postępowania? Sądzić-li trzeba, że życie ich tak sprzeczne z uczuciami duszy jest skutkiem mimowolnego obłąkania? że ta obojętność na najświętsze obowiązki chrześcianina nie z własnej ich woli pochodzi? że mówię samolubstwo, ten szkaradny karbunkuł obyczajowy, wyradza się w nich mimo wiedzy umysłu i serca? — Tak przynajmniej potrzeba sądzić, i nieinaczej sądźmy, jeśli się chcemy zbliżyć uczuciem do tych, którzy nas odpychają; jeżeli względem bliźniego sumiennie bozkich i przyrodzonych praw dopełnić chcemy.

Najbardziej oburzającą, bo najpospolitszą i do wszystkiego złego wiodącą, przywarą jest kłamstwo. Łatwo zauważyć że człowiek z systematyczną jakąś wyrozumiałością przylgnął do niego. W klassach zwłaszcza pośrednich, gdzie każdy rodzaj zatrudnienia otwartą ma do lichwy drogę, przez dziwny progres nadużycia stało się ono bodźcem powszednich czynności, sprężyną myśli, warunkiem towarzyskiego bytu, głównym żywiołem professyi, rzec nawet można koniecznym rozumu i charakteru attrybutem. Postrzegasz oto, że, od rzemieślnika prostego aż do zawołanego adwokata, wszystko, co tylko językiem włada, kłamie i kłamstwo swoje najuroczystszą klątwą popiera, bez żadnego skrupułu, owszem w mocném przeświad-

czeniu, że na takiém miejscu i w takich okolicznościach nieinaczej postępować należy. Kupiec, do którego cię potrzeba nabycia jakiego gratu sprowadza; ekonom, który cię wyręcza w zarządzie gospodarskim; prawnik, któremu poruczasz ziemiańskie swe interesa, wreszcie szewc, krawiec, stolarz i cały poczet artystów, bez których obejść się niemożesz, gotowi są zawsze na tysiączne kłamstwa, byle od ciebie nędzny choć z kilku złotych wyłudzić zarobek. Postrzegasz nadto w tym różnogatunkowym zwolenników Kłamstwa tłumie, że wprawniejsi w kunszcie oszukiwania, wytrawni znawcy wszelkich ścieżek do serca ludzkiego, starzy Proteusze, tak zwani pospolicie, *Kapitaliści* odznaczają się we własnej sferze szczególną reputacyą. Sąto faworyci złego ducha wtajemniczeni we wszystkie rodzaje niezawodnych spekulacyj, którzy, obmierzłém kłamstwem przyszedłszy z niczego do wielkich zbiorów, naturalnie w sercach nieugruntowanych religią wzniecają podziwienie, zazdrość a nawet prawdziwy szacunek, i ztąd przy arbitralnym tonie, nakazującej postawie i wysokiém o sobie rozumieniu mają oni zawsze gotowych na każde swe skinienie klientów. Pewni, że nikt im niewydrze *godziwym przemysłem* nagromadzonych zdobyczy, mniej już ambarasowani przyszłością przez skutek długiego powodzenia, występują niekiedy z tajemniczego obserwatorium i lubią udzielać skarbów swej mądrości cozręczniejszym z rzeszy hołdowników; zaś w przystępach miłości własnej, które z powodów śmiałej rywalizacyi zdarzać się zwykły, nawet do samego dna wynurzają się, przytaczając znakomitsze miejsca z dziejów arytmetycznej swej exystencyi dla okazania, ileto nowych, a dotąd nikomu nieznanych, podstępów, wybiegów, fortelów i innego nazwania kłamstw użyli, oraz które z nich, gdzie, kiedy, w jakich okolicznościach i na kim najszczęśliwiej się powiodły. Szczerość ich w takich razach godna zaiste filozoficznego zastanowienia się, niemało bowiem walk wewnętrznych, przymusu i gwałtów na drodze fałszu do-

świadczyć potrzeba było, aby wreszcie przyjść do tego stanu skażenia, w którym potępiony religią i sumieniem występek chwalebną wydaje się cnotą, w którym z nikczemnej obłudy chlubić się i najbrudniejsze czyny na karb zasługi osobistej kłaść za rzecz naturalną uchodzi. Ludzie tacy raz powziąwszy zamiar spanoszenia się *a outrance* uważają prawdomówność i prostotę myśli za skutek niedbałego albo błędnego wychowania, za przymioty dzieciom tylko i głupcom właściwe; kształcą się więc podług metody zawołanych szalbierzy, depcą w sobie zarodki szlachetnych skłonności, rozrywają najświętsze z Bogiem i sumieniem związki i tym sposobem przy najsłabszych nawet zdolnościach wkrótce doskonałymi stają się nikczemnikami. Ale i na najniższym szczeblu moralnego spodlenia zostając nader wysoko cenią w drugich owe uznane przez siebie dzieciństwa i głupstwa przymioty, tak cenią, że, gdyby to od nich zależało, wszystkich, a przynajmniej rodzących się w dostatkach, zostawiliby bez przyzwoitego podług swoich wyobrażeń ukształcenia, tojest, szczérymi, prostodusznymi i łatwowiernymi. Śmieją się w duchu, zżymają ramionami na stronie, gdy który z poczciwych ludzi drogo ich kłamstwo opłacił, to wszakże nieprzeszkadza, aby w ich sercach dla tych samych *głupców* miał miejsce, obok pogardy i litości, szacunek najwyższy. O! przypatrz się tylko, kiedy przystępują *do rzeczy* z majętnym tego rodzaju głupcem: — nie z większą starannością pająk głodny obwija swą treścią muchę w jego sieci wpadłą, jak oni go grzecznością, pochlebném nadskakiwaniem i najsłodszémi słówkami obwijają! Z tej troskliwości, co z oczu ich strzela, z tego zbytku ujmujących napaści, któremi każde swe poruszenie znaczą, wnosiłbyś, że im bynajmniej niechodzi o własne dobro, że owszem, wylani całkiem dla ludzkości, za najmilszy poczytują obowiązek służyć drugim bezinteressownie, z narażeniem nawet własnych ich funduszów. Zręczni w użyciu zaradczych środków, umieją oni do każdego zastosować się

charakteru; potrafią i skromnego w dumę wprawić i obojętnego zainteressować i skąpego do nadzwyczajnych pobudzić wydatków. W jedynym celu, który wszystkie ich władze opanował i któremu całą swą exystencyę poświęcili, w celu przydbania conajwiększej fortuny, gotowi są zawsze najniegodziwsze przedsiębrać i wykonywać plany; niepojmują oni życia w porządnej mierności i szlachetném ubóstwie; próżnością zowią to wszystko, czém dobre i litościwe odznaczają się serca; niechcą znać pociechy i szczęścia, które z poświęcenia najmniejszej cząstki na wsparcie niedoli w duszy się rodzą; naśmiewają się z dobroczynności i filantropii, gardzą przykładami wszystkich cnót chrześciańskich; na wszystko patrzą przez szkło osobistego interesu, oczyma nigdy niezaspokojonego głodu, pragnienia i chciwości; we wszystkiem, podobni do zwierząt, rozumem i uczuciem własnej tylko szukają strawy; nieobchodzą ich najmniej okropne skutki przewrotności, zdrady i oszukaństwa; żadne nieszczęście, żadna krzywda ludzka serca ich poruszyć niezdoła; jak za nic mają szczerość, wdzięczność i wszystkie przymioty moralnego jestestwa, tak niczém u nich bojaźń B o ż a, niczém poczciwe imie, niczém wszystkie zasługi gorliwych nauki Chrystusowej naśladowców. Takto niestety kłamstwo z nieoświecenia i złych przykładów rodzące się demoralizuje, wynaturza i upadla istność człowieka! Coż mówić o szkodach, jakie ztąd sprawa całej ludzkości ponosi!...

Teraz-to, gdy Geniusz Wieku potężnym głosem domaga się zburzenia bałwanów przez Pychę i Samolubstwo adorowanych, teraz do was, co jesteście reprezentantami społeczeństw, wielmożni i wysoce urodzeni panowie, nie z słodkobrzmiącym a próżnym panegirykiem przystąpić wypada! — O, niemiał tyle piorunów najpotężniejszy z bogów starej Grecyi, ileby dziś potrzebowała ręka surowej sprawiedliwości na skarcenie nieludzkiej waszej arystokracyi i dumy! Zwróćcie oblicza wasze na te szkarady wyuzdanego rozumu i woli: — nie jestżeto skutek ty-

rańskiej waszej obojętności? nie owoc-że to niedbalstwa i pobłażania waszego? Wielkie krynice zbawiennych wiadomości w złoconych naczyniach umieszczone, dla czegoż-to z wykwintnego wstydu czy bojaźni jesteście wy nieprzystępni młodszej swej braci, ubóstwu i nędzy? czemużto od nich, jakby od zarazy, granitowymi odgradzacie się murami? Bóg wam wydzielił dostatki ziemskie, abyście opatrzność Jego nad ludem zastępowali, abyście najzaszczytniejsze na ziemi łaski i miłosierdzia urzędy sprawować mogli, a wy takżeto powołaniu swemu odpowiadacie, od słabych, nagich i cierpiących kamienną odgradzając się nieczułością, dozwalając krzewić się około siebie najohydniejszym występkom a życie swe i fortunę na marne tylko igrzyska i pompę świecką obracając? Odsuńcie na moment te pełne jeszcze kielichy i szklanki, rzućcie pod stół te świeżo rozpieczętowane karty i, wypędziwszy za drzwi tych trutniów, co rojem cisnąć się zwykli do gotowej strawy, zastanówcie się trzeźwym umysłem: azali zabawy wasze, na które czas i pieniądze trwonicie, nieobrażają religii i moralności? azali następujące po nich gorycze, zgryzoty i choroby nienauczają was o czartowskiej ich naturze? azali wreszcie obowiązki, które przepisuje religia i moralność, których usilnie dopomina się ludzkość obłąkana i za którymi tak uroczyście sumienie przemawia, nie są milion razy godniejsze miłości i poświęcenia się waszego? a nad roskosze z dopełnienia tych obowiązków wynikające jestże co, może-li co być milszego, szlachetniejszego i droższego? Zastanówcie się pilnie, zkądto powstały wyobrażenia, zasady i nałogi utrzymujące was na niedostępnej dla gminu wysokości i czém są one w zastosowaniu do przymiotów zdobiących duszę prawego chrześcianina? — Niech na ten raz same sprężyny działań waszych, duma i miłość własna staną się przedmiotem najgłębszej rozwagi. Zastanówcie się w pokorze, co za pożytek wam przyniosły nabyte niemałym trudem i kosztem nauki, które was nad pospólstwo wynoszą i któremi

słusznie, jako drogimi klejnotami, popisujecie się w towarzystwach? Zastanówcie się jeszcze nad urokiem patryarchalnego wspólnictwa, za którém dziecinna wasza tęskniła wyobraźnia; nad powabami szlachetnego heroizmu i poświęcenia się, do których lgnęły młode wasze umysły; nad przykładami życia cnotliwego, któreście niewinną duszą uwielbiali i wreszcie nad treścią i prawdziwém znaczeniem przywiązanej do was od urodzenia *szlachetności*. Zastanówcie się, nalegam, po chrześciańsku nad sobą i powiedzcie — bo oto ja, albo kto drugi, rozjątrzony do żywego widokiem scen obrzydłych na waszej dziedzinie i pod waszém okiem agitujących się, gotów was dzisiaj nie żartem powołać przed trybunał sumienia — powiedzcie mówię, cobyście odpowiedzieli, co moglibyście odpowiedzieć sędziemu, którýby was zapytał o usługi dokonane przez was w sprawie ludzkości majątkiem, moralnością i nabytémi naukami? którýby zapotrzebował od was rachunku z poświęcenia się ojcowskiego na korzyść podległej wam czeladzi? którýby wreszcie nakazał wam złożyć pod przysięgą summaryusz codziennych waszych czynności?.. Obierajcież teraz między odurzającym trunkiem a wodą zdrojową, między łotrowskiemi uciechami a trudem pożytecznym, między nieczystą żądzą a miłością bliźniego, między kłamstwem i zgubą a prawdą i zbawieniem; zostawiam was własnej waszej woli i przekonaniu. Niemyślcie wszakże, aby to moje upomnienie ostatniém już było — o! niech tylko wybór wasz padnie raz jeszcze na stronę szatańską, powrócę do was pędem piorunu, a powrócę nie z godłem przymierza i miłości, lecz z narzędziami najokropniejszej zemsty; — powrócę rózgą ognistą, morderczym sępem, robakiem nigdy niesytym i będę was smagał, gryzł, szarpał, aż uczujecie duszą potęgę upomnienia mego, aż w umysłach i sercach waszych fałsz brudny do ostatniego ziarna wyplenię!

Mówiłem o klęskach moralnych, jakie sprowadza kłamstwo w klassie nieucywilizowanej: wielkie są one i nader wiel-

kie. Atoli toż samo kłamstwo bardziej jeszcze naganne, acz nie tak daleko zachodzące, w tej klassie, którą los, urodzenie i prerogatywy na czele umieszczają. Zdanie naturalne. Jeżeli odraza przez jakiekolwiek zło obudzona cierpką jest i udręczającą sama z siebie, więc dokądże-to zajść ona powinna w chwili zastanowienia się nad prostą, widomą, dotykalną tego zła przyczyną? Mniej mi chodziło, gdym się obracał do Panów, o przykłady chociażby najgorsze: — ułomność natury ludzkiej albo inne względy posłużyłyby w części do zmniejszenia odrazy ku wymienionym występkom, gdyby te na zasadzie pewnej między możnym a ubogim moralnej styczności popełniane były: — ale dotkliwszą jest nierównie rzeczą, że panowie przez swoją dumę żadnych przykładów niższym od siebie dawać niechcą; że przez źle pojmowaną wyższość i zewnętrznie i wewnętrznie od ubogich oddzielają się stanów; że jak intraty ziemskie, tak moralne i naukowe korzyści za swoję tylko, jakby uprzywilejowaną własność uważają. Tento wzgląd zabójczym jest dla duszy czującej i myślącej zgodnie z przepisami świętej religii i przezeń-to te same, nałogowie w porządnych stanach praktykowane, występki mniej nas, jako następstwa nieużytej dumy, rozjątrzać powinny. Oh! litości raczej, litości są godni ci, którzy z powodu ślepoty błądzą, którzy źle czyniąc niewiedzą o tém, że źle czynią.

— Filozofom, wzgardliwie powiedzą panowie, wszystko możebném się widzi; nietrudno im najsprzeczniejsze pogodzić rodzaje; oni logiką swoją gotowi skombinować ogień z wodą: ale nam, potrójnie uszlachetnionym urodzeniem, majątkiem i nauką, — nam, posiadającym herby, ordery i przywileje królewskie; — nam, z powagi magnatom, z tytułu jaśnie wielmożnym, możnaż pomyśleć nawet bez wstrętu o zbliżeniu się moralném do ostatniego szczebla ludzkości!!? — Powiedzą to i rzucą pod nogi niepochlebne pismo, rzucą tak, jak rzucają zwykle prośby opuszczonych sierot i nędzarzów, jak rzucają skar-

gi uciśnionego ludu, żądania wierzycieli i to wszystko, co interessować ich nie może. O, niechże rzucają, — wola ich tutaj nieograniczona. Lecz przyjdzie czas, co zabierze im i państwo i dostatki i honory i wszystko, z czego się dzisiaj bezrozumnie chełpią; a wtedy Bóg ich tak rzuci, a rzuci w przepaść niemającą dna ani zawady żadnej!.. Rzucają pod nogi przestrogę sumienia!? — Marne wysiłki chorobliwego jestestwa! Nikczemne dąsy i gniewy! — niewidząż oni oto pomiędzy sobą zwolenników prawdy i miłości? niepojmująż tej roskoszy czystej, która unosi serca współobywateli garnących się do znękanego ludu? niedochodząż do nich głosy dziękczynne, głosy błogosławiące pokarm łaski i miłosierdzia? — To ludzkość poczęła się odradzać w duchu Objawienia Bożego — to promienie prawdy coraz głębiej do duszy przenikają. — O, wejdzie ta gwiazda niezadługo na nasz horyzont w całym majestacie! wejdzie, a świat próżności, świat stworzony przez pychę szatańską i oparty na podwalinach samolubstwa i interessu, rozpadnie się w nicość, jak każde kłamstwo!

Dość jeszcze pospolitą dzisiaj rzeczą, że młodzież *szlachetnie* urodzona i wychowana, pomimo cisnących się jej przed oczy szlachetnych przykładów, nic szlachetnego w swém życiu nieczyni, nawet nieprzedsiębierze. Skutek-to zastarzałego, nabechtanego przez czułe matki i piastunki, odziedziczonego wraz z przywilejami rodowitej szlachetności *absurdum*, że wszelkie troski i prace udziałem są pospolitego gminu, a kto się urodził bogatym, ten o wygodach tylko i przyjemnościach życia myśleć powinien. I widzimyż z boleścią, że jak u biednych ludzi lichwa i zyski, tak u tych paniczów zabawy i uciechy jedynym są bodźcem powszednich czynności. A do czegożto ta skłonność, która sama w sobie wierutném jest kłamstwem, doprowadza młodych szermierzy? Dopóki powaby światowego życia dzielnie do zmysłów ledwie rozwiniętych przemawiają, elegancya wszystkie ich chwile zaprzątą. Raz osiągnąwszy przy-

wilej zajmowania miejsca w towarzystwie kobiet, już im się marzy, że każde ich wystąpienie powinno odznaczyć się *rewolucya* w sercach najwarowniejszych — i ztądto żaden ze sposobiących się do examenu *maturitatis* nietroszczy się tyle nad ściągnieniem potrzebnych do swojej rozprawy cytatów, ile oni nad utrefieniem włosów, nad zastosowaniem do okoliczności barwy sukni, wyrazu twarzy, modulacyi głosu i najdrobniejszego szczegółu modnej toalety zwyczajnie się troszczą. Opatrzeni z dzieciństwa w środki każdemu odpowiadające życzeniu, a bardziej jeszcze w wysokie o sobie i swojej dystynkcyi rozumienie, zajmują się oni z arytmetyczną prawie pewnością urozmaiceniem swoich słodyczy. Jak synowie ojczyzny z mężnych albo cnotliwych czynów, tak oni z intryg miłośnych wieńce swej chwały splatają. I pytam, co im na drodze uciech zawadzać może, gdy na wstyd i bogobojność urocze słówka, na upór ofiary i przysięgi a na łzy i rozpacz śmiech szczery w sercu mają? Idzie im o to, aby przymusu, nudy i pracy, które i zdrowiu szkodzą i pańskiej nieprzystoją godności, wszelkimi unikać sposobami. Napojeni wraz z mlekiem matczynem tą wyborną maxymą, że wszędzie i zawsze o swoich jedynie wygodach i rozkoszach myśleć powinni, poświęcają oni najpiękniejszy czas młodości swojej zalotnictwu tylko, włóczędze i rozpuście. A potem — cóż potem im zostaje?— małżeństwo dla zwyczaju, gry, pijatyka, polowanie; w trakcie tego niesnaski domowe, dalej rozwód, processa; następnie kuracya za granicą, a w końcu starość zawczesna w assystencyi nieodstępnych zgryzot, reumatyzmu i kredytorów. Otoż-to karjera godna ambicyi pańskiej! Widząc jeszcze tych paniczów, jak w każdym czasie uprzejmie się z sobą schodzą, jak nawzajem sobie zwierzają się, radzą, ściskają, całują, wierzyćby się chciało, że przynajmniej puste ich zatrudnienia niewpływają na skażenie wrodzonych uczuć; ale gdzietam! o życzliwości i przyjaźni nie lepsze tam poweźmiesz wyobrażenie, jak w towarzystwie kokietek o skromności, albo na jakiem targowisku o prawdziwej

wartości tego, co się przedaje. Jestto zażyłość, kojarzenie się w *dobrym tonie*, taktyka wyższego poloru, co nieprzeszkadza wcale, aby tuż po najczulszych oświadczeniach i uściskach o lada fraszkę zazdrość, gniew i obmowy złośliwe następowały. Z jakiego punktu wyszli, do takiego najgorliwiej zmierzają. Co stało się elementem i celem życia, to stać się musiało wszystkich myśli, rozmów i zatrudnień przedmiotem. U tych hołdowników próżności i mody krawiec z Petersburga lub z Warszawy stokroć ma większe znaczenie, niż jakikolwiek talent naukowy; on bowiem stosownie do przepisów wyższego smaku nadając figurze blask, sztywność i gracyę najdzielniej się przykłada do postępów cywilizacyi. A kobieta ładna, kobieta wykwintna w mowie, stroju i manierze, choćby z przymiotów duszy całkiem obrana, wyższą w nich cześć obudza niż dobroczyńca ludu, fundator pożytecznego zakładu albo mądry prawodawca; — bo w niej czyli raczej na niej, mieści się to wszystko, co kodex mody za nadziemską doskonałość uważać każe. Władze ich raz nastrojone do zmysłowych pojęć ślizgają się zawsze około rzeczy nigdy w nie niewglądając. Wszystko u nich zależy na powierzchowności. Z politowaniem patrzą na tych, co skromności i naturalnej trzymają się prostoty; co ani w postawie ani w ubiorze niemają tej erotycznej lekkości, która zdaniem ich najwyższą zaletę stanowi. W każdej okoliczności i na każdém miejscu przestrzegają oni najskrupulatniej tego tylko, czego się od tancmistrza i modnego guwernera nauczyli. Pioruny zdumienia, litości i wzgardy ściąga na swoję głowę ten z młodzieży, który w eleganckiém towarzystwie ośmieli się na wyraz, krok albo gest tchnący prostotą wychowania. Posiadaj najpiękniejsze przymioty moralne, miej najlepsze serce, gust i sposób myślenia, niezasłużysz przecież na żaden u nich szacunek, gdy nieznasz maniery światowej, gdy nieumiesz zachować w salonach *przyzwoitego tonu*. Odstąpienie w czémkolwiek od etykiety poczytują oni za większą zbrodnię, niż

gwałt jaki, bluźnierstwo albo złamanie przysięgi. Bez duszy to człowiek, upośledzony zupełnie od natury, wywołany z *dobrego* towarzystwa, który śmie mówić, co myśli i czuje. Prostoduszność w słowniku tych trzpiotów znaczy nieoświecenie, głupstwo. Słowem, do takiego rozumem i sercem przychodzą skażenia, że nie talenta znakomite, nie czyny cnotliwe, nie kreacye nawet geniuszu, lecz zewnętrzny polor jest u nich znamieniem, treścią i kresem doskonałości ziemskiej. — A możnaż dziś tak ogromne i tak upadlające ludzkość kłamstwa obojętnym znosić umysłem? A godziż się podczas, gdy społeczność chrześciańska tyle duchowych korzyści z przykładów bogobojnego życia odnosić poczęła, przyzwalać na takie bezprawia moralne? O, przez B o g a sprawiedliwego! zważcie wy wszyscy, których to zbliska dotycze, że lekceważenie takich występków wielkim jest i nader wielkim grzechem. Ja na widok młodzieńca zajmującego się ze szczególném upodobaniem zmysłowémi fraszkami, nie będąc oto ojcem, bratem ani nauczycielem, tak udręczającego doznaję zmartwienia, jak gdybym na smutną jaką ofiarę, na nieszczęście jakie patrzał: — a mogąż mniej czuć, mniej dręczyć się na taki widok ci, których ród, powinowactwo, sympatya, oraz prawa natury, religii i powołania najuroczyściej obowiązują? Wszakże nędznik jaki, chcący w przystępie szału przerznąć sobie gardło lub głowę roztrzaskać, pobudza do najskwapliwszej pomocy każdego z patrzących na swój postępek niegodziwy. — Innejże jest natury widok, który dopiero przywiodłem? nie takiejże samej usługi domaga się religia i ludzkość względem młodego trzpiota, który pod wpływem kłamstwa sposobi się do zatracenia w sobie wszystkich dobrych przymiotów? Odwołuję się jeszcze do tych przewodników światłych, którzy głęboko pojmują, jak koniecznem jest do szczęścia rodzaju ludzkiego moralne jego udoskonalenie, niech mi powiedzą — zkądże, jak i od kogo ma się rozpocząć ów zawód najszlachetniejszy, gdy dzieci przedniejszych rodzin, sy-

nowie możnych właścicieli i szlachty zostawać będą bezkarnie głupiej swawoli i kłamstwa igrzyskiem? Nigdyż-to śmiałém sercem nieprzystąpimy do czynu? wiecznież słowami tylko wojować, same tylko perory, deklamacye i filippiki składać będziemy? a tymczasem słudzy próżności i fałszu niech sobie swoim postępują trybem? a tymczasem skarby ziemskie niechaj spożywa ambicya i próżniactwo? a tymczasem massa ubogiego ludu niech cierpi i narzeka pod ciężarem zwierzęcego spodlenia? — Jakaż-to władza nas nieobojętnych widzów tylu szkod obyczajowych krępować może, że tylko na skargach wpółgłośnych, na niedołężném ubolewaniu czas trwonimy? Jeżeli potrzeba zastąpić naturę i powołanie znikczemnione dziedzicznymi przesądami, nie cierpimyż my za ojców, braci i nauczycieli? niemamyż w piersiach naszych uczucia potężniejszego od wszystkich zastępów szatańskich, uczucia prawdy i miłości? — Oh, odważmyż się już dla Boga na krok stanowczy i, obnażywszy serca w skrytych męczarniach przebolałe, zasileni uczuciem najważniejszej powinności moralnego jestestwa, pójdźmy pomiędzy obłąkaną trzodę z obliczem godnych wyznawców nauki Chrystusowej, pójdźmy mówię niezwłocznie z orężem wiary świętej na wytępienie wszystkich potworów gnuśności, zła i kłamstwa!

Benedykt Dołęga.

MY SOUL IS DARK.

(Melodya Hebrajska z Byron'a.)

Ciemno w mej duszy, — lecz w tej uczuć walce
Jeszczebym harfy mógł posłuchać jęków:
Uderz więc w struny i niech twoje palce
Na moje ucho cisną potop dźwięków.
Jeśli nadzieje w sercu mojém tleją,
To je te dźwięki na jaw wydostaną;
Jeśli w tych oczach jeszcze łzy goreją
To spłyną, głowę palić mi przestaną.
Ale pieśń dziką niech będzie, głęboką: —
Radośnych tonów dusza się przelęknie.
Mowięć, że musi wypłakać się oko,
Inaczej serce pod ciężarem pęknie:
Bowiem to serce wykarmiły wcześniej
Bezsennych nocy boleści najkrwawsze,
Musi więc teraz lub poddać się pieśni
Lub się rozerwać na zawsze.

Tadeusz Łada — Zabłocki.

Tyflis.
31 Maja 1846.

Dumka w samotności.

I znow dzień przeszedł i znowu noc cicha
Z wypogodzonych niebios się uśmiecha;
Znow dzień w wieczności rozpłynął się toni
I niczém sennej głębi nie zamącił;
I znow dzień przeszedł i nie z jednej skroni
Wiatr przeznaczenia kwiat szczęścia otrącił.
Ileż łez w dniu tym wylało się rzewnych;
Ileż-to świeżych wzniosło się grobowców;
Ileż-to nowych przybyło wędrowców
Walczyć wśród życia kolei niepewnych!
Człowiek się rodzi, cierpi i usycha,
I choć wieść jakaś po nim się zostanie,
Lecz na przedwiecznym życia oceanie
Przebrzmiewa zwolna, zaciera się zcicha
Jak woń pomarancz, co ginie bez śladu
W dokolnych stepach Bakińskiego sadu.

Wielka Przyrodo! tyś wiecznie niezmienna.
Przeszły i przejdą jeszcze lat tysiące,
I jak dziś, wiecznie płomieniste słońce
Oświecać będzie niebo, i promienna
Po jego czole rozpłynie się zorza;
A w tém rozlewiu różowego morza
Jak i dziś będzie złota gwiazdka tonąć,
Mżyć się i pełgać i błyskać i płonąć,
I sączyć skrycie ponik rosy cichy
Na wonnych kwiatów zwarzone kielichy.
I znow dzień przejdzie wesoły, pogodny,
Pierwszy dla innych a dla mnie ostatni;
I znow dzień przejdzie, i duch mój swobodny

Z zabrudzonego, poziomego gniazda
Powróci znowu do krainy bratniej,
Gdzie w przeznaczenia mrocznem łonie gwiazda
Żywota jego zalśniła tajemnie; —
A tam wieczności rozgarnąwszy ciemnie,
Zleje się z wichrem lub w słońce się wcieli
I nową pieśnią wszechświat rozweseli.

T. Łada — Zabłocki.

Tyflis.
14 Czerwca 1846.

Do Zefiru.

(z Hiszpańskiego: Don Esteban'a Manuel'a de Villegas.)

Cichy sąsiedzie doliny kwiecistej,
Wiosny zielonej gościu ustawiczny,
Tchnienie żywotne miłości ognistej,
Zefirze śliczny!

Ty znasz mą boleść: gdy cię ona wzruszy,
Zabierz me skargi, leć do mojej pani,
Leć, nielękaj się, i szepnij jej duszy,
Że konam dla niej.

Niegdyś Fillida słuchała mych śpiewów,
Niegdyś dzieliła łzy me i westchnienia;
Teraz zaś, przebóg! lękam się jej gniewów! —
Jak czas się zmienia!

Oby się ku mym B ó g przychylił głosom
I swą miłością osłonił cię w biegu;
Oby, gdy bujasz, odmówił niebiosom
Deszczu i śniegu!

Niech siwa chmura, gdy z czeluści próżnych
Pod sklepem niebios wybuchnie płomieniem,
Nieskazi twoich skrzydełek podróżnych
Szronem ni cieniem.

Tad. Łada — Zabłocki.

Tyflis.
2 Czerwca 1846.

Z GOETHE'GO

1.

Sen Zulejki.

Zulejka.

Po Eufracie gdym płynęła,
Pierścień, coś mi ongi dał,
Upadł z palca; jam westchnęła,
Gdy go połknął wiru wał. —

Tak marzyłam. Z za drzew w oku
Igra rannych blasków zdrój; —
Mów poeto, mów proroku!
Co też sen oznacza mój?

Hatem.

Chętnie ci ten sen wyłożę.
Tylem razy mówił, ach!
Jak wenecki Doża morze
We szczęśliwszych ślubił dniach;

Tak i pierścień z ręki twojej
Na Eufratu spoczął dnie.
Ach, tysiączne w duszy mojej
Budzisz pieśni słodki śnie!

Mnie, com z Indyi z kłopotem
Na Damaszek zwrócił bieg,
Aby ztamtąd zwiedzić potem
Czerwonego morza brzeg; —

Mnieś przykuła do swej rzeki,
Do tych gajów, do tych łąk,
Duch mój będzie już na wieki
Błądził tu wśród lubych mąk!

2.

Śpiew duchów na wodach.

Dusza człowieka nakształt tej wody:
Z nieba przychodzi, dąży do nieba,
Ztamtąd zstępuje znowu na ziemię; —
Wiecznie przemienna!

Leci ze stromych boków opoki
Promień najczystszy, wnet się roztrąca
We mglistych falach lśniących się skał;
Tam ugoszczony pod mgły zasłoną
Szemrząc wpółgłośnie toczy się w głąb'.

Zechceli szkopuł wstrzymać pęd jego?
On niecierpliwy pieniąc się spada,
Jakby po stopniach, w otchłań topieli.

Potem się sączy po miękkiém łożu.
Dolin kwiecistych; w jasném rozlewiu
Pasą swe oczki gwiazdy pogodne.

A wiatr topieli wieczny zalotnik
Kręci w jej głębi fale pieniste. —

Duszo człowieka, tyś jak ta toń!
Losie człowieka, tyś jak ten wiatr!

T. Łada — Zabłocki.

MOGIŁA.

(z ross. Włodz. Benedyktowa.)

Hojna dłoń natury wiele rozrzuciła
Tu i ówdzie wzgórków polowych;
Te wzgórki ja lubię, ale bardziej od nich
Miłe mi są wzgórki grobowe.

W tęsknocie kwiat jasny wzroku nieprzynęci,
Nie on mą wesołość odnowi;
Spójrzę na mogiłę i słodycz po sercu
Potoczy się kłębkiem ognistym.

Trwoga o wzajemność gdy mą duszę trapi,
Na posępny wzgórek spoglądam, —
I czystszém się zdaje oblicze kochanki
I gorętszém pocałowanie.

W trudnej z losem walce zbity, poraniony,
Zacznęli upadać na siłach?
Gdy wspomnę mogiłę, wnet jako lew śmiało
W oczy tyranowi spozieram.

Jam bohatér ziemski, tak, ja walczyć pragnę; —
Patrzcie, jużem lutnię odrzucił,
Oto miecz porywam i lecę piorunem
Na krwawy bój z nieczystym światem

I Bóg mi pomoże upokorzyć zbrodnię
I w bitwie głęboko, najgłębiej
Potężném ramieniem ostrze prawdy zagnać
W buntownicze serce niecnoty!

Nietrwożcie się bracia, wieszcz wasz nieupadnie.
Niech będzie wrogów siła straszna —
Jak lew ja napadam, jak szermierz roztropny
W razie przedsięwziąść odwrót umiem.

Za mną jak geniusz wznosi się mogiła
I odwagę w sercu roznieca:
A gdy do ostatka walka mię zmorduje,
Wtedy pod mogiłą tam legnę.

I duch płomienisty z ciemnego więzienia
Tryumfalnym skrzydeł polotem
Wzniesie się do Ojca; pełznące zaś rody
Ziemia mojém ciałem ugości.

Nie tu wszakże koniec krwawej walce z światem,
Nie! w groźne natury żywioły
Z sroższą jeszcze mocą nienawiść ma przejdzie
W powietrze i w ogień i w wody!

Na nieczułych ludzi z wnętrzności wulkanu
Płyn wrzącej lawiny wymiotę;
Wśród wodnej płaszczyzny wypadnę bałwanem
I statek złoczyńcy wywrócę!

Czasem wichrem strasznym na przestwór wylecę
I z wichrów mych braci drużyną
Deszczem piasku oczy zasypię łakomcy
Śledzące zdradziecko zdobyczy!

Przez najwyższe góry znajdę tor swobodny,
Przez głazy warowni najtwardsze
W pałace Satrapów przeniknę zarazą
I ciosem śmiertelnym uderzę!

B. Dołęga.

DO POEZYI.

Kochanko ducha, dziewico słońca,
Z mieczem i w zbroi hartownej,
Nikt się nieoprze, gdyś jest walcząca,
Nikt się nieoprze dziewico słońca
Twojej piękności czarownej.

Gdy miecz ukażesz, gdy hełm przywdziejesz
Białoramienna dziewico,
Gdy na wiatr sztandar śnieżny rozwiejesz,
Zapał szalony w serca rozsiejesz,
Rycerze bronie pochwycą.

Uchwycą tarcze, miecze ostrzone
Wstrząsną w żylastych prawicach;
Z krzykiem rozpaczy rzucą się w stronę,
Gdzie im ukażesz grody zniszczone,
Ną który widok zapłomienione
Piekło wystąpi na licach.

A gdy bohatér padnie w obronie,
Ty znijdziesz w szacie anioła
I wieniec chwały włożysz na skronie,
Zwycięztwo będziesz śpiewać przy zgonie
I śmierć mu przejdzie wesoła.

Ty zimne duchy ogniem zapalasz,
W wary przemieniasz chłód lodów,
Ty jedna cudem ludy ocalasz,
Niezwyciężone tłumy obalasz
Poezyo! matko narodów.

Ty męczennikom, pod ręką kata
Rozpiętym w bolach śmiertelnych,
Stawiasz obrazy lepszego świata,
Gdzie myśl ostatnia z krzyża ulata
Do Bozkich krain weselnych.

Ty im, czarowna dziewico słońca,
Nim śmierci doświadczą chłodów,
Za życie męczarń światłość bez końca
Ukażesz zdala w promieniach słońca,
Poezyo! wiaro narodów.

Na czarodziejskie twoje skinienie
Stanie się niebo na ziemi;
Dzikiej niezgody zgasną płomienie,
Na twej czarownej palmy skinienie
Ludzie się staną świętemi.

Na kogo twoje wejrzenie padnie,
Ten ziemi świeci na wieki;
W imieniu twojem serca owładnie,
Ludziom ich przyszłe losy odgadnie,
A czas je spełni daleki.

Ty będziesz wiązać dłonie szermierzy
W czas ślubnych świata obchodów;
W ołtarzach stawisz duchy rycerzy.
Przez ciebie ludzkość w siebie uwierzy
Poezyo! prawdo narodów.

Z tobą śmierć sama tak jest przyjemną,
Że nic niepragnąc dla siebie,
Wzywać cię będę: — rozjaśń noc ciemną
Nad moim grobem, piękna, nademną
Zaśpiewaj ludziom o niebie!

T. Lenartowicz.

KONIEC.

PRENUMEROWALI NA LEVIATHANA.

---

u Wydawcy (w P-cie Kijowskim:)

Rościszewski Walenty b. Marsz. Gub. Kijow.
Rościszewski Ewaryst.
Soroczyński Mikołaj.
Cywiński Władysław.
Burkat Kajetan.
Manastyrski Władysław.
Manastyrski Wiktor.
Lubecki Grzegorz exempl. 2.
Kondracki Cypryan.
Neczaj Marszałek.
Kobyliński Franciszek.
Nowiński Dominik.
Szaniawski Dominik.
Kobyliński Michał exempl. 2.
Rebczyński Alexander, Stud. Uniwer. Ś-go Włod.
Komorowicz Eustachi, exem. 4.

w Kijowie u PP. Sagatowskiego, Daniewskiego, Krasuskiego, Zagurskiego:

Berezowski Felix.
Bąkowski Dyonizy.
Sagatowski Seweryn.
Daniewski Wincenty.
Zagurski exempl. 5. (Stud. Uniw. Ś-go Włod.)
Kozaczyński.
Przyborowski.
Protobowery.
Markowski Maxymilian.
Ryznicz.
Białokur Władysław.
Lesiecki Leonard D-r Medycyn.
Linsenbarth Grzegorz.
Stejn Erazm.
Krzyżanowski Hippolit.

u P. Żurawlewicza Hilarego (w P-cie Kijowskim.)

Jackowski Krzysztof.
Rychliński Michał.
Rulikowski Wacław.
Bojarski Antoni.
Maj Józef.
Bujalski Franciszek.
Kuryłowicz Józef.
Mazaraki Paulin.
Rotaryusz Franciszek.
Szemiuel Michał.
Żmijewska.

u P. Żurawlewicza Mikołaja (w okolicy Machnówki).

Baranowski Felix.
Morgulec Witalis.
Tyszkiewicz Karol hr.
Mazaraki Jan b. Marsz.
Lipiński Prob. z Białopola.
Mazaraki Kazimierz b. Prezes.

u P. Liwskiego w Humaniu i Kaniowie.

Jasiński Marsz.
Sawicka Otolia.
Maciejewski Alexander.
Neuman Sebald.
Malczewski Marsz.
Matczyński Wacław.
Raczyński.
Sarnecki Marsz.
Rohoziński Władysław.

u P. Alberta Daniłeckiego (w Grodnie.)

Andrzejkowicz Władysław.
Wolfgang Xawery.
Pirocki Józef.
Walicki Leopold.
Parczewski Antoni.
Jawszyc Justyn Xiądz.
Sawaczyński Jan.
Trębicki Władysław.
Buhardt Lucyan.
Maxymowicz Konstanty.
Zienkiewicz Paweł.
Szałuta Bazyli.
Susulicz Edward.
Niefiedowicz Franciszek.
Orański Alexander.
Murzicz Abraham.
NN***
Sierżantowski Józefat.
Adamowicz Jan.
A. L***
Sagin Stanisław.
Radowicki Stanisław.

Danilecki Albert exempl. 2.
Wołkowyski Jan.
Obuchowicz Alexander.
Zawadzki Marcin.
Rahoza Adam.
Pilecki Jan.
Laskowski Ignacy.

u P. Alexandra Grozy (*w okolicy Berdyczowa.*)

Kopczyński Ignacy exempl. 3.
Wojciechowska Olmpija.
Groza Sylwester.
Dyakowski Edward.
Markiewicz Ludwik.
Bieliński Cyryl exempl. 3.
Kornelowski Antoni.
Jakubowski Karol.
Wasiutyński Maryan.

u P. *Fisza Zenona*, w okolicy Radomyśla zaprenumerowano na exempl. 7.

u P. *Padlewskiego Erazma*, w okolicy Zwinogrodki zapren. na exempl. 10.

u P. *Jankowskiego Leonarda*, zapren. na exempl. 4.

w Powiecie Bohusławskim.

Jankowski Ludwik.
Proskurzyna Genowefa.
Przebyszewski Anastazy.
Kuczalski Leon.
Pietraszkiewicz Xawery.

u P. Kościelskiego Bonawentury (*w okolicy Tulczyna.*)

Tyzenhauz Stanisław.
Lipińska Józefa.
Taube Michalina Baronowa.
Dobrowolski Xiądz.
Gnatowski Antoni.
Lipiński Alexander.
Jaroszyńska Julia.
Kościelski Bonawentura.

W Kamieńcu u P. *Wicherskiego*, zapren. na exempl. 10.

W Odessie u P. *Karola Kaczkowskiego*, zapren. na exempl. 12.

W Wilnie zaprenumerowano na exemp. 50.

w Zwinogrodce.

Żmijewski Seweryn.
Newliński Zygmunt.
Tarnawski Edward.
Czechowski Adam.

w Okolicy Kamieńca.

Pokart Ferdynand exempl. 6.

w Orenburgu.

Węgrzynowski Arkady.
Strokowski Radzca stanu Prezes Ufimski.
Maciewski.
Żabicki.
Wasilewski.
Brawiński.
Raczyński.
Biliński.

W *Mińsku* u P. Beling'a zapren. exemp. 5.

SPIS ARTYKUŁÓW

w Leviathanie zawartych.

Stron.

OMYŁKI W DRUKU

		wydrukowano	czytaj
na str.	20	wietrzykiem zdumiona	zdmuchniona.
— —	76	pycha czepijąca się	Psycha czepiająca się.
— —	163	Ed. Pans	Ed. Gans.
— —	104	à quarte pattes	à quatre pattes.
— —	109	jako Boga	jako Bogu
— —	111	odwieczne kontory ideału	odw. kontury ideału.
w wielu miejscach		w wietrze walsa	w wichrze walsa.